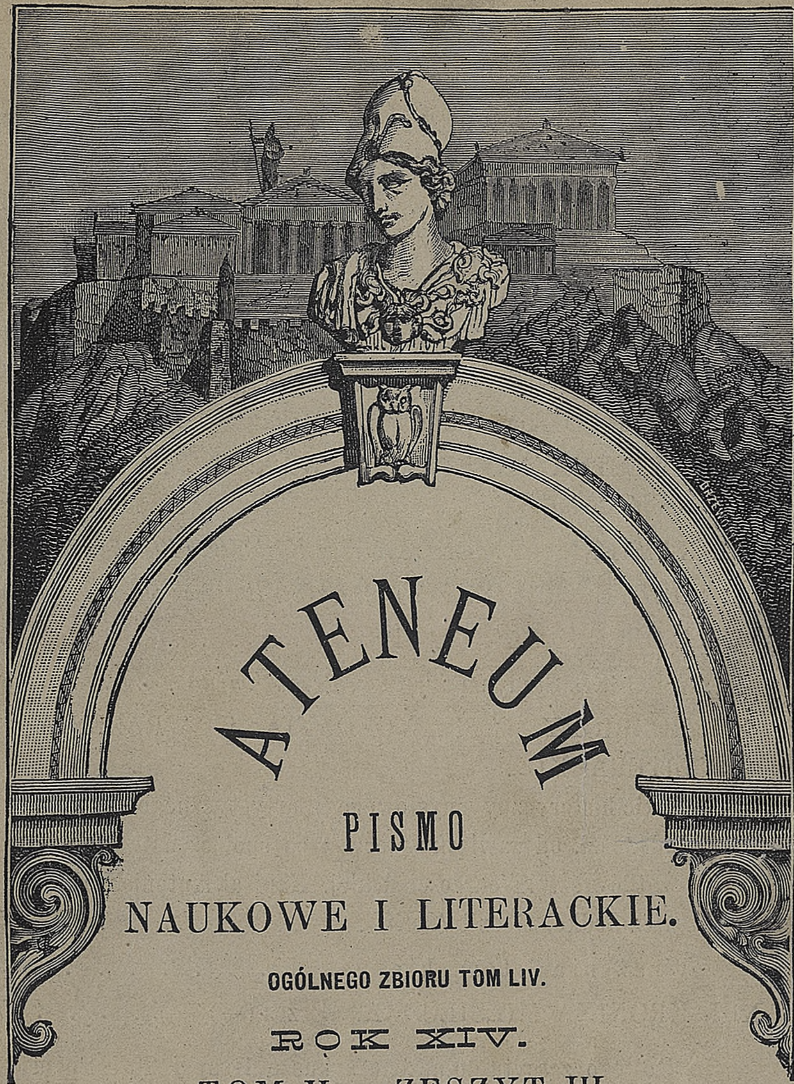


ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LIV.

ROK XIV.

TOM II. — ZESZYT III.

Czerwiec

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1889.

SPIS RZECZY.

Do tego zeszytu dołączono arkusze 1-szy i 2-gi Spisu rzeczy, zawartych w XIII rocznikach „Ateneum“.

Druk ukończono 6 Czerwca 1889 r.



SZLACHETNA KREW.

Kiedy się zbliżają wyścigi konne, lub gdy po skończonych dziennikarze dają o nich sprawę; wówczas czytamy, że mylord B, mylady X, konie krwi szlachetnéj, pełnéj, wygrały po tyle a tyle tysięcy franków. Język ten zrozumiały początkowo jedynie sportsmenom przenika powoli i do tych, którzy się nie trudnią hodowlą wyścigowców i staje się mową popularną. Profani, słysząc o końskiéj krwi szlachetnéj i nieszlachetnéj, o koniach półkrwi i mieszańcach, zaczynają mimowoli, oparci na podobieństwie brzmienia wyrazów *szlachetna* i *szlachecka* krew, domyślać się pewnego związku pojęć temi wyrazami oznaczanych. Gdy się zaś dowiedzą, że hodowcy prowadzą metryki i genealogie końskie, że umieją bez zająknienia wyrecytować na pamięć wstępnych, zstępnych i bocznych krewniaków końskiéj progenitury, tak jak porządny szlachcic wszystkich spółklejnotników, wtedy profanom trudno się opędzić przypuszczeniu, iż w obu razach zachodzi niejakie pokrewieństwo pojęć. Przecież do dziśdnia, gdy młodzież ludzka idzie w pary, gdy się kojarzą związki małżeńskie, nie jest rzeczą obojętną dla papy, a zwłaszcza dla mamy, jakie też to herby znajdują się w pieczęciach, lub na uprzęży rodziny przyszłego obywatela i obywatelki. Zasięgają języka od znajomych, zapoznają się z heraldyką, wywiadują się, czy krew czysta, szlachecka, czy nie było przymieszki ekonomskiéj, bo na hrabiowską, a jeszcze lepiéj książęcą, gotowi się godzić.

Może to wszystko należy do dawno minionéj przeszłości, może to są wspomnienia ludzi kopalnych? Jako żywo. To są wyobrażenia dnia dzisiejszego pewnéj warstwy społecznéj nietylko u nas, ale i gdzieindziéj; to jest przesąd tak zakorzeniony, iż mimo całego ro-

zwoju myśli demokratycznéj, mimo wszystkich klęsk materyalnych, mimo postępu wiedzy ludzkiéj, wyrwać go niczém niepodobna. Satyra i komedya, nędza i wysadzenie z siodła, potasowanie wszystkich warstw społecznych nie zdołały otrzeźwić szlachetnokrwistych obrońców przesądu.

Łączy się z nim inny, niemniéj dziwny przesąd,że tylko w téj klasie mogą się hodować podnioślejsze uczucia, bohaterskie czyny, niezrównane cnoty domowe i obywatelskie, prawdziwa religijność, słowem cały ogród najpiękniejszych kwiatów, zdobiących ludzkość. Niewątpliwie, jedynie wiekowe trwanie niezmienionych stosunków ekonomicznych, za któremi idą pozycye społeczne i warstwowanie się w hierarchią rzeszy ludzkiéj, mogło wytworzyć takie skamieniałe wyobrażenia. Co wieki sprawiły, tego oczywiście szyderstwo i lekceważenie odrobić w jednym dniu nie zdołają. Więc téż i pod względem wyobrażeń o szlachetności krwi czas zrobi swoje, zwłaszcza tam, gdzie mu w pomoc przychodzi gruntowna edukacya i prawodawstwo, usuwające grunt z pod nóg przywileju. Tymczasem żyjemy jeszcze, co się tyczy pojęć o wartości rozmaitych klas społecznych, w czasach średniowiecznych. Dla wielu z innych klas ludzi zdaje się to być anachronizmem; niejeden może i nie uwierzyłby, iż te zatęchłe opinie mają jeszcze wyznawców; ale trzeba tylko zbiegu okoliczności, znalezienia się wśród szlachetnokrwistych, posłuchania ich rozmów, ażeby się przekonać, jak to powoli znikają przesądy, jak jedne klasy, lub przynajmniéj indywidua słuchają o nich jak o białych krukach, a drugie klasy jeszcze obu nogami w nich grzęzną.

Zaznaczenie faktu nie stanowi jego wyjaśnienia; to, co dzisiaj nazywamy przesądem, miało w swoim czasie racyą bytu: otóż, zrozumienie téj racyi dopiero pozwala nam sam fakt rozumiéć. A skoro fakt, jak w tym razie przecenianie szlachetności krwi, jest prawie powszechnym na kuli ziemskiéj; więc i przyczyny jego, owa racya, muszą być ogólniejszéj natury i na karb jednego społeczeństwa nie mogą być kładzione.

Poszukajmy tedy racyi. Podstawą kształtowania się stosunków i klas społecznych była zawsze i wszędzie aż do naszych czasów własność; czy tę własność stanowili ludzie, niewolnicy, stada, czy rzeczy ruchome, lub nieruchoma ziemia, zawsze ten, co je posiadał, rozporządzał większą siłą, aniżeli jego sąsiad, który miał mniéj, lub nic nie miał. Za tém szło z konieczności korzystniejsze jego stanowisko w gromadzie, pewna wyższość i powaga wśród reszty spółtowarzyszów. Wyższe, lepsze pod względem materyalnym położenie, pewne osobiste dodatnie przymioty, jak odwaga,

roztropność, pozwalały mu pracę zwalić na barki innych ludzi i tym sposobem znaleść czas na próżnowanie, a może i na jakieś zajęcia, które nazywamy umysłowemi. Rodzina jego korzystała z tego stanowiska; poważanie, jakiego doznawał naczelnik rodu, otaczało dzieci i krewnych jego. Gdy umarł, majątek i cześć, a nieraz władza przechodziły na nich; zaliczono go do niebian, a im bardziéj pamięć o nim pogrążała się w przeszłość, tém więcéj osoba jego w imaginacyi potomnych koligaciła się z niebianami, owszem, sam on powoli stawał się opiekunem żyjących. Religijność oparta na czci nieboszczyków i będąca jedną z najstarszych form religijnych na ziemi, stanowi do naszych czasów kult wielu milionów ludzi. Że krewni takiego nieboszczyka patryarchy musieli najprzód oddawać mu cześć pośmiertną, że tém samém w oczach reszty rodu lub pokolenia uchodzili za wyższych, lepszych, z innéj krwi pochodzących, to można uważać za bardzo podobne do prawdy; świadczą o tém wszystkie mytologie. I oto jeden z bardzo ważnych momentów w wyrabianiu się pojęcia o szlachetnokrwistych. Mówiono o nich zwykle, że są spokrewnieni z bogami, że ich zatém od innych ludzi oddziela niezmierna przepaść, jak ziemię od nieba. Oni zajmowali pierwsze miejsca i urzędy, sądy i rządy, kapłaństwo i naukę, o ile o nauce w owych czasach mogła być mowa. Dzięki religii i władzy tacy rodowi, eupatrydzi nietylko sami z większą lub mniejszą dobrą wiarą mieli się za wybranych, na których oko niewolnika spocząć nie było powinno, ale i cała rzesza spółplemieńców przyznawała im tę wyższość, opartą na rzeczywistych lub domniemanych związkach krwi z ubóstwionym praojcem. Uważali się oni po wszystkie czasy za uprzywilejowanych obrońców religii, za najstarożytniejszą szlachtę, mówiąc językiem nowożytnym, za jedynych prawych przechowywaczów tradycyi i obrzędów religijnych. Nie bez słuszności, zdaje się, twierdzą badacze, że arystokracya religijna jest najstarożytniejszą na ziemi; w zaraniu dziejów ludzkich piastowała ona cały rząd społeczny, póki nie nastąpił rozdział między pierwiastkiem religijnym a świeckim. Rozdział zaś taki musiał nastąpić w miarę mnożenia się pokoleń, podziału zajęć i pracy, stopniowego zanikania świadomości o związkach krwi, różniczkowania się klas, narastania bogactwa. Arystokracyi religijnéj pozostały w udziale obrzędy religijne, straż świątyń, spełnianie ofiar i t. p. a zaś emancypujący się element świecki zagarnął rząd istotny, straż zewnętrzną od nieprzyjaciela i obowiązek dalszych zdobyczy. I tu nadarzyła się nowa sposobność do wytworzenia szlachetnokrwistych; pomocnicy w zdobyczach wojennych głównego zdobywcy, obdzieleni przezeń łupami, zaczęli tworzyć drugą

warstwę wyróżniającą się od reszty ludu, czyli arystokracyą wojskową. Rozrodzeni ich potomkowie, jako z jednego gniazda pochodzący krewniacy, bawiąc się również rzemiosłem wojskowém, dali początek stanowi rycerskiemu, czyli szlachcie, która zdobyte ziemie otrzymywała tytułem wynagrodzenia za swoje zasługi, osadzała je niewolnikami lub przybyszami z innych krajów, i z kolei zagarnęła w swoje ręce rząd, sąd, wojnę, słowem wszystkie funkcye życia publicznego. Posiadanie ziemi, a za nią i władzy, poczuwanie się do pewnego pokrewieństwa całéj rzeszy szlacheckiéj i do solidarności interesów klasowych, wyrobiły w niéj ducha kastowego, stroniącego od towarzystwa, małżeństwa, a nawet służenia pod wspólną chorągwią z plebejami. Jaką drogą wszystko to przyszło, tysiączny z nich ledwie rozumiał, ale instynktownie wszyscy czuli się szlachetno-krwistymi. Nam się to odosabnianie wydaje głupstwem, przesądem, zwłaszcza gdy widzimy jak krew wysoce szlachetna łączy się nie już z plebejską, ale wprost z semicką (*proh dolor!*); jednak lepsze zapoznanie się z historyą ludów, uczy nas, że to była faza rozwoju konieczna, że nawet dotychczas nie znikła, chociaż znikły po większéj części warunki wśród których powstała. Echo głośnego dzwonu coraz słabsze, wszakże ostatnie jego dźwięki mdlejące, melancholijne, jeszcze naszych uszu dochodzą. A szlachta była głośną, bardzo głośną.

Nie rozstrzygając w téj chwili pytania, czy szlachta powstała z najeźdźców innoplemiennych, czy się wytworzyła naturalnym biegiem rzeczy na gruncie swojskim z elementów miejscowych, co uważamy za podobniejsze do prawdy; rozumiemy ile tyle jéj rodowód oraz przyczyny, dla których się wyodrębniła z innych klas społecznych i zamykała swoje szeregi dla nieszlachetno-krwistych. Majątek jéj i ramie wystarczały, póki społeczność narodowa była szczupłą, a system produkcyi bardzo prosty; gdy jednakże ludność zaczęła narastać, a produkcya ekonomiczna z pierwotnéj, prostéj, przeszła w bardzo zawikłaną, kapitalistyczną; gdy się wiedza nieco podniosła i wyobrażenia zmieniły: już sama szlachta nie mogła podołać dawniejszym obowiązkom, a mimo tego wzdragała się przypuścić do swoich przywilejów inne klasy. Był to koniec jéj panowania a początek nowéj fazy w rozwoju narodowym. Tego zwrotu w dziejach nie chce ona rozumiéć i ciągle jeszcze marzy o przodownictwie, powołując się na dawne stanowisko i zasługi, które już tylko w historyi mają pewne znaczenie. Świat dzisiejszy, przynajmniéj w rozumniejszéj części swoich przedstawicieli, nie pyta o klejnot rodowy, lecz o to, co jego posiadacz robi, co umié i co znaczy; gdy zaś nie widzi owoców, złorzeczy drzewu.

Ztąd i w prasie elementa ruchliwsze urządzają nagankę przeciw szlachetczyźnie, jako klasie skostniałéj w przesądach rodowych, co znów z drugiéj strony wywołuje ostracyzm i najniedorzeczniéjsze posądzenia o chęć niwelacyi stanów społecznych.

Do wytworzenia pojęć o szlachetności krwi przyczyniło się i dotychczas przyczynia prawodawstwo. Prawo, jak wiadomo z jego dziejów, tylko sankcyonuje stosunki urobione wiekami pośród klas społecznych. Klasy posiadające stanowią przepisy prawne zarówno w porządku cywilnym jak i kryminalnym głównie w swoim interesie, to jest w obronie swojéj własności i swoich osób. Ztąd widzimy rozróżnienie karalności pewnych czynów stosownie do tego, kto, jakiéj klasy człowiek ich się dopuścił: głowa szlachetnie urodzonego inaczéj bywała ceniona, niż głowa plebejusza. Dzisiaj nawet prawo karzące według téj zasady, inaczéj za te same czyny karze szlachetno-krwistych, a inaczéj nieuprzywilejowanych. Że taka podwójna miara musi się przykładać do uwiecznienia wyobrażeń o szlachetności i zacności jednéj krwi nad drugą, to chyba nie potrzebuje dowodu.....

Prawu wtóruje pod tym względem opinia. Ożenił się syn włościański lub mieszczański z panną krwi szlachetnéj; jest to człowiek ukształcony, prawy, zarabiający nietylko na żonę, lecz i na jéj rodziców; wykupił nawet herbowego kogutka z rąk żydowina; nic to nie pomoże: opinia kładzie w uszy chcącym i niechcącym słuchać, że wszystko to pięknie, ale zawsze to mezalians. Opinia to przeznacza pewne prace, zawody, urzędy dla ludzi krwi szlachetnéj np. obywatela ziemskiego, chociażby bez ziemi, posła chociażby do rady powiatowéj, dyplomaty chociażby u mahdiego; dla innych klas wystarczy zawód doktorzyny, kauzyperdy, lub bakałarza. To lekceważenie pracy wogóle, szczególniéj pracy fachowéj, przeszło w krew szlachetną, a każdy kto się jéj oddaje, bywa w tych sferach uważany za człowieka gminnego, który żadnym dyplomem naukowym nie zdoła się wkupić do szeregu szlachetnie urodzonych. Nawet do pojedynku opinia potrzebuje krwi szlachetnéj; ten, w czyich żyłach krąży nieszlachetna, znieważony, usłyszy prócz tego, że jest niegodzien wystawienia swéj piersi na strzał przeciwnika dla tego, że jest *roturier d'une basse éxtraction.*

Niemało tedy rozmaitych czynników przykłada się do utrwalenia przesądnych wyobrażeń o zacności krwi jednych ludzi, a podłości drugich; wszystkie one jednak muszą powoli blednąć i zanikać pod naciskiem przekształcających się pojęć umysłowych, moralnych, a szczególniéj pod wpływem zmian ekonomicznych, przenoszących środki bytu materyalnego do innych klas społecznych.

Tym sposobem wyobrażenia o pochodzeniu od bogów i przywileju próżnowania ustępują miejsca przekonaniu, żeśmy wszyscy ulepieni z jednakowéj gliny. Czego nie zdołały wyrugować z umysłu i uczucia ani religia, ani satyra, to ulega nędzy. Więc téż widzimy jak krew szlachetna bierze się, wprawdzie nie bez westchnień głębokich i jeszcze zrzadka, do roboty i przestaje zézem spoglądać na spracowane ręce.

— Tak, cieszcie się — mówią wyznawcy krwi szlachetnéj — zniknie w społeczeństwie jedyna klasa, do rdzenia swojska, piastunka tradycyi, czoło narodu, a zostaną chłopy i Żydy, przefiltrowani tu i ówdzie plutokracyą nalewkowską, bez przeszłości i ideałów, klasy żyjące li dla żołądka i Mamona; pięknie będziecie za sto lat wyglądali.

Nigdy nie można się cieszyć, gdy na pniu społecznym usycha gałąź mogąca, jak się zdawało, długo jeszcze rodzić owoce; ale też o to chodzi, ażeby jéj nie dać uschnąć, ażeby ją odżywić zdrowszemi sokami, a przeciwko temu stoi na zawadzie przesąd o szlachetności krwi bez szlachetnych czynów. Zamykanie się na wszystkie kłódki przed powiewem świeższego powietrza wytwarza stęchliznę, zarówno w izbie jak i w klasach społecznych. Stronienie od pracy ciężkiéj, mozolnéj a gonienie za lekką, lub zgoła za próżnowaniem rodzi bezwład fizyczny, skarłowacenie mózgu i mięśni. Kto nie chce zginąć, musi się krzątać, ruszać, myśléć, pracować i tą drogą wkupywać się w szeregi nowych ludzi, zarabiać na nowe herby. Nowi ludzie i czasy nowe nie chcą nic wiedziéć, o różnicy krwi, przekonani doświadczeniem, że o jéj szlachetności decydują nie przodkowie, lecz osobista praca, zdolność i zasługa. Téj zmiany wyobrażeń o wartości człowieka nie mogą zrozumiéć potomkowie dawnych szlacheckich rodów, składając przygasanie odziedziczonego splendoru na złe czasy, a zwłaszcza na przewrotne idee. Właściwie nie idee przewracają tę lub ową klasę społeczną, lecz ona sama się przewraca nie mając siły i ochoty do spółubiegania się, do walki, do przodowania innym klasom rozumem, pracą, poświęceniem. Kto dobrowolnie abdykuje ze stanowiska, nie może się uskarżać, gdy dzielniejsze ręce i głowy podejmują jego zadanie. Światu nie zależy na tém jakiéj krwi, albo jakiego herbu jest robotnik, byle dobrze robił.

Winienem jeszcze dodać dla uniknienia nieporozumień, że walczymy nie przeciw téj lub owéj klasie, lecz przeciw zgubnemu przesądowi, którego jedna warstwa może być w pewnym czasie gorętszą od drugiéj przedstawicielką, ale któremu wszystkie w miarę okoliczności hołdują. Nietylko szlachta ma swoje przesądy o zac-

ności i szlachetności krwi płynącéj w jéj żyłach. Spanoszony kupiec lub przemysłowiec wzdycha do herbu, do tytułu; gdy je posiędzie, dmie zarówno jak najstarszéj daty arystokrata. Synowie jego zostają baronami, a w trzeciém lub czwartém pokoleniu już się wynajdują przodkowie, którzy służyli pod chorągwiami Wilhelma Zdobywcy. Nawet stróż Paliwoda, gdy wydawał córkę za syna kolegi obsługującego trzypiętrową kamienicę, dowodził sąsiadom, że w przyszłym zięciu płynie krew szlachetną, bo matka jego była pokojówką u jaśnie pani. Demokratyczne zasady póty mają wartość u tych ludzi, póki ich losy nie wydźwigną z szeregów demosu; tak samo jak kancelista jest liberałem lub demagogiem, póki się do tłustszego połcia nie dorwie; potém już wszyscy oni czują w sobie krew szlachetną.

Cechowanie ludzi na wzór zwierząt, wedle krwi i skrzyżowań rasy, jakkolwiek jeszcze nie ustało, należy przecież do minionéj epoki. Ludzie dzisiejsi rozumieją dobrze, iż we wszystkich klasach społecznych może się znaleźć i na prawdę znajduje krew szlachetna, niececbowana, w najlepszym gatunku; inną téż miarą swoich bliźnich mierzą, a na skali téj pomieścili rozum, energią i czyn; gdzie to troje widzą, o więcéj nie pytają. Skala-to, bądź-co-bądź, zasadniejsza od genealogicznéj, dająca wcale wystarczające pojęcie o wartości człowieka. Dopuszczenie wszystkich członków społeczeństwa do wyścigów życiowych jest i sprawiedliwsze od rozmaitych przywilejów i wyłączności, i pożyteczniejsze dla społeczeństwa we wszelkich kierunkach jego rozwoju. Zasada ta nie wyłącza dawnych szlachetnokrwistych od wspólnéj pracy około dobra ogólnego; przeciwnie, zaprasza ich do konkurencyi ze świeżemi siłami. Mają oni jeszcze w swoich ręku najtrwalszy kapitał, ziemię, która nie da im umrzéć, byle ją miłowali nie słowami; byle rozumieli, że ratunek ich leży w pracy niestrudzonéj, nie dającéj się niczém zniechęcić; w oświeceniu gruntownem, zarówno ogólném jak i specyalném, do roli zastosowaném. Złorzeczenia brukowych pismaków nie potrafią obalić człowieka, a cóż dopiéro klasy, która krzepko stoi. Ale trzeba stać na swoich nogach, nie na wspomnieniach minionéj wielkości, często niestety, bardzo niewielkiéj. W szlachetną krew szlachetnéj klasy nikt już dzisiaj, oprócz niéj saméj, nie wierzy; za to wierzymy, iż ze wszystkich klas społecznych mogą wychodzić ludzie szlachetni i dzielni.

K.





POGLĄD NA WIELKORUSKĄ GMINĘ WIEJSKĄ. (1)

I. Obecne położenie gminy wiejskiéj.

Prace naukowe z zakresu badań gminy wiejskiéj wielkoruskiéj takich uczonych jak Postnikow, Sokołowskij, takich publicystów jak książę Wasilczyków i wielu innych, wytworzyły przekonanie, że ideałem rozwiązania kwestyi agrarnéj w przyszłości może się stać owa, dziś jeszcze istniejąca w Rosyi, gmina wiejska. Dzięki odkryciu przez Haxthausena, który ją dostrzegł wprawdzie, ale wytłómaczyć nie umiał, bo ani dziejów ani życia ludowego w Rosyi nie znał, z gminą wiejską wielkorosyjską zapoznała się Europa, a uczeni niektórzy (jak Laveleye), odszukawszy szczątki wspólnego władania niemal na przestrzeni całéj Europy, stworzyli teoryą dość popularną, że forma ta, niegdyś powszechna, ekonomiczna i racyonalna, idealna niemal, zamordowaną została rozwojem kapitalizmu i wybujałością indywidualizmu, przeniesionego na pole pracy ekonomicznéj.

I u nas Lelewel podniósł wysoko znaczenie gminowładztwa i gminy, jako jednostki administracyjnéj i politycznéj, a gminy bartne, które do czasów niedawnych istniały jeszcze na Kurpiach, ocenione z punktu historycznego przez W. A. Maciejowskiego w *Historyi włościan*, uważane były i są dotychczas za pozostałości owéj prastaréj idealnéj wspólnoty. Gmina wiejska, rolna, w znaczeniu owéj wspólnoty, w historycznéj Polsce odszukać się nie dała. Lecz nie o Polskę chodzi nam w téj chwili.

(1) K. Gołowin: Wiejska gmina w literaturze i rzeczywistości. Petersburg. 1887. Emil de Laveleye: Własność pierwotna. Warszawa, 1889.

Wychwalanie wielkoruskiéj „*gminy*“ póty trwało, póki się nią zajmowali wyłącznie ludzie nauki lub utopiści społeczni, bo oni sądząc i krytykując gminę upatrywali w niéj tylko najlepsze strony; najgorszych — ekonomicznych — widzićć nie mogli, gdyż z praktyczném życiem za mało do czynienia mieli, lub, nieznając go wcale, nadawali fałszywą lub przesadzoną doniosłość wielu bardzo zjawiskom ekonomicznym, życia gminy. Znalazłszy klucz do swoich sądów w ogólno-ludzkiém znaczeniu i roli gminy, zeszli łatwo na manowce politycznych i socyologicznych złudzeń.

Dla wytworzenia słusznego i spokojnego poglądu na stan, położenie i prawdziwe znaczenie gminy wielkoruskiéj brakowało materyału faktycznego; do niedawna interesowali się nią dyletanci, poeci-historycy lub socyologowie o bardzo szlachetnych ale nadto szerokich poglądach, nie liczący się z rzeczywistością, często z przeszłością, a pragnący dążyć zbyt pośpiesznie do wymarzonéj przyszłości. Nic téż dziwnego, że wybitniejsze rysy gminy uderzały ich i uwagę więziły. Dopiéro programy, opracowane w celu zbierania materyałów faktycznych, rozklasyfikowały żądania na drobne szczegóły i zaprzęgły do téj roboty mrówczéj codziennych robotników, od których wymagało się tylko znajomości dokładnéj stosunków lokalnych. Opisy gmin i urządzeń gminnych, zebrane razem, pozwoliły się rozpatrzéć w tym materyale swobodnie, cechy wspólne lub różnice oznaczyć, istnienie gminy ocenić nie według okoliczności fikcyjnych, ale śród rzeczywistych ekonomicznych warunków naznaczyć jéj stanowisko. Jednocześnie badanie źródeł, mało dostępnych przed tém lub oświetlanych w kierunku tendencyjnym, otworzyło oczy na przeszłość. Gmina wiejska, pozbawiona narodowościowego zabarwienia i mrzonek, zeszła nareszcie na grunt rzeczywistości, ogołocona z poetycznych ozdóbek.

Używając wyrazu „gmina“ (gromada), zaznaczyliśmy już w ten sposób pewną wspólność posiadania ziemi, przysługującą wszystkim członkom gminy. Ponieważ równolegle ze wspólném posiadaniem, jako formą własności, istnieje także własność indywidualna, jako władanie gruntem (kompleks, obejmujący ziemię będącą w posiadaniu indywidualném), należy przedewszystkiém scharakteryzować jednę i drugą formę, a raczéj wykazać, czém się różni wspólne posiadanie od własności indywidualnéj.

Powszechnie nazywają „gminą“ taką organizacyą ekonomiczną, którą głównie mamy na uwadze, gdzie właścicielem ziemi jest gmina, całość, wspólnota. Takie określenie dostateczném nie jest. Prawodawstwo ruskie, uznając prawo własności gminy w ogóle (*jus dominii*), z tém nawet zastrzeżeniem, że bez wiadomo-

ści i zezwolenia „gromady“ (*mir*) (1) najmniejsza cząstka ziemi, w obrębie gminy leżącéj, osobie nie przynależnéj do niéj ustąpioną być nie może, do tego stopnia, że gromada dziedziczy pustki po wymarłych liniach—jednocześnie z tém posiadaniem gruntów pozwala władać na zasadzie nieograniczonéj własności i przelewać tę własność na inne osoby drogą dziedziczenia.

Taką jest mianowicie forma władania ziemią na Ukrainie, gdzie g r o m a d a występuje administracyjnie jako posiedzicielka całości gminnéj ziemi, a pojedyńczym jéj członkom przysługuje prawo władania indywidualnego i prawo dziedziczności.

Za wybitne więc cechy pospólnego władania służyć mogą:

1. Prawo założenia gospodarstwa rolnego przysługujące każdemu zdolnemu do roboty i żonatemu członkowi gminy. Prawo to w praktyce wyraża się tém, że robotnik może otrzymać pewną cząstkę gruntu dla utworzenia własnego gospodarstwa.

2. Prawo, przysługujące gromadzie, zmniejszania lub powiększania uposażeń każdego gospodarza, według potrzeby lub innych względów.

3. Prawo przysługujące gromadzie, zarządzania w razie potrzeby, ogólnych przemiarów i tworzenia nowych działów gruntowych,—nareszcie:

4. Poręka wszystkich za jednego i jednego za wszystkich co do podatków i ciężarów państwowych.

Otóż cechy powyższe rozpatrzymy po kolei.

Prawu — nie w znaczeniu jurydyczném — i żądaniu dojrzałego i zdatnego do roboty członka gminy wydzielenia cząstki ziemi, będącéj własnością gminną, wtenczas tylko może stać się zadość, jeżeli ktokolwiek z posiadaczy grunt swój zwrócił, pozostawiając go w ten sposób do dyspozycyi gminy; lub też, jeżeli niezajętego gruntu nie ma, gmina wydziela cząstkę z tego, przy którym członek żądający uposażenia dotychczas pracował. Ostatni wypadek wchodzi do téj kategoryi, którąby można nazwać działem familijnym. Ciekawą byłoby rzeczą dowiedzieć się przy jakich warunkach i dla czego ukształtowuje się nowe gospodarstwo włościańskie? Trzeba jednak przyznać, że ta strona życia ludu najmniéj jest wyjaśniona i zbadana. Zwykle spostrzegamy w praktyce, a prawodawstwo wcale temu nie przeszkadza, że każdy pełnoletni i zdatny do pracy członek rodziny może się od niéj odłączyć i żądać swojéj

---

(1) Posługujemy się tu ukraińskim wyrazem *gromada*, odpowiadającym ruskiemu „міръ“ *Aut.*

części majątkowéj; ale wiemy jednocześnie, że każdy z nich musi czekać zwykle, dopóki się ktokolwiek posiadanego gruntu nie zrzecze. Z tego możnaby wnioskować, że uformowanie nowéj jednostki gospodarskiéj nie zawsze zależy od potrzeby wydzielenia się z rodziny i nie zawsze pociąga za sobą podział majątkowy. Jakie ekonomiczne warunki lub poglądy gminy wpływają na to? Prawie nic o tém nie wiemy.

Można zapewne utrzymywać, że ponieważ gromada akceptuje lub odrzuca podział ziemi i majątku, posiadanego przez jedną rodzinę a tworzącego całkowitą jednostkę gospodarską, zależy to jedynie od niéj. Gdyby nawet tak było, to zawsze nie wiemy jeszcze jakie kombinacye kierują w danym wypadku gromadą.

Gminie wielkoruskiéj przysługuje prawo zmniejszania lub powiększania uposażeń pojedyńczych posiadaczy i ono to przyczynia się głównie do ciągłéj zmienności obszaru posiadanéj ziemi. W osnowie jego leży wspólna odpowiedzialność wobec władz za regularność opłacania podatków i odbywania powinności. Ta właśnie odpowiedzialność skłania gromadę do przestrzegania, ażeby siła ekonomiczna każdéj jednostki gospodarskiéj była, według możności, proporcyonalną, a więc niejako zmusza do odbierania ziemi jednostkom ubogim lub małosilnym, a powiększania udziałów zamożniejszych jednostek. W gruncie rzeczy cała powyższa czynność jest widocznie tylko r e g u l o w a n i e m s i ł y j e d n o s t k i p o d a t k o w é j. Żadne inne względy gromadą nie kierują. Pilnuje ona równomiernego uposażenia ziemią dla tego tylko, że z nią związana jest równomierna i łatwa wypłata podatków — w razie bowiem nie wypłatności gminy, wszyscy jéj członkowie są odpowiedzialni. Odbieranie ziemi od ubogich i oddawania jéj bogatym, tj. od tych, którzy nie są wstanie płacić całkowicie lub części podatku, przypadającego na nich, i oddawanie tym, którzy płacićby mogli więcéj i bez dodatku ziemi, nie jest chyba ideałem, który warto na przyszłość zalecać.

Kwestya zwiększania lub zmiejszania uposażeń staje się bardzo zawiłą i trudną do przeprowadzenia, ze względu na wartość gleby, jéj urodzajność i wogóle więcéj lub mniéj dogodne warunki ekonomiczne, czyli mówiąc inaczéj, od tego zależy czy włościanie więcej lub mniéj cenią ziemię. W pierwszym wypadku żądają powiększenia uposażenia, ale nie ma amatorów do ustąpienia. W drugim wypadku gmina, jak każda inna instytucya wykonawcza, ucieka się do gwałtu: silniejszym jednostkom gospodarskim narzuca grunty odebrane od ubogich, którzy płacić przypadającego na nich podatku nie mogą i zrzekają się całkowicie lub

w części uposażeń swoich. W tym czy innym wypadku, zamożniejszych gospodarzy gromada wcale o zgodę i potrzebę nie pyta, ale ziemie i podatki im zwiększa. Taki sposób postępowania przedstawia się jako forma wyzysku i w imię równomierności siły podatkowéj, uboży ludność.

Celem zabezpieczenia regularnéj wypłaty podatków, gmina ucieka się do trzech sposobów. Wprawdzie są one głównie praktykowane w centralnych guberniach, ale można je uważać za typowe, gdyż z większemi lub mniejszemi zmianami powtarzają się wszędzie w gospodarstwie gminném.

1-o. Podatek rozkłada się stosownie do ilości „dusz" roboczych w każdém gospodarstwie (1). System ten rozkładu wykazuje wprost małą wartość i dochodność ziemi, która nie może gwarantować wypłaty podatków, tak, iż gwarancyą tę potrzeba opiérać na roboczéj jednostce, zdatnéj do zarobkowania.

2-o. Rozkład podatku gruntowego normuje się według ilości osób, składających rodzinę i gospodarstwo ale ściąga się to tylko do osób płci męskiéj bez różnicy wieku, — w rachubę wchodzą starcy i dzieci. System powyższy stosuje zaledwie 4% gmin. Wskazuje on względną zamożność jednostki gospodarskiéj, a stąd i wartość użytkowa ziemi w takich gminach jest zwykle wyższa; skoro gospodarz-rolnik woli płacić podatek od jednostek nieprodukcyjnych (starce i dzieci), ale ziemi ustąpić nie chce, to dowodzi, że zysk z ziemi pozwala na utrzymanie wielu jednostek nieprodukcyjnych. Naturalnie stosunkuje się tutaj wysokość podatku, przypadającego jako nadwyżka na jednostkę ekonomiczną, do kosztów utrzymania jednostek nieprodukcyjnych.

3-o. Trzeci system rozkładu podatków możnaby nazwać mieszanym (obejmuje około 23% gmin), według którego, niezależnie od ilości „dusz" wogóle jednostkę ekonomiczną (gospodarstwo) składających, przyjmuje się w rachubę wiek, siła, zdolność i umiejętność pracy. Widzimy więc, że skala wymiarowa omawianego systemu jest elastyczna i zależna od wielu bardzo okoliczności. System powyższy odpowiada miernéj urodzajności ziemi, jako też miernemu położeniu ekonomicznemu włościan.

Już z tych głównych rysów, charakteryzujących rozmaite systemy rozkładu podatków w gminie bez mieszania się władzy państwowéj, widzimy wybitną dążność, skierowaną do nadania systemowi rozkładu podatków jak można największéj równomierności i przystosowania się do warunków ekonomicznych gminy, na któ-

(1) W gub. Moskiewskiéj 75% gmin wiejskich trzyma się tego sposobu.

rej owa równomierność się opiéra. W praktyce nie przedstawiają się owe systemy wcale idealnemi, gdyż nie wykluczają niesprawiedliwości, jak wszystkie inne czysto fiskalnego charakteru, a co ważniejsza nie wynikają wcale z pobudek samorodnéj społecznéj mądrości gminy, dążącéj do zadośćuczynienia zasadzie słuszności, ale z konieczności zapłacenia pewnéj sumy podatku, na gminę przypadającego. Zaznaczamy tylko zasadnicze pobudki postępowania gminy, jako jednostki zbiorowéj, zastrzegając sobie powrót do téj materyi.

Oprócz powyżéj wyliczonych systemów rozkładu podatku, które w gminie wielkoruskiéj należy uważać za normalne, są jeszcze inne, jak np. według ilości jednostek wciągniętych do spisu ludności, przyczém nadziały nieposiadające gospodarzy liczą się na reszcie „dusz" czyli na całéj gromadzie, która, ponosi za nie ciężary. Przedstawia to oczywiście niedogodności dla gminy, a więc gromada stara się oddać je komuś, osadzić. Do tego prowadzą dwa sposoby: albo zwiększa się ilość gospodarstw, które wtedy nie odpowiadają już ilości popisowych jednostek i stają się mniejszemi, albo wszystka ziemia, należąca do gminy, dzieli się na tyle udziałów jednostkowych, ile się da rozmieścić pośród istniejącą w danéj chwili liczbę gospodarzy. Najlepiéj to wyjaśni przykład: przypuśćmy, że gmina —nie *wołost'*—otrzymała ogólnego uposażenia na 100 jednostek popisowych 300 desięcin ziemi, ale w danéj chwili posiada 120 takich jednostek; z liczby zaś gospodarstw 10 tj. 30 desięcin nie mają gospodarzy. Gromada może obszar jednostkowego uposażenia zmniejszyć tj. zamiast 3 desięcin naznaczyć tylko $2^3/_4$; ale wtedy gmina będzie posiadać już nie 100 jednostek gospodarczych ale 109, które między właścicieli gospodarstw; podzieli. Gromada może również uchwalić zmniejszenie liczby gospodarstw i ze 100 posiadanych stworzyć tylko 90, a wtedy każda cząstka, odpowiadająca ilości jednostek popisowych, będzie wynosić nie 3 lecz $3^1/_3$ desiatyny. Naturalnie powstaje to wtenczas, jeżeli tylko na 90 całkowitych udziałów ziemia gminna da się podzielić.

W jednym i w drugim wypadku bez zupełnego nowego przemiaru i dzielenia obejść się nie można. Ponieważ zwykle włościanie starają się nowych podziałów uniknąć, dla obejścia niedogodności, ilość podatku przypadającego na gminę dzielą na tyle równych części, ilu jest w danéj chwili posiadaczy i obciążają ich odpowiednią częścią podatku, zaś ziemia niezajęta wydzierżawia się albo idzie na wspólny użytek. Uposażenie więc gruntowe, odpowiadające jednostce podatkowéj, bez jeneralnego przemiaru i podziału zmienić się nie da i nie zależy od powiększania się lub zmniej-

szania się ilości robotników w rodzinie. Co zaś do uposażenia według ilości dusz roboczych, czynność ta czy się przeprowadza zgodnie z życzeniem posiadaczy pewnych części, czy też zgodnie z życzeniem gromady, zawsze pociągać za sobą musi prywatne podziały ziemi, powtarzające się w każdéj wsi prawie corocznie.

Każdy nowy dział prywatny polega na tém, że od jednego właściciela odcina się pas ziemi stosownie do postanowienia gminy i przechodzi do drugiego posiadacza; dodajmy do tego konieczność drobienia posiadanych działów, wynikłą z powodów familijnych, a łatwo sobie wyobrazimy czysto ekonomiczne szkody, płynące z tego. Zamiast najdogodniejszéj ze względów ekonomicznych formy, wynikającéj z komasacyi parceli, widzimy nadmierne rozstrzelenie ich, i chociaż *de nomine*—w statystyce urzędowéj—rozstrzelenie i rozparcelowanie własności gminnéj nie istnieje, istnieje *de facto*, bo leży ono nie w interesie ekonomicznym gminy całéj, ale w interesie zabezpieczenia regularnéj opłaty podatków przez gminę. Oczywiście, im większe rozparcelowanie ziemi, będącéj w posiadaniu pewnéj jednostki ekonomicznéj, tém położenie jéj gorsze wskutek dalekich przejazdów, trudności uprawy wąskich pasów, niemożności zastosowania ulepszonych narzędzi itd. Z czasem niedogodności te stają się tak przygniatającemi, że zmuszają gminę do przeprowadzenia nowego działu.

Powiedzieliśmy, że do cech charakterystycznych gminy wielkoruskiéj należy przysługujące jéj prawo robienia działów ziemi, o których dopiero co mówiliśmy. Działy owe bywają dwojakiego rodzaju: z u p e ł n y — kiedy się nawet miedze rozorują, zmienia całkowicie formę i wielkość uposażenia i n i e z u p e ł n y czyli l o s o w a n i e. Przy tym ostatnim sposobie postępowania działy pozostają te same, tylko przechodzą one drogą losowania do innych gospodarzy. Zwolennicy wyidealizowanéj gminy upatrują w losowaniu ziemi *non plus ultra* prawa niwelującego nierówności ekonomiczne, o ile one z przyrodzonych właściwości gleby wynikają, chociaż i tu nie leżą wcale w osnowie żadne niedościgłe dla innych, wysoko-humanitarne lub wysoko-społeczne cele gminy, ale poprostu chęć zadośćuczynienia żądaniom fiskalnym. Z tego zaś, że kwestya nowych działów taką lub inną drogą odbywa się przez głosowanie, na mocy większości głosów, nie należy także wyprowadzać wniosków ułudnych, bo na podstawie manifestu i ustawy 19 lutego gminie służy prawo załatwiania w s z y s t k i c h spraw, jéj dotyczących, większością ($^2/_3$) głosów.

W jaki sposób przeprowadzają się działy?

Zaczniemy od ziemi ornéj. Każde z trzech pól (klin), na które ziemia orna gminy jest podzielona, dzieli się oprócz tego jeszcze na kilka pasów (zagon), rozmaicie nazywanych (*kon*, *jarus*, *stołb*), w których każdy gospodarz otrzymuje swoję cząstkę. Wielkość jéj zależy od ilości „dusz", składających gospodarstwo; tak więc jednostka ziemi, otrzymana z podziału pasu lub konu, staje się wyobrazicielką jednostki osobowéj. Podział włościanie uskuteczniają za pomocą żerdzi i sznurów zupełnie zadawalniająco. Przyczyną zasadniczą, wywołującą podział pola (1) na zagony lub kony, jest różnorodność gatunku gleby i rozmaita odległość uczątsków od wsi, jako centrum gminy. Pojedyncze parcele, przypadające wskutek takiego działu na każdą „duszę", stanowią razem pewną całość większą lub mniejszą, stosownie do ilości dusz. Ponieważ pole, czyli, jak na Ukrainie mówią ręka, nie składa się z jednolitego kawałka gruntu, co do dobroci i oddalenia, podział każdego konu lub zagonu, według ilości dusz, pozwala w części uczynić zadość słuszności i sprawiedliwości, ze strony wyłącznie ekonomicznéj.

Dział na zagony lub kony praktykuje się głównie we wsiach niewielkich, liczących około 30 gospodarstw (chat, dworów). Wielkie gminy postępują inaczéj: cała gromada dzieli się na kilka grup gospodarzy, równych co do liczby. Grupy te (*ośmaki*), których członkowie nazywają się „szabrami"—wyraz, dla którego odpowiedniego w polskim języku nie znajduję (2) — przy nowém dzieleniu ciągną losy, a potém „szabrowie" dzielą między siebie część zagona porówno. Część taka otrzymuje nazwę losu, udziału (*dola*, *ośmak*, *ośminnik*). Z początku wylosowane części zadawalniają mniéj więcéj wszystkich i przedstawiają pewną całość, z czasem jednak, wskutek następujących działów familijnych, zamiany cząstek losów i nareszcie skutkiem przymusowego zmniejszania lub powiększania działów (*skidka i nakidka dusz*), o którém mówiliśmy poprzednio, niepodobieństwem jest uniknąć chaosu i ekonomicznych niedogodności, zaznaczonych wyżéj. Wprawdzie gospodarze starają się zmniejszyć niedogodności nową zamianą, poprzeczném odcinaniem cząstek, wreszcie wydzielaniem nowych na końcach lub klinach, — są to jednak środki niezupełnie zapobiegające, bo nieusuwające radykalnie złego, a więc po upływie pewnéj liczby

---

(1) Pole *v.* ręka, wyraz używany przez rolników, oznacza pewną część gruntu, objętą systemem gospodarstwa polowego. W trzypolówce pole onacza trzecią część całości ujętéj w system, w czteropolówce—czwartą część itd.

(2) Jest stary wyraz „siabry", używany dotąd na Litwie (*Przyp. Red.*)

lat znowu podział staje się koniecznością, na którą wszyscy godzić się muszą.

Orłów (1), bardzo sumienny badacz stosunków gminy wielkorosyjskiéj, utrzymuje, że im więcéj pewna gmina posiada słabych ekonomicznie jednostek i więcéj działów pustkujących, tém epoki jeneralnych działów są bardziéj zbliżone do siebie. W pierwszym razie, gromada, ażeby zadość uczynić żądaniu regularnéj opłaty podatków, zmuszona jest uciekać się do zwiększania lub zmniejszania działów, a więc w rezultacie sama niekiedy wywołuje drobnienie uposażeń. Co zaś do działów pustkujących, nie trzeba chyba dowodzić o ile one są szkodliwe dla gminy. Pomijam już to, że gmina nie ma z nich żadnego pożytku, ale pustując stają się rozsadnikami, chwastów i owadów szkodliwych,—złe następstwa, płynące z tego dotykają wszystkich i wytwarzają łącznie z innemi przyczynami pobudkę do częstszych działów (2). Gminy miernéj zamożności, w których między gospodarzami nie ma wybitnych różnic w ekonomiczném położeniu, lub gdzie opłata podatków odbywa się regularnie, przez bardzo długi czas nie robią nowych działów. W gminach zaś, w których różnice majątkowe gospodarzy są znaczne, gdzie obok zamożnych i bogatych są bardzo ubodzy, nowe działy wcale prawie nie powtarzają się. Z jednéj strony bogaci nie chcą ustąpić ubogim swoich działów dobrze uprawianych, a wziąć zapuszczonych; z drugiéj—przy ubóstwie gminy nie ma amatorów na niezajęte grunta, gromada staje się obojętną na niedopłaty podatkowe na téj zasadzie, że „goły nie boi się złodzieja“.

W takich wypadkach, kiedy podział nie jest zpowodowany potrzebą zwiększenia lub zmniejszenia jednostki ziemi, a więc kiedy uposażenia jednostki roboczéj (dusza) mogą pozostać bez zmiany, gmina nie ucieka się zwykle do działów zupełnych, połączonych z przeoraniem miedz granicznych, zdaje się głównie z tego powodu, że zniszczenie miedz, jako wązkich, stwardniałych pasów ziemi wymagałoby wiele pracy i zachodu. Tak sądzi Gołowin. Daleko słuszniéj jednak będzie przypuścić, że gmina taka posiada jednostajną glebę pod względem geo-chemicznym i fizycznym, a więc nowy dział zupełny nie jest dyktowany, żadną ekonomiczną koniecznością; w takim razie utrzymanie dawnych miedz staje się logiczném, bo, nienaruszając w niczém równości gromadzkiéj, usuwa niepotrzebną pracę i nakład. Tylko takiemi pobudkami da się wytłómaczyć fakt dokonywania zamiany cząstek posiadanych bez działu jeneralnego, za pomocą jedynie losowania.

---

(1) Formy posiadania ziemi, rozdz. 6.

(2) Gołowin: wlejska gmina str. 44.

Dział przez losowanie polega na tém, że najprzód oblicza się ile jest jednostek roboczych całkowitych i cząstkowych, przypadających na każde gospodarstwo (osada wiejska, *dwór*), a następnie wszyscy gospodarze ciągną losy, oznaczające porządek władania w pewnym zagonie. Jeżeli zachodzi konieczna potrzeba zmiany ilości jednostek roboczych, w zwiększającym się lub zmniejszającym się stosunku, np. kiedy gmina od zasady działu według dusz popisowych przechodzi do zasady według jednostek roboczych lub według siły pociągowéj, wtedy dział jeneralny całéj ziemi gminnéj staje się niezbędnym.

Ziemia sadybna wbrew prawu także działowi ulega jednocześnie z ziemią orną a niekiedy oddzielnie. W gminach, gdzie nawet działy zdarzają się co 3—6 lat, ziemia sadybna pozostaje dłużéj we władaniu i dzieleniu podlega w większych odstępach, dla tego że każdy włościanin bardziéj ją ceni.

Ziemia sadybna składa się, jak wiadomo, z dwóch kategoryi: właściwéj sadyby i ogrodu. Sadyba (dwór)—używamy tu wyrazu ruskiego—mocą ustawy gminnéj wyjętą jest z kategoryi własności gminnéj,—podlega prawu dziedzicznéj własności i opłaca podatek według innéj skali. Mimo to do ziemi sadybnéj stosuje się władza gminy tak samo jak i do ziemi ornéj: ogrody włościańskie ulegają także działom i prawu gminy zwiększania lub zmniejszania jednostek robotniczych ze względów podatkowych. Podział ziemi ogrodowéj w widokach familijnych—np. przy oddzieleniu się jednego z członków celem założenia odrębnego gospodarstwa—wytwarza już nietylko nadmierne rozkawałkowanie ziemi, ale pociąga za sobą często zakładanie nowéj sadyby na otrzymanym kawałku. Nie potrzeba chyba mówić o tém, jak podobne skupienie budynków z drzewa i słomy szkodliwém jest dla bezpieczeństwa ogólnego (pożary). Ostatniemi czasy „ziemstwa" wmieszały się w atrybucye gminne i zabroniły siedlenia się na téj saméj sadybie, obowiązując natomiast każdego nowego gospodarza do budowania się za wsią. Tu znowu nastręcza się trudność z ogrodem, gdyż ziemie na nowéj sadybie nie zawsze na ogród przydatne. W celu zaradzenia niedogodności, dla nowéj sadyby odcina się część ogrodu sąsiada i w takiéj saméj proporcyi u każdego następnego w całéj linii. W ten sposób czyni się niby zadość sprawiedliwości.

Łąki bardzo rzadko pozostają we władaniu tegoż samego gospodarza w okresie między dwoma działami; wyjątkowo stosuje się to tylko do zamkniętych kawałków lub pasów. Zwykle dzielą się za pomocą losowania corocznie, przyczém bierze się w rachubę nietylko przestrzeń, ale i gatunek trawy. Zdarza się niekiedy napoty-

kać dokonywany wspólnemi siłami zbiór trawy i dzielenie się dopiero sianem (w naturze).

Wygony pozostają zawsze w posiadaniu wspólném. Z lasów gmina wielkoruska użytkuje w sposób dwojaki: albo wydzielają się parcele do użytku każdego gospodarza, albo téż pozwala się corocznie wyrąbać pewną ilość drzewa opałowego, bierwion, żerdzi itp. Pierwszy sposób prowadzi gospodarstwo leśne do ruiny, bo każdy stara się na swoim działku nic nie pozostawić; drugi—nie jest najlepszy, ale oszczędniejszy. Chrust dzieli się między gospodarzy na pniu, a każdy rąbie go sam dla siebie.

Pozostaje nam jeszcze powiedziéć o wzajemnéj poręce. W znaczeniu odpowiedzialności majątkowéj jednego członka gminy za niewypłatność drugiego nie wykonywa się ona prawie nigdy. W praktyce sądowéj wzajemna poręka zalicza się niemal do fikcyi, w codziennném życiu włościańskiém zaś jest tylko owym mieczem Damoklesa, wiszącym nad majętnością każdego akuratnego i zamożnego gospodarza. Ona daje prawo gminie odebrać ziemię od zalegającego w opłacie podatków (w działalności gminy ten jeden motyw do akcyi występuje zawsze), część lub nawet cały dział i dzięki tylko temu prawu gmina nie dźwiga na sobie ciężaru i następstw wzajemnéj poręki. W znacznéj więc mierze występuje ona jako pierwotna przyczyna cząstkowych i jeneralnych działów w gminie i staje się przeszkodą do organizowania się trwałéj własności indywidualnéj, najbardziéj odpowiadającéj, przy teraźniejszym stanie kultury, wymaganiom ekonomicznym, intelektualnym i społecznym człowieka. Ona to stanowi zasadniczą cechę, różniącą własność pospólną od własności indywidualnéj. Usunąć wzajemną porękę, przyznać obowiązkową odpowiedzialność indywidualną za regularność opłat podatkowych każdego gospodarza, usunąć podziały ziemi gminnéj, o których mówiliśmy—a wnet owa idealna powszechność, rujnująca ekonomicznie włościan, istniéć przestanie.

Zanim przejdziemy do skreślenia innych właściwości życia gminy wielkoruskiéj, musimy jeszcze zastanowić się nad znaczeniem wyrazu „dusza“, którego kilkakrotnie użyliśmy. Zdawać-by się mogło, że przez „duszę“ rozumiéć należy każdą jednostkę do pracy zdatną albo téż jednostkę, posiadającą pewne uposażenia gruntowe. Wcale nie. D u s z a nie tylko nie odpowiada nadziałowi ziemią, często nie prowadzi własnego gospodarstwa, ale nieraz nie stoi w żadnym stosunku do ilości zdatnych do roboty mężczyzn w gminie. Jest to więc nomenklatura fikcyjna, pojęcie oderwane, reprezentujące pewną opodatkowaną jednostkę ziemi. W ten sposób,

w gminie, dusza nie jest robotnikiem ani nawet istotą żywą, ale wyobraża gospodarstwo włościańskie (osada, *dwor*), na czele którego stoi jeden człowiek—gospodarz—który dysponuje robotą i majątkiem ludzi osiadłych na tém gospodarstwie (1).

Stojąc więc na czele swego gospodarstwa, wypełnia wszystkie powinności, płaci podatki, pilnuje nienaruszalności posiadanych gruntów—jedném słowem, zachowuje się tak jak właściciel indywidualnéj własności, od którego różni się tylko tém, że gmina może mu część a nawet cały grunt odebrać, ażeby stworzyć nową jednostkę ekonomiczną, a na wypadek śmierci nie wié on czy całe jego gospodarstwo, a raczéj ilość posiadanego gruntu do dzieci przejdzie.

Panuje przekonanie, że organizacya rodziny w życiu wielkoruskich włościan była jakoby podobna do organizacyi gminnéj, i w ten sposób odpowiadała harmonii życia ekonomicznego. Jestto przekonanie błędne. Rodzina wielkoruska opiera się na podwładności majątkowéj i indywidualnéj wszystkich jéj członków, aż do najdalszych rozgałęzień, głowie rodziny. Tworzy więc, jak łatwo zrozumiéć, całość jednolitą, zamkniętą i niepodzielną przynajmniéj za życia téj głowy. Członkowie rodziny mogą opuścić go, mogą tworzyć własne gospodarstwo na ziemi pustkującéj, ale żądać wydziału majątkowego nie mogą. Tak się działo w Rosyi od bardzo dawna, a owi niezadowoleni, opuszczający rodzinne gniazdo, wytwarzali zgraje włóczęgów, rozbójniczyli lub też na kresach państwa jako „wolnica“ i „kozacy“ bawili się grabieżą. I dziś porzucają oni rodziny tak samo jak dawniéj, szukając rozmaitego zarobku daleko od gniazda. Owe niby podobieństwo rodziny i gminy polega na nieuznawaniu przez obie instytucye indywidualnego prawa majątkowego. Ale w rodzinie niepodzielność majątkowa wypływa z pokrewieństwa i każde usiłowanie podziału jest jednocześnie usiłowaniem zrujnowania rodziny. W gminie dzieje się odwrotnie: pokrewieństwo między jéj członkami nie istnieje, a zwierzchnicze prawo na własność wspólną nie wyraża się nieograniczoném wspólném władaniem, ale w y d z i e l e n i e m k a ż d e m u j é j c z ł o n k o w i p r o p o r c y a l n é j c z ę ś c i t é j w ł a s n o ś c i. Zasadnicze podstawy gminy i rodziny nietylko nie są identycznemi, ale przeciwnie stają często ze sobą w kolizyi: gmina musi łagodzić spory, wynikłe skutkiem podziałów familijnych, a więc często wewnętrzny ustrój rodziny naruszać.

Przejdźmy teraz do drugorzędnych, mniéj typowych stron życia gminy wielkoruskiéj.

---

(1) Gołowin, rozd. III.

Jeżeli gmina ta jest nietylko formą władania ziemią, związaną ściśle z systemem opodatkowania, jeżeli ona oprócz tego jest, jak utrzymują, odbiciem narodowego ducha (na co się Laveleye godzi), to mianowicie w życiu wielkoruskiego włościaństwa powinny być uwidocznione rysy i cechy, świadczące o sile i żywotności gminy. Przedewszystkiém powinny się one ujawnić w formie pracy. W rzeczywistości zaś tego nie widzimy. W żadnéj z gałęzi gospodarstwa wiejskiego nie spostrzegamy pracy kolektywnéj. Prawda, dowiadujemy się, że w kilku głuchych zakątkach gub. Wiackiéj i Nowogrodzkiéj, rolnicy prowadzą wspólnie gospodarstwo polowe— i oto wszystko. Orka wspólnemi siłami uskuteczniana niegdyś pod posiewy, przeznaczone dla magazynów gromadzkich w majętnościach ministeryum dóbr, obecnie zaniedbana zupełnie, a gdzie jeszcze istnieje, to nie z inicyatywy włościan, ale administratorów lub ziemstwa. Zresztą, nie słychać nic o tém, ażeby wspólna uprawa roli świetne dawała rezultaty. Wogóle, jako regułę, można utrzymywać, iż włościanie niechętnie podejmują się kolektywnéj pracy wtenczas nawet, kiedy ona jest korzystną i łatwą (np. zbiór zboża, siana, orka i t. p.), lecz dzielą pole na kawałki i każdy na swojém pracuje. Pochodzi to stąd, że każdy obawia się zrobić więcéj niż potrzeba, stąd wynika, że robota kolektywna pod względem szybkości i wartości odpowiada nie najlepszym ale najgorszym robotnikom.

Publicyści lubią bardzo podnosić dwa zjawiska z życia gminy wielkoruskiéj: opiekę i pomoc gminy. Opieka ma polegać na niedopuszczeniu takiéj metody kultury, któraby stanowiła przeszkodę dla wspólnego pastwiska lub téż groziła wycieńczeniem gruntu. Ażeby zadośćuczynić pierwszemu żądaniu, gromada nie pozwala wprowadzenia innego systemu oprócz trzypolówki, która w ten sposób staje się obowiązującą dla wszystkich. Taką samę opiekę rozciąga nad członkami gminy i gromada ukraińska. Jest to, można powiedzieć, macosza opieka, opieka polegająca na wspólnéj ciemnocie i ociężałości członków, opieka rujnująca gospodarstwa włościańskie, jak to mieliśmy sposobność wykazać na inném miejscu (1). Gospodarstwa włościańskie, w gminie wielkoruskiéj, uprawiają len po lnie przez wiele lat bez obornika, a obornik sprzedają; w tych wypadkach gmina nie opiekuje się, nie troszczy się o gospodarstwo, więc na czémże opieka polega?

Co do wspólnéj pomocy—nie należy w niéj upatrywać również ideału solidarności gminnéj, przeciwnie da się ona sprowadzić do

(1) O położeniu małéj własności ziemskiéj i robotników wiejskich na Ukrainie, Podolu i Wołyniu. Dodatek miesięczny „Przeg. Tyg." N. 4 i 5. 1887.

granic bardzo szczupłych. Gromadzka pomoc przybiéra dwie formy. Kiedy włościanie zabudowują się na nowo, np. po pożarze, pomoc polega na tém, że drzewo budulcowe zwożą wszyscy lub kto może; wdowom lub sierotom sąsiedzi pomagają żąć zboże, wozić, kosić siano. Dzieje się to na całym świecie, u wszystkich narodów, we wszystkich państwach i jest charakterem nie gminy wyłącznie, ale raczéj natury ludzkiéj. Zresztą, jeżeli już o to chodzi, to trzeba dodać, że owa pomoc nie jest bezinteresowna — niosą ją za częstunek, który nieraz wartość pracy przenosi. Tyle da się powiedziéć o wzajemnym stosunku włościan w gminie.

Wypada jeszcze podniéść jeden fakt, który zwykle bywa fałszywie oświetlany. Wykazy banku włościańskiego świadczą, że najczęściéj (przeszło 52%) ziemię kupują gminy, następnie idą stowarzyszenia włościańskie (około 47%), a w końcu dopiéro własność indywidualna (około 1%), — ma to być najlepszym dowodem żywotności gminy, jéj racyi bytu w przyszłości i niesympatycznéj, jakoby, ludowi formy idywidualnego władania. Jeżeli to dowodzi czego, to chyba uprzedzenia obrońców gminy, gdyż zjawisko samo przez się poprostu zastrzeżone jest statutami banku, który, trzeba to przyznać, włościanie wielkoruscy lepiéj rozumieją niż ich obrońcy. Włościanie, nabywający ziemię przy pomocy banku, jeżeli nabywają gminą całą, dopłacają tylko 9%, przy nabywaniu towarzystwami (grupami) dopłacają 14%, a kupując na własność indywidualną dopłacają 50%. W ten tylko sposób stało się możebném dla włościan z gminy kupno wielkich obszarów, niedostępnych dla własności indywidualnéj (*dwor*), która ma zakreśloną maksymalną pożyczkę do 500 rs. Statut banku włościańskiego miał wprawdzie na uwadze głównie interes włościan, ale zagwarantował sobie najwięcéj bezpieczeństwa i spokoju, a dając pierwszeństwo w nabyciu ziemi gminie, zabezpieczył w ten sposób wypłatność regularną podatków i rat pożyczkowych. Jest to jednak jeszcze bardzo niepewną szansą, czy gminy, nabywszy ziemię, zechcą utrzymać ją we władaniu wspólném, tém bardziéj, że większość kupna wypada na gubernie, w których indywidualna własność przeważa; mieliśmy zaś sposobność widziéć, że zasadniczo indywidualne władanie godzi się ze wspólnością gminy—może i kompromis łatwo się znajdzie.

Jeszcze słówko o przejściu od władania zbiorowego do indywidualnego. Przejścia te, o ile wiadomo, odbywają się bardzo powoli, a z tego faktu obrońcy wspólności gminnéj chcą wnosić o wrzekomém przywiązaniu włościan do téj formy. Z tego, cośmy mówili, wnosić można o ile podobny domysł jest ułudny. Jeżeli może być mowa o przywiązaniu z konieczności—w takim razie uwaga nie po-

zbawiona jest słuszności, a koniecznością tą jest podatek na gminę nakładany. Skasować system pobierania podatków, obecnie istniejący ze wspólną odpowiedzialnością na czele — a gmina w znaczeniu kolektywném istniéć prędzéj lub późniéj przestanie, gdyż gmina wielkoruska nie jest wcale związkiem ludzi, połączonych ze sobą świadomie, celem wspólnego władania ziemią, lecz garstką zlepioną cementem fiskalnym. Ponieważ nie ma świadoméj przyczyny, wiążącéj tę garstkę, dla tego téż nie może być świadoméj kolektywnéj gminy, tak samo jak nie ma bezwarunkowo indywidualnéj własności włościańskiéj. Obie formy władania ziemią posiadają bardzo wiele cech wspólnych, które dopiéro przy bliższém badaniu spostrzedz się dają.

Wbrew więc twierdzeniu Laveleye'a, że we własności pierwotnéj góruje pierwiastek społeczny, w gminie wielkoruskiéj śladu tego pierwiastku doszukać się niemożna, przeciwnie zaś nicią przewodnią całéj organizacyi jest troska o podział i regularną opłatę podatków, często z zupełném pominięciem praw i potrzeb społecznych jednostek, gminę składających.

(*D. n.*) *Fr. Gawroński.*





SPIRTUO Z ROZDOŁÓW.

Była to niedziela.

Rozdoły roiły się od wystrojonych dziéwek i oporządzonych parobczaków, a wszystko to śpieszyło w stronę kościołka, którego wieżyczka, widna zdala, teraz połyskiwała do wiosennego słońca i donośnym swym dźwiękiem wzywała do stóp swych blizkie i dalekie sioła.

Pod kościołem jeszcze panowała cisza. Dziad roztwierał dopiéro na rozcież cienkie wrota, prowadzące do jego wnętrza, a organista stroił na chórze organy, by go w ważnéj chwili nie zawiodły.

A kościół to był, jak wszystkie, ze spadzistym dachem, stał na pagórku i miał trzy wejścia. Jedno prowadziło do głównéj nawy dwa boczne zaś do dworskiéj kaplicy i do zakrystyi.

Ku téj ostatniéj dążyło pośpiesznym krokiem dwóch chłopaków, którzy wyglądali jak dwaj bliźniaki. Obaj jednakowego byli wzrostu i podobnéj budowy. Obaj jednakie mieli ubranie, złożone z brunatnéj sukmany, z pod któréj widniała tylko u każdego biała z grubego płótna koszula, związana u szyi czerwoną tasiemką.

Chłopcy mogli liczyć najwyżéj po cztérnaście lat wieku, wyglądali ożywieni, a twarze ich były wyraziste.

Jeden z nich mianowicie, brunet, miał dziwnie rozbudzone oblicze, sprytne oczy i przedwcześnie wykształcone rysy, w których byś już z trudnością odnalazł dzieciaka.

Szedł on pierwszy, robiąc ogromne kroki swemi krótkiemi nogami, obutemi w zaduże i ciężkie buty.

Widocznie usiłował wyprzedzić swojego rówiennika, który drobił za nim i biegł prawie, by mu tylko dorównać.

Obaj się zadyszali i zwolnić musieli pod pagórkiem, u szczytu którego stały na podwyższeniu z trzech kamiennych schodów, drzwi gęsto obite gwoździami z dużym czarnym zamkiem i tkwiącym w nim kluczem.

Te drzwi prowadziły do zakrystyi.

— Słuchaj ino Antek — odezwał się, stanąwszy wreszcie na pagórku, pierwszy z wyrostków, obracając się do towarzysza i przybierając energiczną, buńczuczną minę—jak ty mnie będziesz wyprzedzał i przezemnie wołał „*amen*“, to ja ci takie sprawie lanie, że świéczki ci się zaświécą we łbie, kieby na roratach.

— Ciewy?—odparł przystając zadyszany Antek—takiś ty zuch! patrzajcie go! Abo ja ci gębę zatykam? gadaj sobie zdrów! a ja się żadnych pogróżek nie boję i na ciebie jąkało czekać nie będę, gdy jegomość zaśpiewa „*dominus vobiscum*“. Durnyś Maciek z twemi roratami, lepiéj byś uważał na jegomościa i duchem ino usłyszysz *cuum*, walił swoje *et cum spiritu tuo*.

Maćka oczy, wlepione w oblicze Antka, piorunowały. Zacisnął usta, ręce zwinięte w pięści schował w kieszenie od sukmany i wycedził dobitnie:

— Więc ty! ino się miarkuj i czekaj, żebyśmy obaj wraz odpiérali jegomości, bo cię śmierć minie, ale cię zemną obrachunek nie minie.

To powiedziawszy, ruszył pierwszy i w chwilę potém wszedł do zakrystyi z trudnością otworzywszy drzwi, które, pomagając sobie kolanem, ledwie zamknął za sobą Antek.

Tutaj obaj przywdziali szerokie białe koszule ozdobione od dołu koronką, a wyjęli je z dużéj szafy dębowéj i przy niéj stanęli w milczeniu. Przypatrywali się sobie wzajemnie co chwila, a za każdém spojrzeniem inny wyraz okraszał ich młode twarze.

Zdawali się z niecierpliwością oczekiwać początku nabożeństwa, które jakkolwiek napełniało ich uroczystym nastrojem, nie przeszkadzało im w przechowaniu swych zobopólnych uraz, bo Maciek często marszczył brwi i zaciskał usta, a Antek to uśmiechał się figlarnie, to znów płaczliwą robił minę, gdy go despotyczny towarzysz z nienacka obdarzył kuksem ręką w pięść złożoną i w fałdach swéj koszuli ukrytą.

Wreszcie kościół się napełnił pobożnym tłumem, proboszcz się ubrał i dzwonek oznajmił początek mszy.

Maciek z księgą w obu rękach, a Antek jak zawsze, tak i teraz za nim, ruszyli za księdzem.

Msza się zaczęła.

Cztérnastoletnia twarz Maćka zmieniała się ciągle i stopnio-o, przybierając coraz ostrzejszy i starszy wyraz. Zaciskając usta,

spoglądał na Antka, który udawał, że nie czuje tego wzroku towarzysza, spoczywającego uparcie na nim, tylko po każdéj odpowiedzi rzuconéj księdzu, uśmiéchał się cichaczem, opuszczając głowę, jak gdyby téj wesołości powstrzymać nie mógł.

Maciek zaś się mienił, różowa czerwoność młoda, świéża okrywała całą twarz jego aż po białka oczu, po uszy.

Straszny gniéw wrzał w nim i rodziła się w tém młodziuchném sercu szalona złość, bo Antek wciąż go wyprzedzał w odpowiedziach.

Zaledwie ksiądz skończył śpiéw, gdy już Maciek odpowiadał, ale odpowiadał sam, bo Antek zdołał go wyprzedzić. Zdawało mu się, że cała gromada wtapia w niego pytające oczy, dlaczego Maciek późniéj od Antka odpowiada, czyby się nie nauczył jeszcze, czy co?

Rumieńce wstydu paliły jego twarz i czuł, że gdyby nie kościół, nie msza święta, z nieznaną sobie samemu zajadłością rzuciłby się na Antka.

To hamowanie się pogorszało jego wewnętrzne cierpienie.

Myślał, jak się zemści, kiedy, w jaki sposób. Układał w głowie cały plan bitki, w któréjby mu się udało powalić swego rówiennika i na zawsze go oduczyć od wyprzedzania go.

Te myśli jeszcze bardziéj go rozstrajały i coraz większe popełniał omyłki i coraz dłuższym mu się wydawał czas, jaki upływał między końcem odpowiedzi Antka, a jego.

Zdawało mu się, że ta msza się nigdy nie skończy, a Antek się wciąż śmiał i co chwila wyzywająco na niego spoglądał.

W tém ksiądz zaśpiewał ostatnie.

— *Dominus vobiscum.*

Antek odparł.

— *Et cum spirttuo.*

Maciek zaczął.

— *Et cum*—i urwał, bo się bał już usłyszéć tego strasznego solo wymawianego—*spiritu tuo*, bo Antek już wstawał, by przejść na jego miejsce, jak porządek tego wymagał.

Maciek się zerwał, i gdy u stóp ołtarza w samym środku wymijał Antka, gdy tenże wyzywający i pytający uśmiéch mu w twarz rzucił, poczęstował go krótkim, niewidzialnym kułakiem, ale tak silnym i tak dobrze obmyślanym, że Antek aż głucho jęknął i zachwiał się.

Msza się skończyła, ludzie się rozeszli, kościół się opróżnił i nastała niedzielna cisza popołudniowéj godziny, w któréj tylko świergot ptaków, gnieżdżących się w krzewach bzów pod świątynią, tchnął wiosennėm życiem,

W wąwozie, prowadzącym od kościoła do wsi, stał Maciek ukryty w krzakach i czekał na kogoś, bo wyzierał wciąż na ścieżkę, wijącą się po pagórku.

Tą ścieżką biegł Antek od kościoła do domu.

Ale Maciek mu zastąpił drogę, w chwili, gdy go już miał wyminąć.

— A co—zapytał, wyciągając z kieszeni swe drobne ręce i plując w nie, jak to czynią chłopi, zabiérający się do walnéj rozprawy—a co? teraz choćbyś i jednym tchem całą mszę świętą wyrecytował, to cię śmierć nie minie, ty psia bestyo, ty *spirtuo*.

To mówiąc, rzucił się na Antka i stoczyli się obaj z pagórka, trzymając się za bary i walając w kurzu.

Obaj byli snać równych sił, bo z godzinę trwały te milczące zapasy, w których tylko słychać było chrapanie wysilonych piersi.

To jeden, to drugi był górą, to jeden, to drugi stękał, jak gdyby mu coś gniotło klatkę piersiową, to jeden, to drugi z wysiłkiem, słabym głosem szeptał niezrozumiałe obelgi,

Wreszcie podniósł się Maciek z ziemi, opuszczając ledwie dyszącą ofiarę.

— Ty spirtuo!—mruknął tylko z wysiłkiem i splunął, ruszając z miejsca.

Ale nie uszedł kilka kroków i sam się obsunął na ziemię.

II.

Minęło lat dziesięć.

Wszystko się na świecie zmieniło, w Rozdołach nie wiele, bo ten sam kościołek rozglądał się ze swego pagórka po tych samych starych strzechach pokrzywionych chałup. Ta sama wydeptana ścieżka prowadziła od świątyni do wsi, omijając wąwóz i tylko podrosły ocieniające ją krzaki, a spoważniały stare szumiące nad nią lipy.

Tak samo téż i ludzie, jedni pochylili swe jaśniejsze głowy ku ziemi, a drudzy wystrzelili ku niebu.

We wsi panowała niezwykła cisza, bo to był dzień słynnego dorocznego jarmarku, w niedalekim Murlasie. Co żyło, podążyło na tę ludową uroczystość i zostały tylko stare baby i dzieci, bawiąc się na gościńcu piaskiem, czy w podwórzach tarzając się w kupach wysuszonego gnoju.

Ale jedna chałupa stała w Rozdołach na pagórku, tuż nad gościńcem, zupełnie inna od swych sąsiadek, strojna i prosta, wybielona i nowa, jakby domostwo jakiego przodownika gromady czy

spanoszonego wójta. Zbudowana téż była według nowych zasad i postępowych pojęć. Światło do jéj wnętrza wpuszczały dwa duże stosunkowo okna z umalowanemi futrynami, a nietylko, że była wyższa od wszystkich, ale nadto na podmurówce wzniesiona.

Chałupa ta wyglądała, jak gdyby była postawiona, by zdobić stare i walące się Rozdoły, by zwracać uwagę przechodnia, zastanawiając ją nad znaczeniem właściciela.

To téż nie przejechało ani nie przeszło gościńcem dwóch chłopów, odkąd ona tutaj stanęła, z którychby jeden nie zwrócił na nią uwagi i nie odezwał się

— Toż temu Maciejowi Salamandrze dobrze dziać się musi, skoro sobie taki dwór pobudował i jeszcze okna, kiejby nie chłop jaki, tylko szlachcic, czy co u licha, pomalował.

Ogromnie się Rozdoły i wszystkie wsie okoliczne nad tą chałupą Macieja dziwiły. Jedni go potępiali, drudzy ruszali tylko ramionami, a byli i tacy, którzy się śmiali, ile razy spojrzeli na to domostwo, tak mało od innych się różniące, nieco wyższe, nieco bielsze i kwita.

Dnia tego na ławie przed tą chałupą siedziała niewiasta, trzymając na kolanach małe dziecko, niemogące więcéj liczyć, jak kilkanaście miesięcy. Rozglądała się dokoła siebie i zdawała się dziwić, że tak we wsi cicho i głucho, że nikt to w tę, to w owę stronę nie śpieszy, że żadne głosy nie wydobywają się z zagród i nie prują powietrza i nie zapełniają życiem wioski.

Wtém usłyszała głos, odzywający się, jakby od strony sąsiedniéj zagrody, od płota, tworzącego granicę między Salamandry, a Gorzenia przysadą.

— Maciejowa! Maciejowa — brzmiał kobiecy głos cichy i stłumiony.

— A to wy Antkowa! — odezwała się w odpowiedzi zagadnięta, po chwili rozglądania się dokoła i poznawszy swą sąsiadkę zakrytą do połowy płotem, a do drugiéj połowy, ginącą w gałęziach wiśni—no chodźcie tutaj i nie bójcie się, mojego nie ma w domu, pojechał, jak i wasz, na jarmark. Chodźta! pogawędzimy, bo i tak siła czasu nie wymieniliśwa pozdrowienia.

Tymczasem Antkowa przeskoczyła lekko płot i dążyła ku Maciejowéj.

Obie kobiety były jeszcze młode. Praca nie zniszczyła cery delikatniejszéj ich twarzy, ani nie zdarła jeszcze z ich oblicza młodocianéj świéżości.

Widocznie bardzo niedawno one za mąż wyszły, a lgnęły dawniéj do siebie, gdy były hożemi dziéwkami, gdy robota we dworze u żniwa, czy u młocarni, łączyła je codzień razem.

Rozmawiały to o tém, to o owém, to przycichały i szeptały, jak gdyby je kto mógł podsłuchać, to wybuchały głośnym śmiéchem, to wyrywały sobie wzajemnie słowa, jakgdyby w tak bliskiém sąsiedztwie, rzadko miały sposobność wygadania się.

A to jedna, to druga od czasu do czasu wyciągała głowę i zdawała się śledzić, czy ich kto z gościńca, czy chałupy jakiéj nie widzi i nie podgląda.

Wreszcie ciężko westchnęła Antkowa i odezwała się.

— Oj biéda! biéda! z tymi naszymi chłopami! O co oni tak na siebie się rozżarli? i tak nam, cośwa się dobrały i poprzyjaźniły, trzeba się cichaczem, kiéj złodziejkom jakim, wystrzegać, gdy się zejdziewa. Żeby choć żywa dusza wiedziała, o co tym chłopom poszło i o co wasz tak się rozżarł i co im się uplątało?

Maciejowa westchnieniami tylko potakiwała przyjaciółce, a gdy ta, spoglądając na nią przycichła, odezwała się.

— Ale to tak się rozżarł, mówię wam Jantkowa, że kiejsikś już, już, myślałam, że przyjdzie do bójki i że jeden drugiego poturbuje.

— Kiejsisikś to było? mówcie la Boga! — wtrąciła żywo zaciekawiona kobiéta.

— Ot! posłuchajcie, to wam opowiem, a może co wymiarkujecie, bo ja już całkiem głupia i tych chłopów pojąć... nie moja głowa.

— Nie nasza i niczyja— podchwyciła znów druga — bo kiedysikś sam jegomość pytał się mojego, o co on tak się na waszego sierdzi, a chłop odparł.

— Co odparł?

— Ino odparł: „niech jegomość dają spokój, już nas nikt nie pogodzi, tylko święta ziemia, gdy jegomość nas do niéj pokropi“. Tak mój powiedział; ale opowiadajcie, coście miały na gębie.

— Oto — zaczęła Maciejowa — kiejsikś tak sobie siedziałam, kiejby dzisiaj, a mój poszedł między czereśnie i kozikiem obcinał gałęzie, co je robaki przysiadły. Wtém!... słyszę, mój cościkś gada, obracam się a tu patrzę i oczom nie wierzę... Wasz takosikś chodzi po swoim sadzie i obziera te jabłonki, co posadził tak rok.

— Chryste panie! nic a nic, żeby mnie kto zabił, nie wiedziałam o tém; i chłopy przemówiły się? — wtrąciła Antkowa, nachylając się do sąsiadki z najżywszą ciekawością.

— Co oni sobie zrazu powiedzieli — ciągnęła daléj Salamandrzyna — tego wam nie powiem, bo nie słyszałam. Ale zaraz, jak tylko nadstawiłam uszu, to wasz tak mówił do mojego: „Macieju, żebyście i takiemi nożycami, jak mą ogrodnik we dworze, krzesali

wasze gałęzie, to i tak moje czereśnie wcześniéj dojdą, niż wasze, bo to już takie między nami założenie".

— A to chłop bestya niepomiarkowany! — wtrąciła znów Gorzeniowa.

— Ale słuchajcie daléj—podchwyciła opowiadająca;— mój na te słowa zaraz się rozsierdził i odparł: „kto dożyje, Bóg da, to zobaczy, a stul mordę i nie zaczepiaj, skoro się do ciebie nie odzywam", ale wasz zaśmiał się na całe gardło i nie powiedział nic, tylko.

— Ino co?

— Ino „Spirtuo" i śmiał się. Żebyście byli widzieli mojego? Jak się zapieni, jak podskoczy, jak sunie... Jednym skokiem byłam już przy nim i to właśnie, gdy mój przez płot przełaził. Chwyciłam go za sukmanę i trzymam, a chłop się pieni i byłby mnie zabił, gdyby nie to, że mu nie poręcznie było na płocie. „Puść mnie babo" woła Salamandra, a ja trzymam go na płocie, tak kiejby na koniu, a wasz ino się śmieje i bierze pod boki i woła: „ty spirtuo". A co wasz powié „spirtuo", to mój, aż, aż kipi, aż myślałam, że go krew zabije. I gdyby nie Szczepan, co mi przyszedł w pomoc, byłabym mojego choć na płocie nie utrzymała.

— A cóż mój?

— A wasz przyskakiwał do płota i tylko, jak wilk zęby ostrzył i wraz! wraz! mu walił „Spirtuo".

— A wasz cóż gadał?

— Ot, co gadał? gadał jak chłopy, gdy ich złość rozbierze — odpowiadała Maciejowa—przeklinał: „ty kundysie, ty psi ogonie, ty jucho", a wasz? wasz tylko to „spirtuo" powtarzał, ale to tak wraz wraz, mówię wam, kiejby zegar jaki, czy maszynka, spirtuo! i spirtuo!

Obie kobiéty głęboko się zamyśliły i dopiéro je obudził daleki turkot wozu.

— W tém „spirtuo" jest wszystko— odezwała się Maciejowa— bo choć mojego w całéj wsi Spirtuo przezywają, to on o tém czy nie wié, czy co, dość, że gdy go kto tak przeklnie, toby bez upamiętania zabił.

— To „spirtuo", co to może mieć za znaczenie? — wtrąciła po namyśle Antkowa.

— Ot, jak każde przekleńcie, tylko, jak wiécie, jednemu to, a drugiemu tamto solą w oku.

— Ale kiejtam? — podchwyciła znów Antkowa — raz mi mój powiedział: „słuchaj Maryna, jakby ci kiedy po sąsiedzku Salamandra co na despet zrobił, to ino mu powiédz „spirtuo", to on już ciebie się będzie wystrzegał".

— Lo Boga, lo Boga! — zawołała Maciejowa— toby was zabił; a nie spytałyście się go, co to znaczy, to przeklęcie.

— Ojć, spytałam.

— I cóż wasz?... jakże wytłómaczył?

— Powiedział: „nie twoja to sprawa zrozumiéć; jest w tém taka moc na Salamandrę“.

Znów obie kobiéty się zamyśliły i długo siedziały w milczeniu, póki nowy turkot skręcającego już z gościńca we wieś wozu ich nie ocknął.

Antkowa się zerwała.

— Z jarmarku już ściągają! — zawołała i pobiegła prosto przez płot do zagrody, a Maciejowa wstała z ławy. W tém dziecko, które trzymała na rękach, obudzone jéj gwałtownym ruchem, zaczęło płakać w niebogłosy, a baba rozdraźniona tym krzykiem, przychodzącym nie w porę, bo właśnie zastanawiała się nad tymi gniewami sąsiadujących chłopów, uspakajała niemowlę, szeptając.

— A będziesz ty cicho, ty bekso! a będziesz ty cicho, ty ladaco! a będziesz ty cicho... ty spirtuo!

III.

Gościńcem prowadzącym z Murlasu do Rozdołów toczył się spóźnioną nocną porą wóz drabiniasty, w którym siedziało dwóch chłopów. Jeden z nich powoził dwoma raźnymi końmi, a drugi dobrze podchmielony, kiwał się na siedzeniu obok niego i zagadywał wciąż towarzysza, majaczącym językiem.

Wspaniały księżyc oświécał ich jak w dzień, z czego zadowolony był powożący, bo wciąż widział swoje konie, na które spoglądał z niewymownném zadowoleniem, odbijającém się na jego trzeźwiejącém powoli obliczu.

— A co? ha? Salamandra? co?— odezwał się kiwający się przy nim chłop—szkapy dobre i dobrze wam naraiłem...

— A wio! — odparł Maciéj, świstając batem nad uszami koni i podobny do świstu wydając równocześnie głos z gardła—idą wraz do czarta i ogonami robią. Kiejby jakie paradyjery. Już to nie można wam odmówić, że wy się na szkapach rozumiécie...

— Ha! a co z tego panie, jaa waam już mówię, że Gorzenia koniska ani się do tych umywały.

— Czy tak na sumienie gadacie?

— A wio, na suumieenie... już ja wam móówię, że... na suumieniee.....

— Najprzód wam powiem—podchwycił trzeźwiejący Maciéj — że po pierwsze... maściste są juchy.... a po drugieee...

— Po drugiee na sumienieee...

— Po drugie — ciągnął daléj Salamandra, odzyskując władzę w języku—są wraźne, po trzecie sąąą tego...

— Na sumieniee!

— Tak na sumienie po trzecie... wio... hetta!

— Mówię wam — nadzwyczaj głośno podchwycił kiwający się chłop — mówię wam na sumieniee, na su-mie-nie! na suuu-mieenieee...

Tu urwał i po chwili daléj wciąż powtarzał to jedno słowo, coraz głośniéj, coraz śpiewniéj, aż wreszcie na całe gardło zanucił:

— Na suuu-mie-niee! mó-wieee waam Macieee!... juuuu...

W tém ucichli i nadstawili uszów, jakby sięzlękli téj melodyi, rozchodzącéj się wśród nocnéj ciszy i górującéj nad turkotem wozu, dźwięczącego swém rozluzowaném żelastwem.

— Ktoś jedzie!—zawołał Maciéj, obracając się.

Rzeczywiście drugi chłopski wóz nadjeżdżał za nimi szparko w rozpędzonym galopie.

Maciéj popędził konie, by się nie dać dogonić ani wyminąć. Podniósł się na siedzeniu, a towarzysz jego, straciwszy w ten sposób podporę, obsunął się na drążek wozu.

Konie gnały, ale następny wóz ich dopędzał i już tuż tuż był za nimi, a chłop siedzący na nim wołał na Macieja.

— Z drogi! z drogi! psiawiaro!

Salamandra zbladł, w téj saméj chwili, wytrzeźwiał, poznał bowiem głos pijanego Jantka Gorzenia. Zacisnął usta i popędzał szkapiny, a twarz mu krwią nabiegała.

— Z drogi! — wołał pijany Gorzeń.

Salamandra umykał, odwracając się tylko od czasu i grożąc batem goniącemu go.

Byłoby się zapewne na téj gonitwie skończyło, gdyby towarzysz Macieja nie był zdołał się podnieść na wozie i nie zaśpiéwał do Gorzenia.

— Co ty sobie myślisz gawronie? niedoczekanie two... je... wara ci, stól mordę... Salamandra jedzie, widz... kpiel... kun... dysie jeden.

To powiedziawszy, runął w półkoszki wozu, ale Gorzeń w téjże chwili zaciął konie i w szalonym pędzie wymijał Macieja.

Na chwilę zrównali się razem.

Maciéj stanął w wozie i wołał rozpaczliwie zaciętym, pijanym głosem.

— Nie wymijaj! nie wymijaj!

A Antek Gorzeń trzeźwiejszy wymijał i krzyczał drwiąco.

— Ja żawdy piérwszy, Macieju. Takie to już założenie. Wasze szkapiny... hej! bułany! héj! fiuuu.

— Nie wymijaj! złodzieju!

— Ty spirtuo! — huknął w odpowiedzi Gorzeń i wyminął jak strzała Salamandrę, który się zapienił i zaczął okładać batem konie, ale próżno.

Powoli turkot Gorzeniowego wozu coraz słabiéj dochodził uszów Macieja, choć i on popędzał konie.

Dzika złość opanowywała go stopniowo, w miarę jak trzeźwiał. A trzeźwiał, bo zwolnił koniom biegu, mrucząc przez zaciśnięte zęby.

— Spirtuo... dogonię ja cię... rozprawimy się wreszcie.. zatrzymasz ty się przed karczmą „na Pociesze“, i tak, albo tobie, albo mnie już śmierć być musi, niech się dzieje, co chce.

Konie biegły, a księżyc oświécał rysy Salamandry, coraz dziksze, coraz trzeźwiejsze.

A towarzysz jego, leżący w wozie jak długi, mruczał.

— Ha... psiamać! Jantek wyminął, niech go kaacil... kundys!... Ja ci móówię, Spirtuo, nie daj się... nie daj! się! nieee daaj się... Spir-tuo! Spir...

Maciéj słyszał, ale nie zważał, bo oczy jego dostrzegły już karczmę „na Pociesze“, przed którą stały chłopskie wozy powracających jarmarkowiczów.

Konie stanęły, Salamandra zeskoczył z wozu i zatoczywszy się kilka razy, wpadł do karczmy. Odnalazł Gorzenia i stanął przed nim wściekły.

— Ja waam mówił...—zaczął—nie-wy-mijajcie.

A Gorzeń wyprostował się i odparł:

— Dajcie mi czysty pokój, kupiliście se ta liche szkapy, co się mnie czépiacie? gościniec i dla mnie i dla was, wiédźcie o tém!

— Cichobyście byli, bo jak lunę! — podchwycił Maciéj, wyciągając rękę, jakby do uderzenia.

— Spir! tuo! —huknął Gorzeń i nie dokończył, bo w téj chwili Salamandra, jak wściekły zwiérz, rzucił się na niego.

IV.

Na popielatych drzwiach dużego domu, stojącego poważnie nad gościńcem w Murlasie, stał napis „Sąd okręgowy“.

W tym domu i dokoła niego dnia owego było ludno i gwarno.

W sali, gdzie zasiedli sędziowie, panował tłok, uwalniający tylko przestrzeń rezerwowaną dla sądu, obrońców, obwinionego

i świadków. Mimo licznego jednak zgromadzenia ludzi, uroczysta panowała cisza w tłumie, bo to sądzono rozgłośną sprawę.

Za kratkami, w kącie, na ławie na bronzowo pomalowanéj, siedział Salamandra, a przy nim stało dwóch żołnierzy pod bronią z jednéj strony, a z drugiéj znajdował się jego obrońca.

Maciéj wyglądał ponuro, ale zdecydowany na wszystko i bynajmniéj nie skruszony.

Siedział poważnie i zdawał się przysłuchiwać rozprawom, zeznaniom świadków obojętnie, jak gdyby tu chodziło nie o niego, jakby raczéj on jednym był z sędziów, rozstrzygających w téj sprawie.

Patrzał prosto przed siebie suchym i twardym wzrokiem, zaciskając usta tylko, gdy go coś wewnątrz zbyt zabolało, lub gdy jaka zła myśl przebiegła mu po głowie.

Czasem, ale to rzadko, rzucał oczyma na prawo od siebie w stronę przeciwległéj ściany, pod którą stał Antek Gorzeń, otoczony chłopstwem, jakiś zabiédzony, ale jak zawsze szyderski i raczéj wesoły.

Zresztą Maciéj wyglądał znudzony tą obojętną komedyą, dla któréj uszanowanie nakazywało mu zachowanie się pełne godności i spokoju.

Świadkowie zeznawali, że owego dnia Maciéj Salamandra zaczépił Gorzenia, rzucił się na niego, złamał mu dwa żebra, wybił trzy zęby i odgryzł pół ucha i jeden palec. A wszystkiego tego dokazał w ciągu kilku chwil, w których chłopi zgromadzeni w karczmie, nie widzieli potrzeby interweniowania. Świadkowie daléj zeznawali, że Salamandra był jednym z najzabiegliwszych gospodarzy w Rozdołach, że nie był pijakiem, ani warchołem, ale tylko zawsze porywczym i zawziętym. Daléj zeznawali, że między Gorzeniem, a obwinionym o zbrodnię, istniała od dawien dawna, od chłopięcych lat, nienawiść połączona z zazdrością i zawiścią, że ta nienawiść wzrosła, gdy Gorzeń postawił sobie nową chałupę i tém samém zmusił Salamandrę do postawienia nowego domu. Wreszcie jednogłośnie zeznali, iż Salamandra bijąc Gorzenia, szeptał tylko przez zęby *Spirtuo* i że to było jego nałogiem, to słowo, gdy wpadł w furyą; że ile razy go kto tém słowém poczęstował, to chłop się na niego rzucał i stąd téż w całéj wsi po za oczami Salamandry nie nazywano go inaczéj, tylko Maciejem Spirtuo.

Na tém mniéj więcéj skończyły się zeznania świadków i przewodniczący sędzia kazał przed sobą postawić Salamandrę.

Tenże wstał i poważnie poszedł przed stół, na którym stał krucyfiks.

— Czy masz co do powiedzenia na swoję obronę? — zapytał sędzia.

— Nie! — odparł jędrnie i sucho Maciej, mimo, iż mu jego obrońca coś gwałtownie podszeptywał.

Sędzia przypatrywał się bystro chłopu, który wzroku swego nie spuszczał.

— No przecież—znów się odezwał—służy ci prawo bronienia się, przytoczenia okoliczności, które by winę twoję złagodziły.

— Niech najwyższy sąd sądzi!—odezwał się Maciej.

Sędzia obrócił się do swych towarzyszów. Poszeptali coś chwilę i znów odwracając się do oskarżonego zapytał.

— Może byłeś pijany? Świadkowie zeznali, żeś pił dużo na jarmarku w Murlasie...

— Piłem—podchwycił Maciej—ale gdy przyjechałem na „Pociechę“, to już mi całkiem gorzałka wyszumiała.

— Może cię Gorzeń — zaczął znów po chwili sędzia — na jarmarku lub kiedy obraził?

— Nie.

— Może z dawnych czasów czujesz do niego urazę?

— Nie; a cóżbym za pozwoleniem najwyższego sądu miał złość do takiego..? i nie!

— O Gorzeniu wszyscy dobrze mówią—wtrącił znów sędzia.

— Tu i o mnie to samo, a może lepiéj, gromada poświadczy—odezwał się Maciej, a oczy jego dziko zabłyszczały.

Sędzia umilkł. Zaczął znów radzić z towarzyszami cicho i dość długo, poczém jeszcze zapytał.

— A może nam powiecie, co znaczy to *spirtuo*, o które z rozprawy się wydaje, że ci chodzi, przecież świadkowie zeznali, że to słowo zawsze cię wyjątkowo drażniło. Co to słowo znaczy?

Salamandra się zamyślił.

— Gorzeń wiedział—odparł—że ja tego słowa przecierpieć nie mogę.

— Ale co ono znaczy?

Chłop znów się zamyślił.

— No mówcież.

— To słowo znaczy, że on chciałby przewodzić nademną.

— Jakto?

Salamandra milczał.

— Pytam się was, co znaczy to słowo *spirtuo*? — powtórzył sędzia.

— Wielmożny sądzie—odparł Maciej—jeśli wielmożny sędzia nie wié, to zkądże ja bym wiedział; ot... słowo...

Więcéj nic mówić nie chciał.

Sąd wydał wyrok skazujący Macieja Salamandrę na rok ciężkiego więzienia i zapłatę dwustu rubli Gorzeniowi.

Maciej jęknął tylko, gdy usłyszał wyrok, opuścił głowę i ruszył z miejsca, rzucając jeszcze jedno straszne wejrzenie w stronę Gorzenia.

Zbladł i zachwiał się, bo mu się wydało, że Jantek cicho, uśmiechając się szydersko, jak to miał zwyczaj, wargami szepta.

— *Spir-tuo.*

V.

Minęło lat dziesięć znowu, w których nic się w Rozdołach nie zmieniło. Wszystko szło swoim trybem, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z roku na rok, i czas uciekał, jak gdyby go kto gonił, stwierdzali sami gospodarze Rozdolscy.

Po wiośnie przychodziło lato, po lecie jesień, potém zima i znów wiosna i to wszystko tak prędko, jak prędko po śniadaniu dawał się słyszéć dzwonek, oznajmiający południe z topoli we dworze, a jak prędko znów po nim paski dymów unoszących się we wsi z kominów ku niebu zwiastowały wieczerzę.

Ten rok, niby tak długi, a nie wydawał się Rozdolakom dłuższym od czasu, jaki upływał między jednym dzwonkiem z dzwonnicy kościolka a drugim, choć stary dziad, Hilary, dzwonił tylko na nabożeństwa i śmierci.

Ta „raźność" czasu zawsze była ulubionym przedmiotem rozmowy chłopów, gdy ich niedziela zgromadziła w staréj murowanéj karczmie.

Tutaj oni od lat się schodzili wieczorem raz na tydzień, by omówić sprawy wsi i zakomunikować sobie ważne wiadomości, usłyszane we dworze, czy miasteczku, u wójta, czy u „jegomościa".

A gdy te gawędy się wyczerpały, to zgromadzenie się ożywiało i zaczynało radzić nad nieobecnymi. Nieobecnymi zaś zawsze byli Gorzeń i Salamandra, którzy nie zachodzili nigdy do karczmy, bojąc się wzajemnie spotkać. Nie ten jednak tylko wzgląd wstrzymywał ich od szukania rozrywki w towarzystwie sąsiadów. Salamandra przez dziesięć lat nie mógł się pozbyć wstydu, że siedział rok w kryminale, a Gorzeń przez dziesięć lat nie mógł się przyzwyczaić do myśli, że on był powodem, iż poważny gospodarz Rozdolski siedział z jego powództwa w więzieniu.

Nie chodzili więc do karczmy, a chłopi o nich najchętniéj radzili. Bo i solą w oku im byli ci dwaj gospodarze, co nietylko sobie

pobudowali strojne chałupy i nietylko sadzili się na dorodne konie i żelazno-osie wozy, ale nadto z roku na rok się wzmagali i dobytek pomnażali.

Téj też niedzieli nad tém w karczmie radzono. To ten, to ów dodawał coś do komentarzy. Jeden udowadniał, że nigdzie takiego owsa nie bywa jak u Gorzenia, a drugi twierdził, że Salamandry owies w słomę mniéj obfity, w ziarno bywa bogatszy.

Do północy przeciągały się te sesye nad dwoma nieprzyjaciołmi, a niedzieli téj były one więcéj ożywione i głośniejsze, bo jeden z gospodarzy, który sobie najwięcéj podchmielił, chciał koniecznie do dna zbadać tę zawiłą, powodzenia Salamandry i Gorzenia, kwestyę.

— To wszystko furda! mówię wam kumy fuurda! ale powiédźcie przecie ino — powtarzał on co chwila — powiédźcie ino tak na wyrozumienie... ale na sumiee...nie! przez jakie przyczyny u Gorzenia i u Spirituo wszystko się mnoży i wiedzie i święta ziemia rodzi, oj! bo rodzi. Tak i my robimy i przewracamy tę świętą ziemię, a..... na sumienie powiédźcie, przez jakie przyczyny?

Na te słowa, chłopi znów się zastanawiali. Ci, co już mieli wychodzić, wracali od progu i brali udział w dyspucie, która, gdy się wyczerpała, znów ich chłop zachęcał do dalszych libacyi i dociekań.

— To fuurda! ale na sumienie nie rozchodźwa się póty, póki nie uradziwa, co to ma za znaczenie, że ten Spirtuo i Gorzeń, psie-wiary... na sumieeenie kumy.

I kumy znów obsiadali ławy, zapalali fajki, naléwali kieliszki i radzili.

Ale dnia tego, snać i Janklowi, drzémiącemu za szynkwasem, sprzykrzyły się te przedłużone konferencye, bo powstał ze stołka, ziéwnął tak głośno, że przygłuszył wszystkich, i zaczął.

— *Herste*, *herste*? jacy wy, za pozwoleniem, jesteście chamy, moi gospodarze, że wy waszymi rozumy nie możecie zmiarkować, dla czego im się lepiéj dzieje, niż wam.

Ucichło w karczmie; wszyscy słuchali Jankla, a ten poziéwając, prawił.

— Co w tém dziwnego? Tu niéma żadnéj dziwoty. Jeden przez drugiego się sadzi i ot po wszystkiemu. Jeden chce nad drugiego, jeden ino patrzy, co drugi robi, ot! i po wszystkiemu. Tak w roku. . Spirtuo zasiał jęczmień przed *wielkinocą*, to już téj wiosny Gorzeń zasiał te kosiki w wielki czwartek. Patrzyta a nie widzita! Gorzeń wypasł wieprza, co mu zgony dały siedemdziesiąt rubliii, to już

Spirtuo ma takiego, jak mi Bóg miły, co tyli, jak moja szkapina. A wy radzicie i radzicie, a tu jeden przez drugiego: ja wam mówię.

Jankiel ziéwnął i urwał, a chłopi milczeli, zastanawiając się nad jego słowami.

— I wy tego nie widzita—ciągnął daléj Jankiel zachęcony milczeniem, które słusznie uważał za potakiwanie;—czyście ślepi, czy co, że wy tego nie widzita? tać to tak jaasne, jak ten miesiąc, co świéci. Gorzeń miał pięcioro czeladzi, tać i Spirtuo się postarał i baba już w czwartym miesiącu... I un będzie miał, co mi za sztuka? *herszte*?

Ten argument ostatecznie przekonał chłopów, bo najgadatliwszy z nich powstał i zawołał, wyciągając dłoń do Jankla.

— Na sumieee...nie! Janklu macie racyją! to jeden przez drugiego... na sumieenie!

Żyd uderzył w wyciągniętą dłoń i dodał jeszcze.

— A wy radzita i radzita, aż bebechy bolą!

— A tu jeden przez drugiego!—odparł chłop.

— Jedeeeen przeeez drugieego!—odezwało się kilka głosów.

— Tak, a nie inaczéj, jedeen przez drugieego! — powtórzyli wszyscy jednogłośnie i ruszyli ku drzwiom.

Ale na gościńcu jeszcze przystanęli i byliby wrócili do karczmy, gdyby Jankiel już drzwi nie był zamknął. Gadatliwy chłop bowiem zatrzymał ich i znów zastanowił.

— To dobrze... na sumieenie dobrze! ale powiédźcie kumy, czy Gorzeń przez Spirtuo, czy Spirtuo przez Gorzenia? na sumieenie!

Wreszcie się rozeszli jak cienie jakie po wsi, głęboko zadumani, z rękami w rękawach od sukman, szeptając pod nosem, nie wyraźne zdania, w których tylko głośniéj brzmiało—Spirrrtuo.... ha... psiawiara...

Spirtuo bowiem będąc zwyczajném nazwiskiem Salamandry, było i uświęcającym się zwyczajem, zaklęciem Rozdolskich gospodarzy, ile razy sobie podochocili.

VI.

Rozdołów by już nikt nie poznał, z tych, którzy je zapamiętali z czasów, gdy Maciek i Jantek usługiwali do mszy dawno zmarłemu księdzu Cypryanowi. Na jego grobie już cztery brzozy płakały swemi ruchliwemi listeczkami u zwieszonych gałązek.

A te brzozy szumiały na cmentarzu smutną melodyą i nie jeden, uchwycony za serce, byłby przysiągł, że one od jakich stu lat tak cicho zawodziły nad nieboszczykami wioski.

A one nie liczyły więcéj, jak lat trzydzieści i kilka.

Rozdołów by już nikt nie poznał, nietylko z powodu tych czterech brzóz, zdala miejsce wiecznego spoczynku, wskazujących. W Rozdołach, tam gdzie dawniéj wśród kępy starych lip widniały cztery białe kominy długiego modrzewiowego dworu, teraz migotały do słońca wysokie mury, srebrną blachą kryte, wspaniałego pałacu, strzelającego wieżycą po nad wierzchołki lip i topól i rozglądającego się dumnie i pysznie po szerokiéj równinie przez swe duże i poważne okna.

Nad nim dawniéj nie byłby i górował stary kościół, którego dziś i śladu nie było. Gdzieś się podział, czy w ziemię zapadł, bo na wyniosłém wzgórzu stały tylko w półkole lipy i spuszczały swe konary, ku środkowi, gdzie ongi wznosiła się świątynia, a gdzie dziś czerwieniały jakieś od ziemi odrastające mury.

Dużo się w Rozdołach zmieniło.

Chałupę Salamandry zakryły gęsto od gościńca wierzby i czereśnie, jakby chciały, po życzliwém sąsiedztwie, zakryć ślady, zębem czasu na niéj wyryte. Pochyliła się biédaczka, ustępując mroźnym północnym wiatrom, wsiąkła w ziemię, bo rozsypała się jéj podmurówka, a mech, grubą skorupą, przykrył jéj słomiany dach, jakby jaką staruszkę.

Ale mimo to jeszcze górowała we wsi swym białym i foremnym kominem, który po nad czereśnie i jabłonki z góry zdawał się spoglądać na swego niekształtnego, z dachu Gorzenia wyzierającego kolegę.

Lata tyle zmieniły, ale nie zdołały w Rozdołach odebrać pierwszeństwa chałupom dwóch zaciętych na siebie sąsiadów.

Czy też oni jeszcze żyli?

W swéj chacie na ławie przy oknie siedział stary Maciej Salamandra. Włosy jego siwe spadały mu na pochylone barki, a zamglone oczy ciekawie wyzierały przez szyby okna..

Zdawał się czekać na kogoś, czy śledzić coś na gościńcu, bo wzrok jego, choć przygasły, zdradzał resztki téj siły, która go długo nie opuszczała.

A czasem zbliżał głowę do szyb i spoglądał w bok ku Gorzenia chacie, widocznéj przez otwór w czereśniach, któremu Maciej własnoręcznie zarastać nigdy nie pozwalał.

On czegoś stamtąd wyczekiwał, czy też czegoś tam był ciekawym.

— Babo! — odezwał się nagle, starym i bezdźwięcznym głosem — toć ty słyszała przecie, co ksiądz w kościele téj niedzieli z ambony głosił?

Z zą pieca odparł mu chrypliwy głos kobiéty.

— A dyć słyszałam,—ale o cóż ci stary chodzi?

— Dyć — podchwycił Salamandra — ksiądz mówił, czy mi się przywidziało, żeby najdaléj do czwartku każdy przyniósł, co na nowy kościół ofiaruje.

— A dyć tak, a nie inaczéj — odparł głos z za pieca — i jegomość się miotał, żeście nic-potém i zwlekacie, a mury stoją...

Baba urwała, a Maciej się zamyślił i w okno spojrzał, ciężko wzdychając.

Po chwili znów się odezwał głos z za pieca.

— Ja myślała, żeś ty stary już poniósł. Dyć gospodarze już poskładali, a wczoraj i zawczora... to siła ich, widziałam, szło od plebanii, a ty stary, tak się zapóźniłeś jakby jaki chłystek.

Maciej w odpowiedzi ciężko westchnął, jakby już jego stare piersi z trudnością się opuszczały, i zamilkł.

— A dzisiaj, chyba czwartek?—zapytał po długiéj przerwie.

— A cożeś myślał?

Stary chłop znów westchnął i jeszcze lepiéj przysunął się do okna i jeszcze więcéj skręcił głowę w stronę chałupy Gorzenia.

— Zobaczymy... — mruczał — kto kogo przetrzyma.

Nastało długie milczenie, przerywane tylko westchnieniami to Salamandry, to jego żony.

— Babo!—odezwał się znów chłop, nie odwracając się już od okna—ta pono ksiądz z ambony będzie ogłaszał, co który z gospodarzy na nowy kościół ofiarował. Dyć tak kazał téj niedzieli?

— Dyć tak, a nie inaczéj... — odezwała się Maciejowa, ciągnąc daléj—stary! staary!

— A co?

— Myślałam, iś zasnął... dyć idź! a wstydu nie zrób, bo jakby jegomość ogłosił, że jaki dał więcéj od ciebie...

— To i cóż?

— Ty już wiész!

Znów zapanowało milczenie, które i tym razem po wielu westchnieniach przerwał chłop.

— Babo?

— A co nudzisz jak zmora?

— Nie widziałaś ty, czy Gorzeń nie chodził na plebanią?

Kobiéta długo kazała czekać na odpowiedź, wreszcie odezwała się.

— O Jezu Marya! dyć ty już chyba nie zemrzesz przed Gorzeniem.....

Salamandra milczał, więc baba dodała;

— Dyć nie widziałam, ale...

— Ale co? gadajta!

— Ale... przepomniałam już, co miałam na języku.

W tém drzwi się otworzyły i wszedł niemi barczysty, wyrosły chłop, jak dwie krople wody podobny do Macieja, tylko młody i czerstwy, bo nie wyglądał na więcéj jak trzydzieści lat wieku.

— Ojcze!—odezwał się zaraz przyciszonym głosem, a oczy jego dziwnie błyszczały—ojcze?

— Co?

Chłop przybliżył się do Macieja, który się do niego odwrócił. Uśmiéchnął się podstępnie i sprytnie i mówił.

— Stara psiamać Gorzeń co ino wrócił z plebanii.

Salamandra splunął i podchwycił.

— Gadasz, toć od ranka siedzę i patrzę.

— Stara psiamać nie głupi, tyłami... przez pola, koło łąki i przez podwórko co ino wrócił. Orałem na klinach i widziałem, choć się stary jak lis rozglądał, czy go kto nie zoczy. Chocisiks słonko jeszcze nie dopieka, to wróciłem z pola, aby wam powiedziéć...

— Nie doczekanie twoje!—zamruczał przez zęby Maciej, wstając z ławy—toć i postawiłem na swojém.

Ciężkim krokiem podszedł do skrzyni podniósł jéj wieko i wyjął z niéj grubą plikę owiniętą w szmatę.

Uchwycił za laskę, nasadził na głowę wysoką czapę, opasał się szerokim rzemieniem i zmierzał ku drzwiom.

— A siła bierzecie?—zapytał syn, zastępując mu drogę.

Maciej przystanął.

— To się zobaczy!—mruknął i wyszedł.

VII.

Maciéj szedł prosto gościńcem ku plebanii. Głowę opuścił na piersi, a laskę naprzód stawiał i opiérał na niéj swój wyniosły, choć zgarbiony kadłub.

Wreszcie wygramolił się na górę, dobrze sobie znaną ścieżką, prowadzącą krótszą drogą do kościoła.

Na pagórku wśród rozrosłych bzów przystanął i zamyślił się, jakby nad jakiémś wspomnieniem, bo długo stał nieruchomy z oczami wlepionemi w ziemię.

— Spirtuo... spirtuo... — mruknął cichuteńko, splunął i ruszył daléj.

Jeszcze przystanął na placu, gdzie się wznosiły mury z czerwonéj cegły i chwilę im się przypatrywał, kiwając głową.

— Albo to stary kościół był zły, czy się walił? czy co? pfu.... ot innowacyje...

Uchwycił z powierzchni muru gruzkę wapna, starł go w palcach i szepnął.

— Partacze bestyje... wapna nie zlasują a grosz zapracowany biorą.

Jeszcze raz splunął i ruszył prosto ku tuż stojącéj plebanii.

Uchylił drzwi, wszedł do sieni, uchylił drugie drzwi i znalazł się w pokoju, w którym przy stole siedział młody ksiądz.

— Niech będzie pochwalony!—zawołał swym zachrypłym głosem, kłaniając się do ziemi.

— Jak się macie, odparł duchowny, przypatrując się z ciekawością wiekowemu gościowi—przynosicie na kościół, mój gospodarzu? czy...

— A jużcić, że na dom boży—podchwycił Maciej, zakładając prawą rękę za pas.

Ksiądz uchwycił jakieś papiery na stole leżące, rozwinął je przed sobą i biorąc pióro do ręki, zagadnął.

— A ileż ofiarowujecie?

Maciéj się zamyślił, poskrobał w głowę, westchnął, pomruczał, zbliżył się do stołu i wreszcie odparł pytająco.

— A proszę jegomościa... — tu się ukłonił i dodał—siła téż dał stary Gorzeń?

Ksiądz zaszeleściał papierem i zaraz odpowiedział.

— O! Gorzeń, porządny gospodarzu! Gorzeń! ha! żeby takich więcéj było...

Salamandra bladł i marszczył czoło, a ksiądz daléj mówił.

— Żeby takich więcéj było, to by słota murów nie psuła i nie odprawiał by mszy świętéj pod lipami na stole.—Gorzeń moi kochani, dał trzysta rubli. O! pochwalę go z ambony.

Maciéj opuścił głowę, by ukryć może wyraz swego oblicza, zamyślił się i długo stał nieruchomy, a ksiądz przyglądał się ciekawie starcowi, który mu robił wrażenie zniedołężniałego.

Nagle chłop westchnął ciężko, długo i ocknął się. Odwrócił się trochę do ściany, jakby się bał być widzianym w tém, co zamierzał zrobić i wyjął z za sukmany zawiniątko. Długo przebiérał i przewracał w papierkach, wydających szelest banknotów, wreszcie szmaty schował za sukmanę, a zbliżając się jeszcze do stołu, położył na nim cztery sturublowe papierki. Westchnął i ozwał się.

— Dyć i ja, pobożna owieczka, czterysta... niech jegomość przeliczy...

Ksiądz biorąc pieniądze przypatrywał się z najwyższém zdziwieniem chłopu, po chwili nachylił się nad papierem, chciał coś zapisać, znów spojrzał na Macieja.

— Mój gospodarzu!—odezwał się—jak wiecie, ja tu od niedawna waszym pasterzem...

— Dyć wiadomo...

— Otóż ja was albo nie znam, albo sobie przypomnieć nie mogę.

— Nie dziwota! człowiek w latach i na nabożeństwo nie zawsze się wygramoli, a to... góra...

— Jakże się nazywacie?

— Maciej Salamandra!

— Zkąd—zapytał coraz bardziéj zdziwiony ksiądz.

— Z Rozdołów! Salamandry Jegomości nie zna?—podchwycił chłop, spoglądając ze zdziwieniem na księdza.

— Doprawdy, że nie wiedziałem, że jest w Rozdołach gospodarz Salamandra, a zdawało mi się, że znam wszystkich—mówił zafrasowany pleban—chyba dzieci nie macie.

— Oj, Boże! mam ich pięcioro!

— Pięcioro!—podchwycił ksiądz mrucząc—jakże ja mogłem nie wiedzieć o takim gospodarzu? A gdzież wasza chałupa?

Maciej podniósł głowę, spojrzał w okno i wyciągając ku temuż rękę, odparł:

— Ztąd widać, nad gościńcem... komin bieleje po nad całą wsią i jegomość nie wiedział...

Uśmiechnął się, ale na krótko bo proboszcz uradowany zawołał.

— To wasza chałupa? toż przecież myślałem, że to Spirtua, to wy Spirtuo? Maciéj Spirtuo?

Chłop zatrząsł się, zbladł, obie ręce za pas założył i opuścił głowę, marszcząc czoło i ściągając brwi. Milczał.

— Więc wy Spirtuo?—zapytał jeszcze duchowny.

Starzec westchnął, ukłonił się nisko.

— Niech będzie pochwalony!—wyrzekł i zmierzył ku drzwiom.

Wyszedł i stawiając naprzód laskę, śpieszył do domu.

Ale w połowie drogi, musiał zwolnić kroku, bo mu się ciężko robiło na piersi, bo nogi mu dygotały, bo mu coś cisnęło się do gardła.

Szedł wolno, ostrożnie jak gdyby się bał nie upaść na gościńcu, a przez zęby, zaledwie poruszując wargami, szeptał.

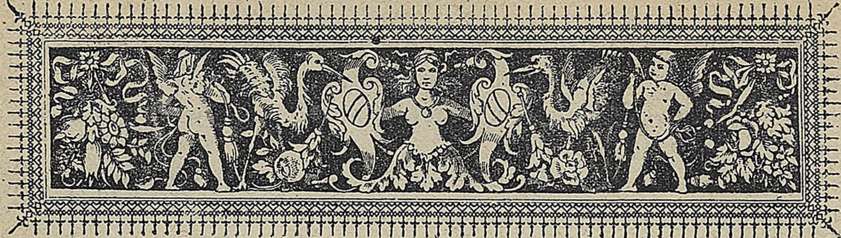
— Spirtuo i Spir-tuo... na wieki Spirtuo, taka wola Boża... coś nie wiem... czy się dowlokę?..

Przystanął, odpoczął, rozejrzał się do koła błędnym wzrokiem i ruszając daléj, mruknął machając pogardliwie ręką.

— Co mi tam!... ot święta ziemia się już roztwiéra dla... Spirtuo!.... ha!... Spirtuo! niech i tak... będzie . . . . ale co górą, to górą Spirtuo. . . . . żeby choć do niedzieli dokawenczyć . . . . Spirtuo . . . ha?

Wincenty hr. Łoś.





DYPLOMACYA FRANCUSKA W POLSCE,

PODŁUG ZBIORU INSTRUKCYI POSELSKICH.

(„*Recueil des Instructions données aux ambassadeurs et ministres de France, depuis les traités de Westphalie jusqu'à la Révolution française. Pologne*“). — Dzieło ogloszone nakładem komisyi archiwalnéj Ministerstwa Spraw Zagr. w Paryżu: ze wstępem i przypisami przez p. Ludwika Farges. Dwa tomy in 8-o, ss. LXXXII, 344 i 371).

Obmyślając i wprowadzając w wykonanie obszerny plan pomnikowego wydawnictwa, którego częścią są dwa tomy, poświęcone historyi stosunków dyplomatycznych z byłą Rzpltą, komisya archiwalna francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych podjęła inicyatywę, która, spodziéwać się wolno, znajdzie sympatyczne uznanie i chęć rychłego naśladownictwa w krajach ościennych. Ograniczony datą 1800 roku, program téj publikacyi uchyla wszelkie polityczne względy, któreby stawać mogły na przeszkodzie jego wszechstronnemu zastosowaniu. Żaden z ogłoszonych tą drogą dokumentów nie dostarczył dotąd, ani zdaje się, aby mógł dostarczyć wątku gabinetowéj jakiejkolwiek, czy choćby tylko dziennikarskiéj polemice międzynarodowéj. Jest to rodzaj bilansu z rachunków już zamkniętych oddawna, czy spowiedzi z przeszłości już przeżytéj i nie mającéj żadnego, prócz historycznego, związku z zaprzątnieniami i życiowemi zagadnieniami chwili obecnéj.

Historyczna natomiast wartość takiego wstecznego przeglądu stosunków dyplomatycznych nie może być przeceniona. Obraz tych stosunków, zamknięty w ramach kilkudziesięciu urzędowych czy nawet sekretnych instrukcyi, udzielonych kolejnym przedstawicielom jednostronnéj polityki państwowéj, nie może zapewne być zupełnym i wyczerpującym, grzeszy on właśnie jednostronnością; grzeszy także niejaką powierzchownością rysów. W kombinacyach

i planach politycznych, których wyrazem są „instrukcye“ polskie, nie ma z natury rzeczy nic stałego i stanowczego. Bardzo pospolicie prosta „depesza“, przesłana przybyłemu już na miejsce swego przeznaczenia posłowi, zmienia radykalnie przyjęty poprzednio „systemat“, jak mówiono w wielkiéj epoce kunsztu dyplomatycznego, i program działania. Albo téż sam poseł, zetknąwszy się bliżéj z rzeczami i ludźmi, z któremi wypadło mu miéć sprawę, podejmuje na własną rękę i na własną odpowiedzialnosć inicyatywę takiéj zmiany. W ten sposób np. w r. 1674, biskup marsylski, Forbin-Janson, skłania się do udzielenia energicznego poparcia kandydaturze Sobieskiego, o któréj doręczona mu instrukcya wspomniała tylko jako o mniéj pożądanéj a zresztą całkiem nieprawdopodobnéj ewentualności. Niemniéj przeto, choćby jedynie w kształcie wytycznych punktów, zaznaczających tu i owdzie historyczne kontury obrazu, zwroty, paralelizmy, zetknięcia i przecięcia obustronnych kierunków politycznych, są „instrukcye“ materyałem historycznym pierwszorzędnego znaczenia.

Dodajmy, że do planu obmyślonego przez komisyą wydawniczą wchodzą obszerne ustępy, zawierające ogólny pogląd na całość związanéj z ogłoszonemi dokumentami akcyi dyplomatycznéj, a nadto krótkie komentarze, poprzedzające każdy dokument ze streszczeniem i wyjaśnieniem stosunków politycznych, do których się on odnosi. Dodajmy zastrzeżone tymże planem „przypisy“, przeznaczone do uwydatnienia lub wyjaśnienia ważniejszych lub bardziéj zawiłych ustępów drukowanego tekstu, a pojmiemy, że od chęci tylko lub umiejętności poszczególnych pracowników, powołanych do wykonania tak rozlegle zakreślonego planu, zawisła możność dostarczenia nam, w jego zakresie, prawdziwéj książki historycznéj, bogatéj nietylko suchym i ułamkowym materyałem, ale dobytą z niegoż samego i z uzupełniać go mogących źródeł naukową treścią.

P. Ludwik Farges, któremu „dział polski“ powierzony został w rozpoczętém przed kilkoma już laty wydawnictwie, jest młodym i na polu historyografii poczynającym dopiéro urzędnikiem biura archiwalnego, otwartego od r. 1875 dla publiczności. Przystąpił on do swego zadania z widocznėm zamiłowaniem, z pracowitością i sumiennością, którym niepodobna odmówić uznania, a nadto z bestronnością i niezależnością, które mu największy zaszczyt przynoszą. Jak się zaś wywiązał z tego, postaramy się zdać sprawę. Pierwéj jednak, oddzielając obrobienie materyału od materyału samego, powiedziéć chcemy o tym ostatnim i bliżéj określić jego wartość naukową.

I.

Wartość ta uszczuploną się okazuje, zaznaczmy to od razu, za sprawą rezultatów naukowych, osiągniętych już na tém polu przez dawniejsze publikacye polskie i nawet francuskie. Krakowska akademia początkowała już przed dziesiątkiem lat w przyswajaniu naszéj historyografii cennych pomników paryskiego archiwum przez wydawnictwo Sobiescianów (Archiwum Spraw zagranicznych do dziejów Jana III; opracował K. Waliszewski), którego trzy tomy wyszły w latach 1878—1881, trzy zaś inne oczekują druku. Od téj pory przybyły u nas monografie Czermaka (Sprawa Lubomierskiego: „Ateneum" 1884), Waliszewskiego (Marya-Mantuańska: „Bibl. Warszawska", 1885), oparte bądź bezpośrednio na tychże archiwalnych dokumentach, bądź na zaczerpniętych z tego samego źródła „Tekach Lucas'owych", we Lwowie obecnie przechowywanych. Przybył pierwszy tom dzieła p. t. „Potoccy i Czartoryscy", w którém autor (K. Waliszewski) wyznaczył obszerne miejsce polsko-francuskim stosunkom dyplomatycznym w XVIII wieku. Jednocześnie zapewne z niniejszemi kartkami wyjdzie z pod prasy książka poświęcona specyalnie historyi tych stosunków wieku XVII (Polsko-Francuskie stosunki w XVII wieku. W Krakowie, nakładem Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu. Opracował K. Waliszewski), a będąca w części zebraniem i uzupełnieniem dawniéj już w języku polskim i francuskim ogłoszonych rozpraw i szkiców. We Francyi znakomity talent akademickiego pisarza spopularyzował jeden i nie najmniéj ciekawy z epizodów téj saméj historyi w wieku XVIII („*Le secret du Roi*" przez księcia de Broglie). Francuskie monografie K. Waliszewskiego, ogłoszone w „Correspondant" i w „Revue d'Histoire diplomatique" („*Une française reine de Pologne, Marie-Casimire Sobieska*"; — „*Marie de Mantoue*";—„*Un chapitre de l'histoire de Chantilly*": — „*L'évolution de la politique française en Orient au XVIII siècle*"), zaznajomiły publiczność francuską z innemi celniejszemi wspomnieniami wspólnéj przeszłości historycznéj w XVII i XVIII wieku. Ostatni z tych artykułów dał nawet powód do polemicznéj rozprawy, w któréj głośny autor „Tajemnicy królewskiéj" wziął udział i w któréj ogólny kierunek i charakter polityki francuskiéj w Polsce stał się przedmiotem poważnego rozbioru (1).

(1) Revue d'Histoire Diplomatique, 1888, zeszyt I i II.

W tych warunkach, szereg dokumentów dyplomatycznych, pochodzących ze zużytkowanego już tak wszechstronnie zbioru archiwalnego, a nie sięgających wstecz po za rok 1648-y, z trudnością mógł przynieść nam coś zupełnie nieznanego i rzucić na zbadane tak szczegółowo stosunki wiele nowego światła. Nadmieniamy, iż data wsteczna 1648 roku, data traktatów Westfalskich, — przyjęta dla wszystkich działów obecnego wydawnictwa, narzuconą została wydawcom przez samę zawartość archiwum ministeryalnego, którego pomniki skutkiem wyjaśnionych już gdzieindziéj okoliczności (1), nie sięgają po za tę datę. Naturalnym trybem dział polski, w opracowaniu pana Farges, zamyka się skądinąd przed r. 1800 instrukcyą doręczoną w r. 1794 „obywatelowi“ Parandier, ostatniemu posłowi wyprawionemu do Polski przez pierwszą rzeczpospolitą.

Sens ogólny pięćdziesięciu pięciu instrukcyi, z któremi zapoznaje nas p. Farges, nie zdaje się przeto przeznaczonym do przeistoczenia danych, przyswojonych już nauce historycznéj. Odpowiada on właśnie, jeżeli się nie mylimy, temu poglądowi historyozoficznemu, który stał się wypadkiem i konkluzyą wzmiankowanego wyżéj sporu naukowego, wytoczonego w łamach *Revue Diplomatique*, a któremu pióro jednego z najprzedniejszych historyków i mężów stanu francuskich użyczyło wymownego wyrazu. Sądzimy, iż zadowolnimy czytelników, przywodząc na tém miejscu odnośny ustęp ciekawéj repliki udzielonéj przez księcia de Broglie naszemu historykowi, repliki, która zamknęła dyskusyą, usuwając jéj przedmiot. Zaznaczywszy główne punkta wniesionego na porządek dzienny kontrowersu, znamienity autor pisze:

„P. Waliszewski udowadnia i w sprzeczności ze mną stawiać się mniema, udowadniając, że interwencya Francyi w wewnętrznéj polityce Polski nie miała nigdy celu ani charakteru bezinteresownego... Zadziwię może, p. Waliszewskiego, mówiąc mu, że jestem zupełnie tego samego z nim zdania i że nie sądzę, abym powiedział, a nie myślałem z pewnością nic innego. Polityka jest rzadko bezinteresowną, i więcéj niż wątpliwą rzeczą zda się, z pewnego punktu widzenia, aby miała ona prawo być taką. Rząd jakikolwiek nie ma istotnie prawa poświęcać krwi i pieniędzy narodowych dla innych interesów jak te, które dotyczą tegoż narodu. Prowadzenie wojny dla idei jest pomysłem świeżéj daty, i pomysł ten nie przyniósł szczęścia swemu wynalazcy. Chętnie tedy przyjmuję, że kiedy Katarzyna Medycejska wyprawiała Henryka Walezyusza do Warszawy dla zdobycia tam korony, kiedy Ludwik XIV polecał

(1) Ob. Wstęp do wydanych przez Krakowską Akademią „Sobiescianów“.

Marszałkowéj de Guébriant doprowadzenie do skutku małżeństwa Maryi Gonzagi z Władysławem IV, kiedy Ludwik XV sprzyjał ambitnym widokom księcia de Conti, nie było to jedynie dla użyczenia krajowi, oddzielonemu od Francyi blisko tysiącem mil, monarchy uszczęśliwić go mogącego. Cel tych kolejnych usiłowań interwencyi francuskiéj w Polsce polegał niewątpliwie na tém, aby dostarczyć Francyi, na tyłach cesarstwa niemieckiego, sprzymierzeńca, któryby stał się jéj pomocą w wiekowéj walce z domem austryackim. Jeżeli to nazywa p. Waliszewski „*faire ses affaires*“, ma p. Waliszewski niezawodnie słuszność: wszelki inny sposób tłómaczenia polityki francuskich ministrów i monarchów byłby opaczny i krzywdę im czyniący“.

Czy i o ile p. Waliszewski upoważnionym mógł się sądzić do przypisywania autorowi „Tajemnicy królewskiéj“ innego poglądu na charakter polityki, o któréj mowa, a w szczególności na rolę tego jéj przedstawiciela, którego działalność uwydatnił ks. de Broglie w swych mistrzowskich obrazach, nie miejsce rozbiérać tutaj. Wystarczą nam obecnie sam fakt zupełnego porozumienia, do którego sprowadzony został, przy bliższém zetknięciu się obustronnych pojęć i sądów, pozorny ich czy rzeczywisty antagonizm. Jak zaś mniemamy, iż zgodny ten sposób widzenia odpowiada prawdzie historycznéj, tak sądzimy, iż nowa publikacya pomników dyplomatycznych poprzéć go tylko i utwierdzić jest w stanie.

„Jeżeliby, podczas jego pobytu w Polsce, Bóg rozporządził królem (Władysławem IV), który niedomaga od niejakiego czasu, p. d'Arpajon porozumié się z panem de Brégy względem tego wszystkiego, co przedsięwziąć wypadnie dla służby jego kr. mości, (króla francuskiego), celem bądź dopomożenia królewiczowi Kazimierzowi do osiągnięcia korony, bądź usunięcia go od tronu“.

Oto najważniejszy ustęp w pierwszéj ogłoszonych obecnie „instrukcyj“, noszącéj datę 10 marca 1648 r., i oto styl, od którego nie odstępują idące po niéj w chronologicznym porządku utwory kancelaryi francuskiéj, energiczniejszemi się tylko czyniąc tu i owdzie, w miarę jak potęguje się lub silniéj odczuty zostaje interes polityki francuskiéj w kierowaniu sprawami polskiemi „na rzecz służby jego kr. mości“. Sięgnijmy od razu do ostatniéj próby gabinetowego pióra, do téj, która podyktowała „obywatelowi“ Parandierowi program jego nadwiślańskiéj misyi: spotkamy się z tą samą polityką prawie i z tą samą akuratnie dyplomatyką, trochę może dosadniejszą w wysłowieniu, jednostajną w treści:

„Poglądy i zapatrywania, których udzielenie komitetowi (*Comité de Salut public*) będzie obowiązkiem obywatela Parandier, do-

tyczą głównie: Sposobu zużytkowania, na rzecz Rewolucyi francuskiéj, powstania polskiego uważanego w charakterze dywersyi;

„Możności i środków skombinowania w Polsce podstaw wolności i równości z miejscowościami (sic: *avec les locatités*); sposobu za pomocą którego rzplita francuska mogłaby zużytkować środki będące w jéj rozporządzeuiu, dla utwierdzenia rewolucyi polskiéj, z zapewnieniem jéj niezależności przeciwko nieprzyjaciołom zewnętrznym i jéj wolności przeciwko arystokratycznéj reakcyi na wewnątrz;

„Projektu zapewnienia w Polsce obiegu asygnatom francuskim.

Zestawmy pierwszy i ostatni paragraf ze środkowym i zapamiętajmy metodę, któréj są one wyrazem; w metodzie téj bowiem streszcza się duch cały i geniusz téj dyplomacyi, która nas przyprawiła o tyle fatalnych illuzyj i bolesnych rozczarowań; duch i geniusz zresztą, który jest może i musi być duchem i geniuszem wszystkich dyplomacyj pod słońcem.

Zapewnienie „polskim rewolucyonistom“ niezależności i obrony przeciwko zewnętrznym i wewnętrznym nieprzyjaciołom — to idealny cel misyi powierzonéj obywatelowi Parandierowi; interes dywersyjny i interes asygnatowy — to jéj cel praktyczny, i w ostatecznej analizie, wyłącznie uwzględniony. Taką zaś mieszaniną idealnych, pozornych, i praktycznych, rzeczywistych motywów są wszystkie kolejne kampanie dyplomatyczne francuskie nad Wisłą— niewyłączając „sekretnych“ zabiegów hrabiego de Broglie w latach 1754—1757. Chodzi w 1794 roku o dywersyą przeciwko Austryi, Prusom i Rosyi, a dodatkowo o zapewnienie odbytu zawalającéj rynek pieniężny masie papierowéj monety. Chodziło w latach 1754 — 1757 o dywersyą zawsze przeciwko Austryi najpierw, przeciwko Prusom późniéj, dodatkowo zaś o koronę dla potrzebującego „apanażu“ księcia francuskiego. Dla Francyi z jednéj, dla Austryi z drugiéj strony — jak to trafnie uwydatnione zostało w ciągu polemiki wytoczonéj przed czytelnikami *Revue Diplomatique* (1), Polska XVII wieku stanowi punkt centralny wielkiéj linii strategicznéj, opierającéj się z jednéj strony o Konstantynopol, z drugiéj o Stockholm. Utrzymywać tę linię w należytéj spójności i należytéj zależności od siebie i z jéj pomocą trzymać niejako stały garnizon na tyłach cerstwa, to jest zadaniem pierwszego z tych państw. Na odwrót rozrywać ten łańcuch, odrywać pod komendę

(1) P. Farges solidaryzuje się zupełnie w tym względzie z wyrażonemi tam pojęciami (ss. XV i XX).

własnych wpływów pojedyncze jego ogniwa, albo przynajmniéj kłócić je między sobą i neutralizować tym sposobem, to program państwa drugiego... We wszystkich swoich zatargach z dwoma sąsiadami od wschodu i zachodu, ma gabinet polski w dyplomacyi francuskiéj zawsze gotowego pośrednika, orędownika pokoju i rozjemcę. Mnożyć te zatargi, rzucać peryodycznie Polaka na Turka, to znowu, naturalnym trybem, zasadniczy punkt antagonistycznego programu austryackiego.

W połowie XVIII wieku skład ten stosunków międzynarodowych ulega stanowczemu przeobrażeniu, za sprawą nowego czynnika, dopominającego się o rolę w kombinacyach międzynarodowych. Tym czynnikiem jest wystąpienie Rosyi na widnokręgu europejskim. Zjawia się ona, i zjawia się z ambicyami politycznemi, które odrazu uderzają niby taranem w całą tę dopiero co wytkniętą linię strategiczną, stanowiącą warunek dotychczasowéj równowagi europejskiéj. Ztąd w polityce gabinetu francuskiego naturalna i dająca się usprawiedliwić dążność do zastąpienia nadwérężonego w ten sposób dyplomatyczno-wojennego stanowiska na wschodzie innéma nastręczającém się w postaci rosyjskiego aliansu; dążność paraliżowana czas jakiś tradycyjnemi nawyknieniami, skłonnościami i uprzedzeniami, których wyrazem jest właśnie „sekretna polityka" Ludwika XV-go; dążność zwyciężająca jednak ostatecznie i wyrażająca się z kolei opuszczeniem konfederacyi barskiéj i cichém przyzwoleniem na pierwszy podział Rzpltéj. Instrukcya udzielona margrabiemu de Paulmy w r. 1760 zawiera w streszczeniu historyą tego powoli dokonywującego się zwrotu. Widać w niéj wierne odbicie walczących z sobą tendencyi politycznych i słychać niejako odgłos gromkiego ich ścierania się w łonie samego gabinetu, kędy poniewierane tradycye znajdują jeszcze upornych obrońców. Nowy kierunek bierze już wszelako górę i zaznacza swój tryumf z tą cyniczną brutalnością, która zdaje się być we wszystkich czasach charakterystyczném znamieniem przewagi dyplomatycznéj:

„Jakkolwiek margrabia de Paulmy obznajmiony został za pomocą korespondencyi warszawskiéj z rozmaitemi względami, które skłoniły króla do przyjęcia nowego systematu odnośnie do spraw polskich, właściwą zdało się rzeczą zebrać je tutaj w ogólnym poglądzie, który wyraźniejszemi je uczyni. Trzymano się dotąd, względem tego królestwa postępowania, które przyczyniło Francyi znacznych ofiar pieniężnych, a nie miało żadnéj podstawy prócz przesądu, przywiązanego do dawnych nawyknień. Traktowano z koroną polską tak, jak z innemi mocarstwami, które posiadają rząd regularny i z których strony lękać się lub obiecywać sobie

wolno pewnego wpływu w ciele politycznem europejskiem, co jest jawnym błędem. Król polski, jako król, nie posiada żadnéj władzy, a dochody jego są bardzo skromne. Królestwo jest obszernym krajem otwartym dla wszystkich... Mimo ujemnych stron takiéj organizacyi politycznéj, Francya ponosiła przez długie lata niezmierne a całkiem bezowocne wydatki, bądź dla narzucenia Polsce królów, którzy by posiadali tylko tytuł bez władzy, bądź dla zrywania sejmów, które same z siebie zrywać się musiały nieuchronnie... Podług tych uwag, dowiedzioną jest rzeczą, że postępowanie dawniejsze Francyi w Polsce było bardzo niekonsekwentne w obec rządu, który może być jedynie uważany za anarchią: ale ponieważ anarchia ta odpowiada interesom Francyi, cała polityka téj ostatniéj względem tego królestwa ograniczyć się winna obecnie do utrzymania tegoż anarchicznego stanu".

Zaiste zmieniły się czasy od chwili, w któréj, wiekiem niespełna wcześniéj, Ludwik XIV, u szczytu potęgi swojéj stojący, pisał pod datą 15 maja 1655 r. do jednego z poprzedników margrabiego de Paulmy:

„Gdy mogę powiedzieć z zupełną prawdą, że nieustannie poświęcam główną moję troskliwość sprawom polskim, które poczytuję za najważniejsze dziś w całém chrześciaństwie, wyglądam téż z niecierpliwością zapowiedzianego mi stamtąd planu działania" (1).

Nie możemy oczywiście wchodzić w szczegółowy rozbiór rozmaitych faz, fluktuacyi, manewrów i kontr-manewrów dyplomatycznych, które doprowadziły do takiego przeobrażenia tradycyjnych stosunków; chcemy tylko zwrócić jeszcze uwagę czytelnika na jednę, nie najmniéj ciekawą stronę dokumentowego materyału, przysporzonego naszéj historyografii przez obecną publikacyą. Mamy na oku powtarzające się w wielu instrukcyach treściwe poglądy na wewnętrzny ustrój rzpltéj, z krytyczną tegoż oceną, wchodzącą częstokroć bardzo przenikliwie w szczegóły politycznego i społecznego życia naszego. W ten sposób czytamy w instrukcyi biskupa z Béziers z r. 1664 o Litwinach, że „jakkolwiek doświadczani częstemi i rujnującemi ich napadami wschodniego swego sąsiada, uchodzą za sympatycznie usposobionych dla tegoż niebezpiecznego napastnika"; o szlachcie naszéj w ogóle, „że jest dość nabożną ale najpospoliciéj z domieszką hipokryzyi" i tam daléj.

---

(1) Do margrabiego de Lumbres; depesza cytowana w artykule p. K. Wallszewskiego p. t. „Un chapitre de l'histoire de Chantilly."

Ale pora, abyśmy przystąpili do rozpatrywania téj strony zajmującego nas wydawnictwa, która stanowi w niém samodzielny udział wydawcy, a zajmuje niepoślednie i pod materyalnym nawet względem szeroko wymierzone miejsce.

II.

Obszerny wstęp (str. LXXXII), skreślony piórem pana L. Farges, otwiera się treściwym poglądem na geograficzne, etnograficzne i polityczne stosunki i właściwości byłéj rzpltéj. Znajdujemy tu dość powierzchowną, ale u francuskiego pisarza wyjątkową, nawet w tym powierzchownym kształcie, znajomość przedmiotu. Błędów rażących, tak pospolitych niestety w innych publikacyach francuskich, dotyczących przeszłości a nawet teraźniejszości naszéj, nie spotykamy. Jeżeli zaś uwzględnimy środki, któremi rozporządzał p. Farges w zebraniu zużytkowanych przez się historycznych danych, przyznać nam wypadnie, że dokonał prawdziwego *tour de force*. Szanowny wydawca nie zna w rzeczy saméj języka polskiego a tém samém obcemi mu pozostały wszelkie swojskie nasze historyczne źródła. Rulhière, Salvandy, z nowszych de Noailles i de Broglie—oto cała jego biblioteka. Dodajmy Lengnicha, którego cytuje bodaj czy nie na wiarę pana de Noailles, i Załuskiego, w którego wątpimy, aby się głęboko wczytał. Z polskiego piśmiennictwa historycznego znanemi mu są tylko francuskie monografie p. K. Waliszewskiego, do których się też często odwołuje. Nie zdaje się także, aby i którekolwiek z licznych dzieł niemieckich, historyi naszéj poświęconych, przeszło przez jego ręce. Zapewne przeszkodą stała się w tym względzie ta sama przyczyna. W takich warunkach nie znalazł się, przekonani o tém jesteśmy, żaden ze współpracowników pana Farges. Może dodać by nam się godziło, że zapewne nie pomyślała komisya wydawnicza o powierzeniu w takich warunkach znajdującemu się pracownikowi żadnego innego działu w podjętém przez się wydawnictwie. Ale zapewne także wybrednymi czynić się nie przystało nam i bądź co bądź należy się wdzięczność z naszéj strony szanownéj komisyi, za to że przynajmniéj pominiętymi nie zostaliśmy, i panu Farges, za to, że wywiązał się z trudnego zadania, jak mógł najlepiéj, a nawet trudność tę uwzględniając—wcale dobrze.

Nie brak w skreślonym przezeń obrazie spostrzeżeń wcale trafnych, choć nie brak i takich, które nie mogą być przyjęte bez zastrzeżenia przez polskiego historyka. W rzędzie pierwszych zaznaczymy charakterystykę politycznego stanowiska szlachty pol-

skiéj, jednę z głębiéj pomyślanych, z jakiemi spotkać się nam dotąd zdarzyło:

„W rzeczywistości szlachta polska posłuszną się być zdaje od początku do końca swego politycznego zawodu następującemu wyłącznie, dwoistemu programowi: poświęcenia się całkowitego na usługi państwa, ale z udzieleniem temuż państwu jak najmniejszéj władzy nad sobą. Niezależność absolutna w absolutnéj ofiarności, taką zdaje się być formuła jéj politycznego ideału“ (s. V).

Do mniéj szczęśliwych uwag i pomysłów zaliczymy wytknięty dość ryzykownie związek między fizycznemi warunkami bytu i moralnemi właściwościami naszego charakteru narodowego: „grunt i klimat wytworzyły rasę. Przeciwieństwo ostréj zimy i dusznych upałów letnich, właściwych krajowi, odnajdywało się w temperamencie jego mieszkańców. Lekkomyślni, nie troszczący się o nic, rozrzutni, Polacy ukochali nadewszystko uciechy życia i poświęcali im wszystko“ (s. III). Czy p. Farges pewnym jest, że przeciwieństwo chłodnych zimowych i skwarnych letnich miesięcy sprowadza wszędzie tego rodzaju następstwa? Taka konkluzya była by dotkliwą dla pewnych sympatyi i nadziei politycznych, rozpowszechnionych dziś między ziomkami szanownego wydawcy. Zakwestyonowaniu także podlega źródło, niewiadome zresztą, z którego zaczerpnął p. Farges pewność, „że ciało polityczne byłéj rzeczypospolitéj nie mogło odnawiać się wprowadzeniem do szlachty świeżych żywiołów z klas niższych“ (s. V). Zapoznanie się z Voluminami legum byłoby co najmniéj podsunęło autorowi poprawkę: „nie mogło dostatecznie“. Dzięki nobilitacyom i przyrodzonemu prawu rozradzania się, kasta szlachecka rozprzestrzeniała się aż nadto, tylko pozostawała kastą. Razem z liczbą uprzywilejowanych powiększała się liczba przywilejów. Punktem wyjścia z tego błędnego koła stać się mogło dopiero ostateczne wypełnienie politycznego programu, będącego naturalnym wynikiem takiego układu stosunków, a prowadzącego — do uprzywilejowania całéj massy narodu. Ale téż program ten był i pozostał do końca tak dalece związany z treścią naszego rozwoju politycznego, że podejmujący go otwarcie w r. 1792 prawodawcy sejmu czteroletniego kontynuatorami się tylko czynią tradycyi, przekazanéj im przez pisarzy naszych politycznych XVI wieku. Frycz Modrzewski, wprowadzający chłopa do zamkowéj sali na obrazie Matejki, jest figuryczną zapewnie, ale w figurycznym charakterze—ściśle historyczną postacią.

Są to wszelako kwestye, odnośnie do których nawet bliższe zapoznanie się z naszém krajowém piśmiennictwem historyczném

nie byłoby może wystarczyło wydawcy francuskiemu do powzięcia całkiem trafnych i uprzedzeniami lub apriorystycznemi teoryami nie spaczonych wyobrażeń. To samo powiemy o konkluzyi, do któréj przyprowadził pana Farges przegląd naszych politycznych instytucyi, „tak odróżniających się od politycznéj organizacyi właściwéj reszcie Europy“ (s. XIV). Choć jedna z francuskich nawet świeżych publikacyi mogła posłużyć mu w tym względzie do sprostowania a przynajmniéj do umiarkowania wniosków—odpowiadających zresztą pojęciom bardzo między nami samymi rozpowszechnionym. W książce Sorel'a (*L'Europe et la Révolution Française*. Paryż, 1887) doczytać się był autor w stanie o instytucyach właściwych w XVIII wieku innym krajom europejskim jak Polska, a nie mniéj chyba odmiennych od francuskiego absolutyzmu monarchicznego. „Instytucye polityczne reszty Europy“, zestawione w epoce przed-rewolucyjnéj z naszym monarchiczno-republikańskim ustrojem, to nic innego jak szczery sofizmat, oparty na prostym anachronizmie. Jakie instytucye polityczne? Absolutna monarchia francuska, czy konstytucyjna angielska, czy federacyny ustrój niemiecki, czy szwajcarska respublika, czy średniowieczna organizacya włoskich państw i państewek.

Szczęśliwszym nierównie jest p. Farges w ogólnym obrazie polityki francuskiéj i jéj dyplomatycznych stosunków z Polską, który wypełnia drugą, o wiele rozleglejszą część jego przedmowy. Dostrzedz się daje i tutaj brak głębszego wniknięcia w przedmiot, będący po części następstwem brakujących autorowi historyograficznych wiadomości. Z niektórych ustępów wnosić wolno, iż nawet francuskie publikacye, odnoszące się do tego przedmiotu, aczkolwiek w przypisach cytowane, nie były bardzo obecne jego pamięci. I tak, na s. LIII waha się szanowny wydawca w oznaczeniu przyczyn, które sprowadziły w latach 1667—1683 „oziębienia Polski względem Francyi“ i doprowadziły do polsko-austryackiego przymierza z r. 1683. Nietylko zapoznanie się z wydanemi przez Akademię krakowską „Sobiescianami“, o których podobno nie dowiedział się szanowny wydawca (choć dowiedzieć się mógł nawet z „*Revue des deux Mondes*“), ale bodaj odczytanie artykułów ogłoszonych w „Correspondant“ byłoby mu przeszkodziło do poprzedzenia instrukcyi, udzielonéj w r. 1680 biskupowi Bellowaceńskiemu i margrabiemu de Vitry (s. 157), komentarzem, który dziwić musi w poważném wydawnictwie.

„Pod wpływem urazy, wznieconéj w sercu królowéj Maryi-Kazimiery względem Ludwika XIV, z powodu odmówionego jéj ojcu, margrabiemu d'Arquien, diukowskiego tytułu, pod wpływem

wielu innych wypadków, należących raczéj do romansu, niż do historyi, Polska zdawała się w téj epoce zbliżać do Austryi".

Tak pisze p. Farges, odwołując się do pamiętników księdza de Choisy. Wobec całego tomu dokumentów dyplomatycznych, odnoszących się do téj epoki we francuskim języku wydanych, przez Akademią krakowską, świadectwo księdza de Choisy mogło chyba być usunięte na drugi plan w takiéj publikacyi, jak obecna. Tém bardziéj, że zaglądając do owego tomu, byłby p. Farges osiągnął pewność, że tytuł diuka i para nie był odmówiony margrabiemu d'Arquien. I z tego zaś tomu i z artykułów ogłoszonych w „Correspondant", mógł zaczerpnąć bliższą wiadomość o tych „innych wypadkach", które przyczyniły się do tryumfu dyplomacyi austryackiéj nad Wisłą. Zapewne zaś w ten sposób z wypadkami owemi zaznajomiony, nie byłby się skłonił do przysądzenia im romansowego raczéj, niż historycznego charakteru. Propozycya gabinetu wiedeńskiego, utwierdzona traktatem z d. 31 marca 1683 r., a zmierzająca do zapewnienia Polsce aliansu austryackiego w nieuchronnéj wojnie z Turcyą, i kontr-propozycye francuskie, przesłane pod datą 10 grudnia 1680 r., a żądające zupełnego oddania się rzpltéj pod komendę polityki francuskiéj, w zamian za przyznane margrabiemu d'Arquien diukostwo, ofiarowaną Maryi-Kazimierze pensyą i przeznaczoną samemu Sobieskiemu lafę 50,000 talarów—oto właściwy węzeł dyplomatycznego dramatu, rozwiązanego pamiętną wyprawą Wiedeńską.

I znowu nie polskie już, ale francuskie publikacye, odnoszące się do historyi kandydatury księcia de Conti, oraz wogóle do sekretnéj polityki Ludwika XV, ostrzedz powinny były pana Farges przed płytkością poglądu, którą grzeszy i na tym punkcie skreślony przezeń obraz. Kandydatura księcia de Conti, przedstawiona jako źródło i punkt wyjścia sekretnych zabiegów dyplomacyi francuskiéj w Polsce (s. LXXIV i II, 110) — to nowe i rażące nieuwzględnienie danych przyswojonych już nauce historycznéj. P. Farges zdaje sobie poniekąd sprawę, ale bardzo niejasno, z dualizmu dążności politycznéj, o którym wspomnieliśmy wyżéj, a którego wytworzenie się, w łonie gabinetu francuskiego, było następstwem nowéj kombinacyi stosunków europejskich, z chwilą wystąpienia Rosyi na widowni europejskiéj. Polityka sekretna była wcieleniem w czyn jednego z dwóch tych kierunków, tego który zmierzał do utrzymania bądź dawnéj pozycyi strategicznéj nad Wisłą; kandydatura księcia de Conti była tylko narzędziem, okolicznościowém i zarzuconém późniéj narzędziem, téj polityki.

Wogóle jednak p. Farges przedstawia wiernie i charakteryzuje często z wielką trafnością i bystrością obrazowane przez się stosunki. I tak, na samym początku, z bardzo właściwego punktu uchwyconą znajdujemy potrzebę aliansu polskiego, narzucającą się Francyi nazajutrz po pokoju Westfalskim (s. XXXVII). Niemniéj umiejętnie pojętym i naszkicowanym zdaje się nam całokształt stosunków europejskich, za którego sprawą, wnet po elekcyi Sobieskiego, rzeczpospolita staje się znowu dla walczącego z europejską koalicyą monarchy francuskiego sprzymierzeńcem koniecznie potrzebnym, bo jedynie możliwym na północy. Ulega tylko poniekąd p. Farges skłonności, dającéj się łatwo wytłómaczyć u dzisiejszego pisarza francuskiego, ale niemniéj przeto historykowi niewłaściwéj, do osłabienia istotnéj doniosłości faktów zaznaczonych przez się w tym kierunku. Zdaje się, jak gdyby raziły go one naturalnym swoim sensem. I tak, na wstępie instrukcyi udzielonéj w r. 1664 biskupowi z Béziers Ludwik XIV pisze:

„Gdy ambasada polska, w dzisiejszym stanie spraw tego kraju oraz innych spraw chrześciańskiwa, jest stanowiskiem najważniejszém dla interesów Jego Kr. Mości... Jego Kr. Mość rzuciła okiem na biskupa z Béziers, którego uznała za najzdolniejszego do wywiązania się z misyi tak doniosłéj, wśród okoliczności najdrażliwszych, jakie się kiedykolwiek zdarzyć mogą, a które nastręczą pole do rokowań pierwszorzędnéj wagi...“

Natychmiast czuje p. Farges potrzebę dołączyć do tych słów komentarz, objaśniający i miarkujący ich znaczenie pokojowemi owocześnie a więc zobojętnionemi stosunkami Francyi z resztą Europy (I, 52). Niestety, te to właśnie stosunki, niby pokojowe i niby pozwalające na wyznaczenie pierwszego miejsca drugorzędnym sprawom polskim w zaprzątnieniach polityki francuskiéj, te to same stosunki stają się przeszkodą w przeprowadzeniu programu politycznego, powierzonego wytrawnym dyplomatycznym zdolnościom biskupa z Béziers. Właśnie ze względu na te stosunki, tryumf kandydatury Kondeusza lub jego syna, księcia d'Anguien, o który teraz chodzi, jest sprawą pierwszorzędnéj wagi, ale właśnie także dla tych drugostronnych stosunków, o których nie zapomina Ludwik XIV, sprawa ta wiąże się z drażliwemi okolicznościami, „najdrażliwszemi, jakie się kiedykolwiek zdarzyć mogą“. Przychodzi czas zaiste, w którym Polska przybiera w oczach gabinetu wersalskiego znaczenie wartości drugorzędnéj, *d'une quantité négligeable*, ale czasu tego nie trzeba szukać w wieku XVII.

Aż do końca wojny sukcesyjnéj austryackiéj w r. 1744, jak to słusznie zaznacza p. Farges, kwestya sukcesyi tronu polskiego

i myśl zapewnienia téj sukcesyi kandydatowi francuskiemu nie schodzi z porządku dziennego wersalskich zaprzątnień dyplomatycznych. Trafia się wprawdzie chwilowa przerwa w tych tradycyjnych tendencyach i zabiegach, spowodowana ostatecznym upadkiem kandydatury francuskiéj po śmierci Sobieskiego i wywołaném przez tę porażkę rozczarowaniem. Zbity na razie z tropu gabinet wersalski, skłania się do kompromisu z dynastyą saską, tak jak wobec niepowodzenia Neuburskiéj kandydatury w r. 1674, był się skłonił do kompromisu z Sobieskim. Z dniem 17 grudnia 1700 r. przychodzi do skutku traktat, zapewniający Augustowi II przyjaźń i subsydya francuskie. Na nieszczęście monarcha polski ociąga się z ratyfikacyą tego przymierza, niebawem zaś ujawnia się to, iż chodziło mu tylko o zamaskowanie układów, równocześnie prowadzonych w Wiedniu i zakończonych 16 stycznia 1702 r. drugim, pośpiesznéj tym razem ratyfikacyi doczekującym się, traktatem. Zaczém kilkoma miesiącami już późniéj spadek tak niewdzięcznie przez Augusta II piastowanéj korony otwartym się okazuje napowrót w Wersalu. Pomyślawszy o zabezpieczeniu sobie ewentualnego współudziału ze strony sprzymierzeńca szwedzkiego, dążącego właśnie do obalenia saskiego panowania nad Wisłą, poleca Ludwik XIV swemu ajentowi w Polsce, Héronowi, przygotowanie gruntu dla jednéj z następujących kandydatur: 1) księcia de Conti; 2) wojewodów krakowskiego lub bełskiego; 3) Radziwiła, kanclerza w. l; 4) którego z m ł o d s z y c h, synów Sobieskiego; 5) Siedmiogrodzianina Rakoczego. Pokój Utrechcki i późniejszy Rastadzki (11 kwietnia 1713—7 marca 1714) sprowadzają wprawdzie zmianę kombinacyi politycznych, któréj następstwem staje się nowe zbliżenie do domu saskiego i nowe próby przymierza, pomyślnym teraz uwieńczone skutkiem (6 września 1714); ale i to odstępstwo od tradycyjnej polityki nie okazuje się długotrwałém; wytknięty bowiem w tym kompromisowym kierunku program rozbija się o dwa nieprzewidziane wypadki, z których jednym jest tragiczny koniec awanturniczych zapędów Karola XII, drugim małżeństwo Ludwika XV z córką Leszczyńskiego. Jedna więcéj kampania elekcyjna nad Wisłą i jedna więcéj porażka na tém polu, oto rezultat narzuconego tym sposobem polityce francuskiéj nawrotu do przestarzałych tradycyi.

W roku 1748 przychodzi zamknąć ostatecznie rachunek téj niefortunnéj kampanii i trafia się pora sposobna do obrania polityki lepiéj odpowiadającéj skompromitowanym albo przynajmniéj narażonym bezowocnie interesom francuskim. Trzy kombinacye nastręczają się w tym względzie mężom stanu wersalskim: 1) alians

z Rosyą, z poświęceniem Polski; 2) alians z Prusami z poświęceniem Szwecyi; 3) alians z Austryą i domem saskim, z poświęceniem dotychczasowych pretensyi do rozporządzania tronem polskim. Trafnie uwydatnia p. Farges te alternatywy i niemniéj trafnie zaznacza, że nie umiano między niemi zrobić wyboru. Podpisano pamiętny traktat Wersalski z Austryą, ale wyprawiono jednocześnie hr. de Broglie nad Wisłę, dla agitowania na rzecz kandydatury księcia de Conti. Tylko raz jeszcze nie zdaje sobie p. Farges sprawy z właściwych wyżéj wskazanych przyczyn, téj jawnéj politycznéj niekonsekwentności. Twią one całkowicie i jedynie we współistności, pod godłem jednego i tego samego gabinetu i jednéj i téj saméj dyplomacyi, dwóch kierunków politycznych, z których każdy jest konsekwentnym z samym sobą, ale krzyżuje się z kierunkiem sąsiednim. Hr. de Broglie, naśladując w tym względzie bohatera Molierowskiéj komedyi, jest przedstawicielem w jednéj osobie, jednego i drugiego kierunku, wykonawcą sekretnych poleceń Ludwika XV na rzecz elekcyjnych widoków jego kuzyna, i wykonawcą urzędowych instrukcyi gabinetowych, zmierzających coraz wyraźniéj do zupełnego opuszczenia nadwiślańskiéj linii operacyjnéj. Właściwie zaś ani sekretna ani urzędowa polityka nie okazuje się całkowicie i bezpodzielnie związaną, ani z jednym, ani z drugim z dwóch współzawodniczących z sobą kierunków. Właściwie jedna i druga ulega kolejno przeciwważącym się ich wpływom. Właściwie ani jedna ani druga nie wié dobrze, czego chce i dokąd zmierza.

Stan ten rzeczy przeciąga się długo, jak tego dowodzą dwuznaczne znowu i żadnemu statecznie obmyślanemu planowi nie odpowiadające misye Dumouriez'a, Vioménil'a i Murinais'a w latach 1770—71. Kładzie mu dopiéro koniec fakt pierwszego podziału, którego przyjęcie ze strony francuskiego gabinetu ma, w stosunku do francuskiéj polityki nad Wisłą, znaczenie formalnéj kapitulacyi. W ciągu téż lat dwudziestu, aż do r. 1791 nie pojawia się u nas żaden nowy téj polityki przedstawiciel. Zwinięto chorągiew, dokoła któréj cisnęła się przez lat tyle gromadna rzesza tradycyjnych klientów; dokonano ostatecznego odwrotu i spalono nawet mosty za sobą. Misya margrabiego Descorches de Sainte-Croix w r. 1791, któréj nie wiemy, dla czego przypisał p. Farges nieusprawiedliwione niczém znaczenie, nie stanowi jeszcze odstępstwa od tego abstynencyjnego systematu. Szanowny wydawca dopatrzył się w téj misyi formalnego powrotu do dawnego programu, formalnego pokuszenia się o odzyskanie utraconego stanowiska i opuszczonéj linii strategicznéj, wiążącéj Stockholm z Konstanty-

nopolem przez Warszawę. Nie znajdujemy nic podobnego w tekście samym instrukcyi udzielonéj nowemu posłowi.

Czytamy w niéj: „P. de Sainte-Croix przygotowany być powinien na to, że przybycie jego do Warszawy da powód do wniosku, że zamiarem naszym jest utworzenie nowego stronnictwa francuskiego w rzpltéj z użyciem dawniéj w tym celu zastosowanych środków. Pierwszém jego staraniem będzie zapobiedz utwierdzeniu się tego pojęcia.... Unikać winien pilnie p. de Sainte-Croix wszelkich oświadczeń, któreby mogły dać do zrozumienia, iż Jego kr. Mość życzy sobie przyjąć udział bezpośredni jakikolwiek bądź w wewnętrznych, bądź w zewnętrznych sprawach Polski... Pominiętą została w tych instrukcyach kwestya najwięcéj mająca wagi odnośnie do przyszłości rzplitéj, mianowicie kwestya następstwa tronu, a to dla tego, że Jego kr. Mość nie ma zamiaru wywiérać w tym względzie jakiegokolwiek wpływu".

Jak wiadomo, misya margr. de Paulmy zakończyła się była w r. 1764 faktyczném zerwaniem urzędowych stosunków dyplomatycznych z rzplitą, które, jak się rozumié, nawiązanemi być nie mogły napowrót przez takich pół-urzędowych czy wcale nieurzędowych ajentów, jak Dumouriez lub Wielhorski. Sejm czteroletni dopiéro podjął w tym względzie urzędową inicyatywę, wyprawiając do Paryża Oraczewskiego. Misya margr. de Sainte-Croix jest odpowiedzią gabinetu wersalskiego na ten akt dyplomatycznéj grzeczności; nic więcéj nad to. Inaczéj następujące po niéj poselstwo „obywatela" Parandiera. Ten zjawia się istotnie już jako reprezentant odnowionéj tradycyi politycznéj. Tylko członkowie komitetu *du Salut public* nie ulegają żadnym dwoistym natchnieniom dziwacznéj owéj polityki z czasów Ludwika XV, nieświadoméj celów ani dróg swoich. Ci wiedzą, czego chcą. Chcą po staremu d y w e r s y i, a szukają jéj nad Wisłą, dla tego, że nie mogą znaleść jéj gdzieindziéj.

Przy końcu swojéj przedmowy zastanawia się p. Farges nad przyczynami upadku rzplitéj, i, wypowiedziawszy zdanie, że upadek ten stał się nieuchronnym z końcem XVIII wieku, skłania się do przypisania go głównie geograficznemu położeniu kraju, a osobliwie sąsiedztwu z potężném państwem. Kwestya to zbyt jeszcze sporna w naszéj historyografii, abyśmy pokusić się tu mogli o wyczerpującą krytykę wyrażonego w ten sposób poglądu. Co najwięcéj, ośmielilibyśmy się zarzucić zbyteczną ryczałtowość poglądowi samemu, o którym mowa, tak jak każdemu innemu, w tych samych wygłoszonemu warunkach.

Stawia także p. Farges sobie pytanie: czy Francya mogła zapobiedz temu, co się stało, i odpowiedź jego brzmi przecząco. Uchylić się także musimy na tém miejscu od dyskusyi w tym przedmiocie. Powiedzielibyśmy tylko, że mogła bezsprzecznie nasza nadsekwańska wieloletnia aliantka oddać nam rzeczywistą usługę, czyli właściwiéj mówiąc, oszczędzić nam wielu klęsk, nie mieszając się tak natarczywie, jak to długo czyniła, do spraw naszych; ale nie jest zapewne rzeczą historyka obwiniać czyjąśkolwiek politykę o poszukiwania, podług własnéj myśli i woli, własnego swojego interesu. I powiedzielibyśmy także to, że moglibyśmy sami nie dopuszczać w naszych domowych sprawach takiéj obcéj interwencyi, albo przynajmniéj nie ulegać tak potulnie jéj wpływom,—ale *habent sua fata populi*...

III.

Wypada nam teraz dodać słów kilka o technicznéj stronie wydawnictwa, z którego zdajemy sprawę. Tu, na nieszczęście, narzuca się nam konieczność wielorakich zastrzeżeń i zarzutów. Metoda zastosowywana do wydawnictw tego rodzaju, jakkolwiek wielce udoskonalona w ostatnich czasach, nie jest jeszcze ustaloną do tego stopnia, iżbyśmy przymierzać chcieli pracę pana Farges do jakiegokolwiek absolutnego ideału. Mniemamy wszelako, iż jest jeden postulat któremu uczynienie zadość wymagalném być może ze strony każdego wydawcy, a tym jest przyjęcie pewnéj metody i konsekwentne onéj zastosowanie. Owóż w tym względzie właśnie leżące przed nami dwa tomy zdają nam się podlegać niejednéj krytyce.

Zaczniemy od samego wyboru ogłoszonych dokumentów. Wybór ten mógł zdać się wydawcy faktycznie uniezależnionym od jego woli przez program wydawnictwa; nie mielibyśmy także nic do zarzucenia panu Farges, gdyby był poprzestał na mechanicznem niejako wydzieleniu kilkudziesięaiu aktów opatrzonych, w zbiorze archiwalnym, etykietą „instrukcyi poselskich“. Gdyby jednak szanowny wydawca był się pokusił o rozszerzenie tak zakreślonego programu przez wprowadzenie do podjętego wydawnictwa innych dokumentów, nie noszących urzędownie téj saméj etykiety, ale mających z historycznego punktu widzenia ten sam charakter, nie wahalibyśmy się z udzieleniem naszego uznania takiéj metodzie. Nakoniec ograniczenie nawet wydawnictwa do pewnéj liczby „instrukcyi“ czy depesz równoważnych z instrukcyami, z zastosowaniem umiejętnéj klasyfikacyi wybrakowanego w ten sposób materyału, nie doczekałoby się z naszéj strony żadnego zarzutu. Ale musimy za-

strzedz się przeciwko publikacyi, w której nie widzimy konsekwentnego zastosowania żadnéj z tych rozmaitych alternatyw. P. Farges nie ograniczył się na udzieleniu nam tekstu samych „instrukcyi“, ale w uzupełnieniu ich drugostronnemi tekstami nie zastosował żadnego ujawniającego się systematu i żadnego usprawiedliwiającego się wyboru. I nie wprowadził także p. Farges do udzielonéj nam kompilacyi wszystkich bez wyjątku „instrukcyi“ znajdujących się w zbiorze archiwalnym, ale w pominięciu jednych a wyznaczeniu miejsca drugim nie kierował się, o ile sądzić nam wolno, żadnemi względami metodycznemi. I tak na stronie 127, tomu drugiego znajdujemy tekst prostego listu, skreślonego ręką księcia de Conti pod adresem hr. de Broglie 26 września 1752. Moglibyśmy zakwestyonować wartość tego dokumentu, który przecenionym istotnie został, jak sądzimy, w książce księcia de Broglie („*Le secret du Roi*“) i niewłaściwie wyzyskanym gwoli artystycznym raczéj, niż historycznym względom. Nie podniesiemy jednak tego sporu, ale zaznaczymy, że trzysto-tomowa korespondencya dyplomatyczna, którą miał w rękach p. Farges, zawiera setki listów i depesz nierównie większéj wagi, których śladu nie znajdujem w obecném wydawnictwie. I tak, między rokiem 1680 a 1689 spotykamy dziewięcioletnią przerwę w zestawionych przez pana Farges dokumentach. Czy nie było w tym czasie żadnego posła francuskiego w Polsce po wyjeździe biskupa Bellowaceńskiego w r. 1683? Gdzie tam! było ich trzech, i trzech naraz nawet, w osobie pp. de Béthune, de Gravel i du Teil, których jednoczesna obecność nad Wisłą świadczy sama o intensywności spółczesnych zabiegów dyplomatycznych gabinetu francuskiego w naszym kraju. Czy panowie ci przybyli do Polski bez instrukcyi? Broń-boże! tylko, że jeden gościł pierwéj w Berlinie, drugi w Stockholmie a trzeci nad Renem, więc zwyczajnym w praktyce dyplomatycznéj trybem, udzielone im wskazówki i programy postępowania, dostały się do ich rąk w kształcie nie „instrukcyi“, ale depesz zwyczajnych.

Ale, zamieściwszy list z d. 26 września 1752 r. pod adresem hr. de Broglie, wydzieliwszy obok niego miejsce instrukcyom zredagowanym dla takich wysłańców jak Montargon, którego podróż do Polski w r. 1714 miała za cel jedyny oddalenie jego osoby od boku saskiego następcy tronu, bawiącego we Francyi (I, 291), p. Farges pomija dwie, formalne tym razem „istrukcye“, udzielone w r. 1755 samemu hrabiemu de Broglie pod datami 8 i 10 października. Dla czego? Dla tego podobno, że dwór polski bawił pod ten czas w Dreznie, a więc instrukcye doręczone odjeżdżającemu do Drezna posłowi —instrukcye cale nie obojętnéj treści, jak łatwo przypuścić

można wwspółczesnych okolicznościach,—pomieszczone zostały nie w polskim lecz w saskim dziale archiwalnego zbioru i tam ich trzeba było szukać, a tam nie poszukał ich p. Farges.

A teraz zarzut drugi mniejszéj doniosłości. Kwestya pisowni w publikacyach dokumentowych pozostaje dotąd także nierozstrzygniętą stanowczo. Wydawnictwa francuskie skłaniają się raczéj do przyjmowania pisowni nowoczesnéj, przynajmniéj względem dokumentów odnoszących się do XVII i XVIII wieku. Zostawiając na boku argumenta, przemawiające za taką lub inną w tym przedmiocie metodą, sądzimy znowu, iż wybór jednéj lub drugiéj metody i ścisłe jéj zastosowanie narzuca się każdemu wydawcy. Owóż pan Farges nie uwzględnił, jak się zdaje, téj konieczności i pisownia przezeń wprowadzona do powierzonego mu wydawnictwa jest żadną, ani starą, ani nową, jak o tém łatwo się przekonać, zostawiając np. podany przezeń tekst instrukcyi udzielonych biskupowi Marsylijskiemu w latach 1674—1680, z tymże tekstem w krakowskiém. wydawnictwie „Sobiescianów", które zachowało spółczesną pisownię.

Nakoniec zarzut trzeci, dotkliwszy. Wspomnieliśmy o przypisach i komentarzach objaśniających, które objęte zostały programem wydawnictwa. Wymiar i charakter tych dodatków zawisł oczywiście całkowicie od woli wydawcy. Niedostateczne u pana Farges oswojenie się z przedmiotem, niemożliwość, w jakiéj zostawał, posługiwania się polskiemi źródłami historycznemi, mogła go łatwo skłonić do wielkiéj wstrzemięźliwości w tym względzie. Unikając zbyt rażących omyłek w ogólnym obrazie naszych stosunków, o którego skreślenie pokusił się on w swojéj przedmowie, dość wiele, jak o tém nadmieniliśmy, dokazał szanowny wydawca. Wniknięcie w szczegóły i drobiazgi tego obrazu było już zbyt ryzykownem z jego strony przedsięwzięciem. Ale, jak o tém wspomnieliśmy, szanowny wydawca posiada przymiot, za którego sprawą nikną częstokroć, przed oczami szczęśliwych jego posiadaczy, trudności i niebezpieczeństwa podejmowanych przedsięwzięć. Młodym jest i z młodzieńczą energią przystąpiwszy do powierzonego sobie zadania, a także z prawdziwém zamiłowaniem, któremu oddaliśmy już należną pochwałę, przyjął ryzyko, nie chciał być wstrzemięźliwym, a chciał owszem zrobić wszystko to, co byłby zrobił na jego miejscu inny wydawca, będący w posiadaniu wszystkich rozporządzalnych w téj materyi środków — i wszystko to co zrobili współpracownicy jego w innych, inaczéj wyposażonych działach wydawnictwa. I znowu przyznać mu trzeba, że w danych warunkach, cudu prawie dokazał. Tylko, jak tego spodziéwać się było można, dobre jego chę-

ci nie dopisały narzuconéj im próbie, i jak z jednéj strony żałować przychodzi olbrzymiego, o ile sądzić wolno, nakładu pracy poświęconéj przezeń bezowocnie, tak z drugiéj strony opłakiwać wypada zeszpecenie pomnikowego zbioru przyczynkami nietylko nie przedstawiającemi żadnéj wartości dodatniéj, ale wprost ujemnemi, bo fałszującemi najpospoliciéj objaśniane fakta, koślawiącemi prostowane nazwy osób i miejscowości, mieszającemi osoby i daty.

W ten sposób dowiaduje się francuski czytelnik (II, 65) o rodzinie Sanguszków, że osiągnęła ona wpływowe stanowisko wrzpltéj dzięki dokonanemu ze wspólnictwem Lubomirskich podziałowi ordynacyi ostrogskiéj. W ten sposób doczytuje się o kardynale Radziejowskim, synu starosty *de Tomzen* i córki hrabiego *de Fornow* (I, 217), o Auguście Czartoryskim wojewodzie Lwowskim (II, 105), o Szymonie Kulkowskim, wojewodzie Chełmińskim (II, 136) itd. w ten sposób uwiadomionym zostaje, że właściwa nazwa miejscowości często wspominanéj w korespondencyi dyplomatycznéj z epoki Sobieskiego (Stryja, w dzisiejszéj Galicyi) zamiast *Strie* brzmiéć powinna *Stry* albo *Striy* (I, 168). Nie wahamy się twierdzić, że zamiast mazać marginesy okazałéj i cennéj skądinąd publikacyi podobnemi przypisami, zamiast domyślać się czy wspomniana w jednéj z instrukcyi a polskim czytelnikom oswojonym z historyografią XVIII wieku dobrze znana starościna Bolimowska „nie była przypadkiem ową piękną Maryą Lubomirską, z któréj August II miał syna znanego pod imieniem kawalera Saskiego“ (II, 178), zamiast uciekać się do tak cudacznych hypotez, lepiéj byłby usłużył p. Farges swojéj sławie i interesowi powierzonego sobie wydawnictwa, gdyby był się obszedł z wszystkiemi nastręczającemi mu się zagadkami tego rodzaju, tak jak z osobą sławnéj u nas pani Kossakowskiéj, kasztelanowéj Kamieńskiéj, „o któréj nie zdołał zasięgnąć żadnéj wiadomości“ (II, 130)—choć miał w tym przypadku pod ręką pana Waliszewskiego, który byłby mu potrzebnéj informacyi użyczył, jako wydawca całego tomu poświęconego pamięci głośnéj kasztelanowéj.

Które to wszystkie uwagi nie przeszkadzają, iż wdzięczni jesteśmy bądź co bądź p. Farges i komisyi wydawniczéj paryskiego archiwum za przysporzony naszéj historyografii materyał dokumentowy i gotowi byśmy byli nawet zastosować doń przysłowie o darowanym koniu, gdyby nie obowiązek sprawozdawczéj sumienności i wzgląd, że można było tym samym kosztem zrobić inaczéj i lepiéj to, co dla nauki zrobiono.

Z.



CZAS.

. . . . . W łonie słowa
Razem ze światem poczęty,
Jestem ja, czas, niepojęty...

Niepojęty dla poety, niepojętym jest i dla przyrodnika. Przyrodnik wszakże tém się nie kłopocze i usuwa zupełnie potrzebę definicyi: czas—po prostu—nie określa się dla niego; pozostawił ten mozół filozofom. Szczęśliwe złudzenie czy rozumne zaparcie. Chłodniejszy niż poeta, znosi spokojnie okowy, które mu przyroda nałożyła, i rozerwać się ich nie sili; skromniejszy niż filozof, nie wybiega poza kresy, do których mu drogę zmysły utorować mogą. Co jest czas—nie pyta; pociąga go tylko w zakres swych rozważań, ocenia, wynajduje przyrządy do jego mierzenia, oblicza przeszłość ziemi, stara się przyszłość świata odcyfrować. Z tak rozległego obszaru, rozrzuconego po całéj dziedzinie badań przyrodniczych, wydobyć tu pragniemy kilka luźnych ustępów.

I.

Świadomość upływającego czasu budzą w umyśle naszym tylko zmiany wokoło nas i wewnątrz nas zachodzące, stosunki między rzeczami istniejące. W przestrzeni wypełnionéj materyą jednorodną i niezmienną pojęcie nasze czasu nie miałoby żadnego znaczenia, jest ono bowiem abstraktem tylko, oderwaniem dostrzeżeń naszych i doświadczeń. Dla tego téż mówić nie możemy o czasie bezwzględnym czyli niezależnym od wszelkiéj zmiany.

Newton wprawdzie w uwadze, która następuje bezpośrednio po określeniach podanych na początku wielkich jego „Principiów“, wyróżnia czas bezwzględny i względny, podobnie jak mówi

o bezwzględnéj i względnéj przestrzeni. „Czas bezwzględny, prawdziwy i matematyczny płynie sam przez się, i dla natury swéj jednostajnie i niezależnie od jakiegokolwiek przedmiotu zewnętrznego; można go również oznaczać nazwą trwania. Czas względny, pozorny i zwykły jest dotykalną i zewnętrzną miarą trwania, którą się posługujemy zamiast czasu prawdziwego, jak godzina, dzień, miesiąc, rok“. Mach wszakże w swéj historyi mechaniki sądzi, że Newton okazał się tu niewiernym swemu założeniu rozpatrywania rzeczywistości tylko. Czas ten bezwzględny bowiem nie ma żadnéj wartości praktycznéj ani naukowéj; nikt twierdzić nie może, by o nim cokolwiek wiedział, jestto przeto czcze wyobrażenie metafizyczne.

Pojęcie czasu osiągamy, zestawiając treść naszych wspomnień, zasób dostrzeżeń, w pamięci naszéj zawartych, z wrażeniami, jakie nam ustawicznie świat zewnętrzny przynosi. Wszelkie wyobrażenia zatém nasze o czasie odpowiadają przebiegowi zjawisk w przyrodzie. „Jeżeli twierdzimy, mówi Mach, że czas upływa w określonym kierunku, to znaczy to, że objawy fizyczne, a zatém i fizyologiczne, dokonywają się tylko w pewnym oznaczonym kierunku. Wszystkie różnice stanu temperatury lub elektryczności, wogóle wszystkie różnice poziomów, same sobie pozostawione, nie stają się większemi ale mniejszemi. Gdy rozpatrujemy dwa stykające się ciała niejednakowéj temperatury, zbiegać się mogą jedynie większe różnice téj temperatury w obszarze naszych wspomnień z różnicami mniejszemi w obszarze naszych dostrzeżeń. W tém wszystkiém ujawnia się jedynie właściwy, głęboko sięgający związek rzeczy“. Według tego zatém, dla tego tylko nie pojmujemy cofania się czasu, że rzeka wstecz nie płynie, że piec rozgrzany sam przez się nie rozpala się wyżéj, że my sami starzejemy się, a nie odmładzamy. Dla tego tylko, że ogół zjawisk w przyrodzie odwrócić się nie dozwala, wydaje się nam i czas nieodwracalnym, chwila upłyniona niepowrotną. Wyobrażenia nasze wychylać się nie mogą poza szranki przyrody, a pojęcie czasu jest wyrazem zmian w niéj zachodzących. Gdzie panuje nieruchomość zupełna, tam o czasie mowy być nie może.

Dla tego téż, jako czynnik naukowy, czas wtedy dopiero mógł wystąpić, gdy ruch stał się przedmiotem badań. Wszystko, co starożytni z mechaniki wiedzieli, tyczyło się jedynie statyki, któréj ścisłe podstawy dał Archimedes. Skąpe wiadomości o ruchu w fizyce Arystotelesa są wręcz błędne; według niéj ciała ciężkie opadają na dół dla tego, że szukają miejsca swego, które właśnie u dołu przypada, co téż uzasadnia pozorne dostrzeżenia, że ciała cięższe spadają prędzéj aniżeli lżejsze. Dynamika jest nauką zupełnie no-

wożytną, rozpoczyna się od badań Galileusza nad spadkiem ciał. W poszukiwaniach tych wybija się duch nauki nowożytnéj, który usuwa na plan dalszy pytanie, dla czego ciała spadają, a przedewszystkiém usiłuje wykryć, jak ciała spadają, poszukuje praw spadku. Prawa te obejmują zależność, jaka zachodzi między drogą, przez ciało spadające przebytą, a czasem, na przebycie téj drogi łożonym, zarówno jak zależność między czasem a osiąganą w każdéj chwili prędkością. Uchwycenie tych związków (1638 r.) stanowi z różnych względów jednę z najważniejszych w dziejach nauki epok; odkrycia Galileusza otwierają nowożytny okres przynajmniéj mechaniki i fizyki, jeżeli dzieje nowożytne przyrodoznawstwa w ogólności odnieść zechcemy do Kopernika.

Prawa wykryte przez Galileusza uczą, że prędkości nabyte przez ciała swobodnie spadające rosną jak czasy, drogi zaś przez nie przebyte jak kwadraty z czasów; co znaczy, że gdy ciało spada przez czas dwa, trzy, cztéry razy dłuższy, osiąga prędkość również dwa, trzy, cztéry większą, przebywa zaś drogę cztéry, dziewięć, szesnaście razy dłuższą. W tak wyrażonych prawach Galileusza poraz pierwszy występuje czas jako czynnik zasadniczy w mechanice i fizyce, z którym one odtąd liczyć się mają bezustannie, na którym opierać mają ocenę wszelkich swych wielkości, jakie w miarę rozwoju nauki coraz się więcéj mnożą i coraz ściślejszego nabierają znaczenia. Wszystkie bowiem objawy, których badanie stanowi przedmiot fizyki i wspartych na niéj gałęzi wiedzy przyrodniczéj, są objawami ruchu, wyjaśnienie zaś ruchu wymaga ujęcia związku między masą, drogą i czasem. Są to pojęcia zasadnicze, do których sprowadzają się wszelkie ścisłe rozważania w fizyce. Jednostki zatém, przyjęte dla oceny tych trzech wielkości, są to jednostki podstawowe, zasadnicze; z nich zaś budują się jednostki dalsze, złożone, pochodne, które nam służą do wyrażenia wszelkich innych, jakkolwiek złożonych i zawiłych wielkości. Im widoczniejszą i lepiéj rozumianą stawała się wzajemna zależność sił przyrody, tém konieczniejszą okazywała się potrzeba jednolitego układu miar, aż wreszcie, po wielu mitręgach, do ostatecznego wprowadzenia go znaglił bujny rozrost badań i zastosowań elektrycznych. W układzie tym miar, dla którego przyjęto nazwę absolutnego czyli bezwzględnego, nadaną przez Gaussa, jednostką masy jest gram, jednostką długości centymetr, jednostką czasu sekunda, a wszystkie wielkości mechaniczne i fizyczne wyrażają się i oceniają za pośrednictwem tych jednostek niezależnych. Postęp nauki znamionuje się dokładnością, z jaką wyrażać i oceniać umié rozpatrywane przez siebie wielkości: czas, wchodząc w skład pojęć i jednostek za-

sadniczych, stał się niezbędnym czynnikiem należytych określeń i ścisłych oznaczeń w nauce, a za jéj pośrednictwem i w technice.

W badaniach Galileusza nad związkiem, jaki zachodzi między drogą i prędkością ciał spadających a czasem na spadek ten łożonym, tkwi téż zaród innego jeszcze szeregu rozważań, początek głębokich pomysłów, które złożyły się w matematykę wyższą, ten najdzielniejszy środek, jakim umysł ludzki rozporządza. Pierwotne mianowicie pojęcie prędkości, jakie istniało w czasach przedgalileuszowych, jest bardzo proste, jestto bowiem droga przebyta przez ciało w ciągu pewnéj jedostki czasu. Pociąg kolei żelaznéj, który przez dziesięć minut ujeżdża 9 kilometrów, pędzi z szybkością 900 metrów na minutę albo 15 metrów na sekundę; prędkość zatém oznacza się stosunkiem drogi do czasu $v = \frac{s}{t}$. Rozumienie wszakże takie służyć może tylko, gdy pociąg zdaleka od stacyi posuwa się z chyżością jednostajną; rzecz przedstawia się trudniejszą daleko do ujęcia, jeżeli rozważamy bieg pociągu wtedy, gdy ze stacyi wyrusza lub do następnéj dobiega; wtedy bowiem sunie on coraz prędzéj lub coraz wolniéj, z szybkością zatém zmienną. Nie możemy już tedy mówić o prędkości w ciągu minuty lub sekundy, jest ona bowiem inną w każdéj, by najdrobniejszéj chwili. Należy przeto brać tu pod uwagę jedynie niesłychanie drobny przeciąg czasu, maleńki jego przyrost $\triangle t$, i podobnież niesłychanie drobną cząstkę, drobny element drogi $\triangle s$, w tym czasie przez ciało przebyty, a według określenia powyższego prędkość w tym nikłym przeciągu czasu wyrazi się stosunkiem $\frac{\triangle s}{\triangle t}$. Ale i to wyobrażenie dostateczném jeszcze nie jest, nie stanowi to bowiem jeszcze prędkości w danéj chwili, o którą tu właśnie idzie. Przyjąć tedy daléj należy, że w powyższym stosunku oba wyrazy, i element czasu i odpowiadający mu element drogi, maleją coraz bardziéj, zmniejszają się nieograniczenie, schodzą do zera; nie znaczy to wszakże, aby z zanikaniem obu tych wielkości zmierzał do zera i samże ich stosunek. Dąży on owszem do pewnéj oznaczonéj granicy, do pewnéj wartości, która właśnie stanowi prędkość w danéj chwili i którą oznaczamy przez $\frac{ds}{dt}$. Nowe to pojęcie zawiera w sobie i pierwotne określenie prędkości w ruchu jednostajnym, gdy jednak w tym ostatnim ruchu prędkość czyli wielkość $\frac{ds}{dt}$ jest zawsze stała, przedstawia ona w biegu zmiennym wartość coraz inną.

Zmiana, jakiéj prędkość ulega, stanowi jéj przyśpieszenie. Przyśpieszenie to znów może być bądź statecznie jednakie, jak to ma miejsce w biegu pociągu wyruszającego ze stacyi lub w spadku ciał zbiegających ku ziemi, bądź téż wciąż zmienne, jak przy kołysaniu się wahadła. Względnie tedy do czasu zależność między prędkością a przyśpieszeniem jest takaż sama, jak w poprzedniém rozważaniu zależność między drogą a prędkością, czyli że przyśpieszenie φ w każdéj chwili wyraża się przez podobny stosunek graniczny $\varphi = \frac{dv}{dt}$. W najprostszych słowach stosunek ten oznacza przyrost, jakiego doznaje w każdéj chwili prędkość ciała; łatwo więc pojmujemy, że jest on w biegu jednostajnym równym zeru, w jednostajnie zaś przyśpieszonym ruchu ciał spadających ma wartość zawsze stałą.

W słownictwie matematyczném graniczne te stosunki mają nazwę ustaloną; mówimy, że prędkość jest pochodną drogi, tak jak przyśpieszenie pochodną prędkości, a zatém drugą pochodną drogi. Wielkości te tak są ze sobą związane, że skoro znamy prawo, wedle którego ciało drogę swą przebywa, możemy przez „różniczkowanie“ wyprowadzić jego prędkość i przyśpieszenie w każdéj chwili, jak znów znajomość przyśpieszenia dozwoli nam przez „całkowanie“ wysnuć prędkość i drogę przebytą przez ciało w danym czasie. Rozważania te wszakże nie ograniczają się bynajmniéj do pojęć mechanicznych, ale w podobny sposób rozprzestrzeniają się do wszelkich wielkości zmiennych, które wymierzać możemy, i stanowią ogólne tło zasadnicze, na jakiém rozpościera się cała wyższa analiza matematyczna.

Dodać należy, że tak rozległe rozwinięcie, a zwłaszcza sformułowanie tych pojęć zawdzięczamy dopiero Newtonowi i Leibnizowi; nastąpiło to zatém znacznie późniéj po Galileuszu, niemniéj jednak pierwsze źródło tych odkryć tkwi już w badaniach jego nad prędkością i przyśpieszeniem ciał spadających. Nieprzerwany bowiem i jednostajny bieg czasu najłatwiéj pozwala uchwycić owe stosunki graniczne, a następnie wyobrażenia te rozciągnąć i do innych kategoryi wielkości. W nazwie fluksyi, użytéj przez Newtona dla oznaczenia owych stosunków, dla których przyjmuje się obecnie nazwę pochodnych, zdradza się wyraźnie pierwotny wywód tych pojęć z biegu, z płynięcia czasu.

W pojęciu przyśpieszenia, które Galileusz do nauki wprowadził, mieści się zarazem i dokładniejsze rozumienie siły, jako przyczyny wywołującéj ruch, a zarazem możność jéj oceny. W biegu ciał spadających, zatém w ruchu pod wpływem ziemi zachodzącym,

przyśpieszenie to wynosi dziesięć (dokładniéj 9,8) metrów na sekundę. Gdyby przyciąganie ziemi działało silniéj, ciała biegłyby prędzéj; gdyby było słabsze, ruch ten byłby wolniejszym; przyśpieszenie zatém, jakie rzeczywiście nadaje ziemia biegnącym ku niéj ciałom, stanowi istotną miarę jéj przyciągania. Taż sama uwaga tyczy się wszelkich innych sił, w ogólności zatém siły i działania ich rozumiéć, oceniać i porównywać między sobą możemy jedynie w związku z czasem, od niego bowiem zależą bezpośrednio pojęcia prędkości i przyśpieszenia.

Przytoczone tu przykłady starczą, by wskazać, jak zasadnicze znaczenie przedstawia czas w badaniu przyrody i w najdonioślejszych rozważaniach naukowych.

II.

Od tych wywodów teoretycznych zstępując do względów praktycznych, spotykamy się z kwestyą rachuby czasu. Z saméj natury rzeczy wynika, że przy pomiarach czasu mniéj, aniżeli przy mierzeniu jakichkolwiek innych wielkości, posługiwać się możemy jednostkami dowolnemi; przez następstwo bowiem dni i nocy, oraz przez kolejny przebieg pór roku, czyli przez objawy podwójnego ruchu ziemi, przyroda tak potężnie oddziaływa na wszelkie sprawy nasze, że okresy te, dobę i rok, narzuca nam jako naturalne jednostki czasu. Konieczność ustalenia dogodnéj i pewnéj rachuby czasu była już w zamierzchłéj starożytności główną podnietą do rozpatrywania zawiłych ruchów ciał niebieskich.

Pozorny obrót sklepienia niebieskiego, wschód i zachód rozrzuconych w przestrzeni brył niebieskich, jest odzwierciedleniem obrotu ziemi dokoła jéj osi. W drodze swéj od wschodu do zachodu każda gwiazda wznosi się raz na dobę najwyżéj nad poziom, przechodząc przez południk danego miejsca; dwa kolejne zatém przejścia jednéj i téjże saméj gwiazdy przez południk znaczą czas obrotu ziemi i obejmują dzień gwiazdowy czyli astronomiczny. Należałoby tu wprawdzie mówić nie o dniu ale o dobie, pożyteczny ten wszakże wyraz nie przedarł się z mowy potocznéj do naszego słownictwa naukowego, zapewne dla tego tylko, że oprócz dawnych Greków (νυχθημερόν) i dzisiejszych Holendrów (*etmaal*) nie mają inne narody zachodnie w swych językach terminu na oznaczenie dnia i nocy zarazem, ze szkodą więc dla ścisłości wyrażenia i z ujmą dla bogactwa języka przywykliśmy mówić o dniu w znaczeniu doby.

Rachuba wszakże czasu według dni gwiazdowych, wystarczająca zupełnie dla astronoma, byłaby zbyt niedogodna w życiu pra-

ktycznem, które zostaje w zależności od biegu gwiazdy dziennéj, od słońca. Słońce zaś w ciągu roku ulega (pozornemu wskutek rzeczywistego ruchu ziemi) ruchowi na wschód; przeciąg zatém czasu, jaki upływa między dwoma kolejnemi przejściami słońca przez południk, musi być nieco większy aniżeli między dwoma przejściami gwiazdy stałéj, innemi słowy — dzień słoneczny jest dłuższy od gwiazdowego. W ciągu roku słońce kończy pełną swą drogę między gwiazdami, gwiazda zatém stała w zestawieniu ze słońcem zyskuje w ciągu tego czasu jeden obieg dokoła ziemi, skąd wynika, że dzień słoneczny dłuższy jest od gwiazdowego w stosunku 366¼ do 365¼; jeżeli pewnego dnia słońce przechodzi przez południk danego miejsca wraz z pewną gwiazdą, to dnia następnego opóźnia się względem niéj o 4 minuty blisko (3 m. 57 sek.) czasu gwiazdowego.

I „prawdziwy“ wszakże czas słoneczny źleby nam służył w życiu zwyczajném, roczny bowiem ruch słońca zgoła nie jest jednostajny, a to z dwu powodów. Powód jeden stanowi eliptyczność drogi ziemskiéj, skąd prędkość kątowa ziemi, a tem samém i pozorna prędkość słońca jest zmienna: największa w grudniu, gdy ziemia najbliżéj jest słońca, najpowolniejsza w czerwcu, gdy odległość ziemi od słońca jest najznaczniejsza. Ważniejszy jeszcze jest powód drugi, polegający na tém, że słońce posuwa się nie po równiku ani po równoleżniku, ale po drodze względem równika pochylonéj, po ekliptyce.

Gdyby więc zegary nasze regulowane były według prawdziwego biegu słońca, musiałyby w pewnych porach roku biedz prędzéj, w innych wolniéj, trzebaby zatém poświęcić największą ich zaletę, to jest ich chód jednostajny. Korzystniéj wypadło tedy odstąpić od rachuby czasu według słońca prawdziwego i za podstawę jéj przyjąć pewne słońce hypotetyczne, słońce „średnie“, które obiega roczną swą drogę po równiku i zupełnie jednostajnie, już to wyprzedzając słońce rzeczywiste, już pozostając za niém w tyle. Prędkość więc, z jaką się to słońce posuwa, jest wielkością średnią ze wszystkich w ciągu roku prędkości słońca prawdziwego. Południe średnie przypada, gdy przez południk miejsca przechodzi to słońce średnie, a czas upływający między dwoma kolejnemi jego przejściami stanowi „dzień słoneczny średni“. Zegary słoneczne dają nam czas prawdziwy, ale właściwe nasze zegary wskazują czas średni, który od prawdziwego w różnych porach roku rozmaicie odstępować może, a najwięcéj o 16 minut; aby zatem z obserwacyi czasu prawdziwego przejść do średniego, należy znać przypadającą na dzień każdy poprawkę, czyli tak zwane równanie czasu, które

cztéry razy do roku, 15 kwietnia, 14 czerwca, 31 sierpnia i 24 grudnia, schodzi do zera. W tych przeto tylko czterech dniach można zegarki swe nastawiać według zegarów słonecznych, czas bowiem średni schodzi się wtedy z prawdziwym. Natomiast, 11 lutego, w chwili południa prawdziwego, zegary wskazywać winny blisko kwadrans na pierwszą (właściwie 14 min. 34 sek. po dwunastéj), a znów 2 listopada, również w chwili południa prawdziwego, niespełna jeszcze trzy kwadranse na dwunastą (właściwie brak do południa 16 m. 18 sek.) Południe zatém naszych zegarów, regulujące podział dziennych naszych zajęć, przyśpiesza się lub opóźnia w ciągu roku względem istotnego biegu słońca, co nie uchodzi pobieżnéj nawet uwadze ogółu; nie dzieli ono bowiem, jak słońce prawdziwe, na dwie równe części przeciągu czasu od wschodu do zachodu słońca, skąd mowa o wieczorach dłuższych niż ranki, i o rankach dłuższych niż wieczory.

Również naturalną jednostką czasu, jak dzień, jest i rok, to jest przeciąg czasu, jakiego potrzebuje ziemia do odbycia drogi swéj około słońca. Rzeczywisty ten ruch ziemi jest również dla nas niedostrzegalny i wybija się tylko w pozornym biegu słońca; rok przeto pojmować możemy jako przeciąg czasu, jaki łoży słońce na ukończenie pozornéj swéj drogi śród gwiazd. Gdyby gwiazdy widzialne były za dnia, jakby to miało miejsce w braku atmosfery, bieg słońca śród gwiazd moglibyśmy dostrzedz równie łatwo jak przesuwanie się księżyca, które się bezpośrednio uwadze naszéj nastręcza; skoro jednak gwiazdy gasną w blasku słońca, rozpoznanie jego drogi wymaga obserwacyi nieco baczniejszéj. W początkach wiosny tuż po zachodzie słońca, zbliża się za niém do poziomu Aldebaran, gwiazda pierwszéj wielkości z konstelacyi Byka, dająca się łatwo po czerwoném swém świetle rozpoznać; słońce więc przypada w téj epoce na niebie nieco na wschód względem Aldebarana. W ciągu następnych jednak tygodni słońce zachodzi coraz późniéj, przesuwa się zatém ku zachodowi, przystępuje coraz bliżéj do Aldebarana, aż wreszcie zachodzi z nim razem i gwiazda przestaje być dla nas widzialną. W dalszym swym biegu słońce oddala się coraz bardziéj na zachód od wspomnianéj gwiazdy, aż po kołowéj swéj drodze znów zbliży się do niéj od wschodu i znajdzie się w témże samém względem niéj położeniu, jakieśmy pierwotnie uważali. Przeciąg ten czasu właśnie, po jakim słońce wraca do téjże saméj gwiazdy stałéj, wskazuje nam czas obiegu ziemi około słońca i nazywa się „rokiem gwiazdowym“.

W drodze téj po wielkim okręgu niebieskim bawi słońce przez jedno półrocze na półkuli nieba północnéj, przez drugie na południowéj; dwukrotnie zatém w ciągu roku przekracza ono równik nie-

bieski w tak zwanych punktach równonocnych, znacząc tém chwile początku wiosny i jesieni. Przez zestawienie własnych swych obserwacyj z dostrzeżeniami dawniejszych astronomów poznał już Hipparch, największy z astronomów starożytnych, w drugim wieku przed Chr., że gwiazdy na wschód względem punktu wiosennego położone wciąż się od niego oddalają, a natomiast gwiazdy na zachód położone ku niemu się zbliżają. Wniósł tedy, że punkt równonocny wiosenny, a przeto téż i punkt równonocny jesienny, przesuwają się zwolna ku zachodowi, w ciągu stulecia o 1° przynajmniéj. Astronomowie późniejsi oznaczyli dokładnie wielkość téj „precesyi“ czyli „poprzedzania punktów równonocnych“ na 50,2″ rocznie czyli 1° na lat 70; na wytłómaczenie wszakże osobliwéj téj zmiany przyszło czekać dwa tysiące lat blisko. Newton bowiem dopiéro wykazał, że jest ona także odzwierciedleniem pewnego powolnego ruchu samėjże ziemi, wywoływanego przez przyciąganie słońca i księżyca na równikowe jéj nabrzmienie.

Precesya wiąże się oczywiście ściśle z kwestyą długości roku, skutkiem niéj bowiem obieg roczny słońca śród gwiazd nie odpowiada zupełnie ściśle powrotowi pór roku, które zależą przecież od stanowiska słońca względem ziemi, a nie od położenia jéj między gwiazdami. Początek wiosny ma miejsce dla półkuli północnéj, gdy słońce w drodze ku północy krzyżuje równik w punkcie równonocnym wiosennym; jeżeli więc, wyszedłszy z tego punktu, po okrążeniu nieba do niego wraca, napotyka go wcześniéj aniżeli gwiazdę, od któréj się przed rokiem oddaliło, punkt ten bowiem posuwa się naprzeciw słońcu o łuk wynoszący 50,2″. Różnica ta w ciągu jednego roku jest nieznaczną, na przebieżenie bowiem téj drogi słońce potrzebuje około 20 minut zaledwie, z biegiem jednak wieków różnica ta narasta i po upływie tysiącolecia wynosi już prawie dni czternaście. Od określonego wyżéj roku gwiazdowego odróżnić tedy trzeba „rok zwrotnikowy“, zatém czas, jakiego słońce potrzebuje do powrotu do tegoż samego punktu równonocnego; a że od tego roku zwrotnikowego właśnie zależy powrót pór roku, musi on być przyjęty za podstawę rachuby czasu w życiu zwyczajném; z tego więc względu należało go ocenić ze wszelką dokładnością, jaką można było osięgnąć jedynie z długoletnich dostrzeżeń. Obecnie długość roku zwrotnikowego wynosi 365,242217 średnich dni słonecznych, czyli 365 dni, 5 godzin, 48 minut, 47 sekund; mówimy — obecnie, gdyż długość roku zwrotnikowego ulega drobnéj zmianie, maleje bowiem w ciągu wieku o 0,595 sekundy. Ubytek ten nie jest wszakże stateczny, gdyż po upływie kilku stuleci przejdzie on w drobny przyrost. W ogóle chwiejność tą roku zwro-

tnikowego nie przekracza 19 sekund wyżéj lub niżéj średniéj jego wartości, która przypada na rok 2270 i wynosi 365 dni, 5 godzin, 48 minut, 45 sekund.

Pomiędzy dniem a rokiem jako trzecia naturalna jednostka czasu staje miesiąc, obejmujący w pierwotném znaczeniu czas obiegu księżyca naokoło ziemi, wraz z osobliwemi odmianami, jakie od obiegu tego zależą. Istotny czas obiegu księżyca dokoła ziemi, czyli przeciąg czasu, jakiego on potrzebuje, aby wrócił do téjże saméj gwiazdy, wynosi 27 dni 8 godzin; jeżeli wszakże w pewnéj chwili ma miejsce oznaczona odmiana księżyca, nów dajmy lub pełnia, to po upływie tych 27⅓ dnia taż sama odmiana jeszcze nie wraca; postać bowiem, w jakiéj nam się księżyc przedstawia, zależy od stanowiska jego względem słońca, a w ciągu powyższego czasu słońce także posunęło się ku wschodowi, i to o taką mianowicie drogę, że księżyc potrzebuje dwa jeszcze przeszło dni za niém pędzić, by się nam w poprzedniéj swéj fazie ukazał. Uwagę człowieka przykuwa wszakże właśnie następstwo odmian księżyca, dla tego jednostką miary czasu stać się nie mógł czas obiegu księżyca dokoła ziemi, czyli „miesiąc gwiazdowy (syderyczny)", ale „miesiąc synodyczny", tj. przeciąg czasu upływający między jednym a następnym nowiem, zatém czas, po jakim księżyc wraca do poprzedniego swego względem słońca stanowiska, co wynosi 29 dni 13 godzin. Obieg księżyca wszakże tak mało wiąże się z objawami przyrody ziemskiéj i z losami człowieka, że chyba tylko w praktykach religijnych szukać trzeba przyczyny, dla któréj u wielu narodów rachuba czasu oparła się na biegu księżyca.

III.

Gdyby rok zwrotnikowy składał się z całkowitéj liczby dni, nie byłoby kłopotu z urządzeniem kalendarza; obejmuje on wszakże niespełna 365¼ dnia, a do téj wielkości brak mu tylko 11 minut 15 sekund. Bezpośrednio tedy posługiwać nie może w stosunkach życia zwyczajnego, gdybyśmy bowiem zachowali 365¼ dnia, to rok, któryby sie rozpoczął o północy, skończyłby się o godzinie szóstéj rano, a w ciągu roku następnego początek każdego dnia liczyćby należało od godziny szóstéj, tak jak w ciągu roku dalszego od południa. Celem więc kalendarza jest pogodzenie wymagań życia praktycznego z istotną długością roku zwrotnikowego.

Jak inne zasadnicze urządzenia społeczne, tak téż i kalendarz przeszedł do nas od Rzymian, którzy go sami zawdzięczali Egiptowi. Dawni bowiem Egipcyanie posługiwali się rokiem słonecznym,

ale liczyli go okrągło po dni 365; chwila zatém równonocy wiosennéj opóźniała się corocznie o 6 godzin blisko; po upływie 120 lat różnica narastała już do 30 dni czyli do całego miesiąca, a w ciągu 1460 lat, mniéj więcéj, różne pory roku obiegłyby wszystkie miesiące. Zmienność ta przypadała do gustu pojęciom religijnym dawnych Egipcyan, po upływie bowiem przytoczonego okresu wszystkie miesiące uświęconeby były różnemi uroczystościami religijnemi, których obchód przypadał na różne pory roku; z wymaganiami jednak bardziéj uregulowanego życia dzisiejszego stosunki takie pogodzićby się nie dały.

U Rzymian w rachubie czasu panował zamęt, z którego wydobyła ją dopiéro reforma kalendarza, podjęta przez Juliusza Cezara i dotąd imieniem jego oznaczana. Reforma ta, zaprowadzona według rady astronoma aleksandryjskiego Sozygenesa, polega na wtrącaniu co cztéry lata dnia dodatkowego, przyjmuje tedy średnią długość roku po 365 $^1/_4$ dni, co prawdziwą długość roku zwrotnikowego przechodzi tylko o 11 $^1/_4$ minuty; różnica ta wydaje się drobną, ale, nagromadzając się, czyni po upływie 128 lat całą dobę, co spowodowało, że chwila równonocy wiosennéj, która za Cezara przypadała 25 marca, w r. 325 w czasie soboru nicejskiego nastąpiła już 21 marca. Sobór nicejski przyjął kalendarz juliański za podstawę do oznaczania dni świąt kościelnych, ale zachował i nadal długość roku o 365 $^1/_4$ dniach, tak, że epoka równonocy i następnie cofała się o dzień jeden co lat 128, a w końcu wieku szesnastego błąd wynosił już dni dziesięć, porównanie przeto wiosenne przypadało 11 a nie 21 marca. Nowa reforma, przeprowadzona przez papieża Grzegorza XIII w r. 1577, wytrąciła ten błąd przez zniesienie 10 dni, co do przyszłości zaś postanowiła, aby w każdym okresie 400-letnim usunąć trzy dni przybyszowe, a to według prawidła następnego: W kalendarzu juliańskim przestępny był każdy rok, oznaczony liczbą podzielną przez 4, wszystkie zatém lata wiekowe, to jest o liczbach zakończonych dwoma zerami są przestępne; w kalendarzu zaś gregoryańskim z czterech lat wiekowych, po sobie idących, jeden tylko rok jest przestępny, ten mianowicie, którego liczba po odrzuceniu dwu zer jest podzielną przez 4. Według tego rok 1600 był przestępnym, lata 1700, 1800, 1900 są zwyczajne, rok zaś 2000 będzie przestępny. Usunięcie trzech lat przestępnych z okresu 400-letniego wychodzi na zmniejszenie średniéj długości każdego roku o $^3/_{400}$, w kalendarzu zatém gregoryańskim średnia długość roku wynosi:

$365,25 - \frac{3}{400} = 365,25 - 0,0075 = 365,2425$ dni. W porówna-

niu więc z istotnym rokiem zwrotnikowym, rok gregoryański jest jeszcze zadługi, różnica wszakże wynosi zaledwie 0,000283 dnia, ilość tak drobną, że doba cała uzbiérać się z niéj może dopiéro po upływie kilku tysiącoleci. Pomimo to, obliczano i radzono, jakby i tę nieznaczną niedokładność usunąć; wszelkie jednak środki, któreby osiągały większą ścisłość kosztem dogodności i wytworności reguły gregoryańskiéj, sprowadzałyby niepotrzebne zagmatwanie. Rachunki Heisa wskazują, że przy zachowaniu téj reguły, dla utrzymania zgody między kalendarzem a istotną długością roku dosyć będzie wyrzucać jeden dzień przybyszowy co lat 3200, licząc od r. 3200. W ten sposób lata 3200 i 6400, które według przepisów reformy gregoryańskiéj byłyby przestępnemi, w projekcie Heisa są latami zwyczajnemi.

Rzecz wszakże godna uwagi, że Persowie, którzy się również rokiem słonecznym posługują, posiadają kalendarz, bliżéj przystępujący do rzetelnéj wartości roku zwrotnikowego, aniżeli gregoryański. Kalendarz, o którym mowa, oddawna już w Persyi używany, polega na okresie 33-letnim, w którym pierwszych lat 28 liczy się jak w kalendarzu juliańskim, to jest o każdym czwartym roku przestępnym, z pozostałych zaś pięciu lat cztery są zwyczajne, a dopiéro piąty przestępny. Średnia długość roku wynosi tu dni 365,2424, co odstępstwo jednéj doby sprowadza dopiéro po 4800 latach; mniejsza jednak prostota reguły pożyteczność jéj osłabia.

W dziejach kalendarza ważną rolę odegrywa i rok księżycowy, to jest rok złożony z dwunastu miesięcy księżycowych. Gdyby miesiąc księżycowy liczył okrągło dni 30 a rok słoneczny dni 360, zastosowanie obu tych jednostek do miary czasu nie przedstawiałoby żadnéj zgoła trudności. Skoro wszakże, jak widzieliśmy, miesiąc synodyczny nie dochodzi o kilka godzin do pełnéj liczby dni 30, a rok obejmuje blisko $12\frac{1}{2}$ takich miesięcy, przeto usiłowanie pogodzenia obu tych okresów prowadzi do mozolnych zawikłań, których ślady dostrzegamy i w niejednakiéj długości miesięcy naszego kalendarza.

Miesiąc księżycowy, czyli przeciąg czasu między dwoma nowiami, wynosi prawie $29\frac{1}{2}$ dni, przy posługiwaniu się przeto takiemi miesiącami liczono je naprzemian po 29 i po 30 dni. Okres wszakże $29\frac{1}{2}$ dni jest w rzeczywistości o $\frac{3}{4}$ godziny za krótki, w ciągu zatém trzech lat omyłka czyniłaby już pełną dobę, co wymagałoby dodatku dnia do któregokolwiek miesiąca. Nadto rok z dwunastu miesięcy księżycowych złożony obejmowałby tylko 354 dni i byłby względem roku słonecznego o 11 dni zakrótki. Pomimo tak ude-

rzającéj niedogodności był rok księżycowy w użyciu u różnych narodów starożytnych, nawet u Greków a pierwotnie i u Rzymian; pewne zaś praktyki religijne, z odmianami księżyca związane, zapewniają mu dotąd poważanie u narodów wschodnich. Kalendarz mianowicie turecki opiéra się na czystym, bez żadnych poprawek, roku księżycowym, każdy zatém dzień nowego roku według tego kalendarza wyprzedza o 11 dni bieg słońca, a różne miesiące i różne święta w krótkim stosunkowo przeciągu czasu obiegają wszystkie pory,—święto obchodzone w lecie po niewielu już latach przypada w zimie.

Zamęt w liczeniu lat u Greków został w części usunięty przez wprowadzenie okresu czyli cyklu, wykrytego przez Metona w piątym wieku przed Chr. Cykl Metona polega na tém zestawieniu, że w ciągu 19 lat słonecznych księżyc ulega 235 pełnym swym przeobrażeniom, mianowicie bowiem:

235 lunacyj czynią	6939 dni	16 g.	31 m.
19 lat zwrotnikowych	6939 „	14 „	27 „
19 lat juliańskich	6939 „	18 „	0 „

Na 19 zatém lat słonecznych przypada 235 miesięcy księżycowych, to jest o siedm po nad liczbę $228=12\times19$; jeżeli się zatém między 19 lat rozrzuci siedm dodatkowych miesięcy, to można w okresie tym przeciętną długość roku doprowadzić do dostatecznéj ze słońcem zgody. Liczby porządkowe każdego roku cyklu Metona, od 1 do 19, oznaczane były złotemi głoskami na pomnikach, skąd poszła nazwa liczby złotéj, dotychczas w kalendarzu kościelnym używana, a służąca do wynajdywania daty niedzieli wielkanocnéj, która właśnie od biegu księżyca zawisła.

Kalendarz religijny żydów dotąd opiéra się na cyklu Metona, w okresie zatém 19 letnim przypada 12 lat zwyczajnych o 12 miesiącach i 7 lat przestępnych o 13 miesiącach; rok zwyczajny średni ma dni 354, rok przestępny średni dni 384, są wszakże i lata, mające mniéj lub więcéj o jeden dzień, skąd kalendarz żydowski ma lata sześciorakie, o 353, 354, 355 oraz o 383, 384 i 385 dniach. Przeciętna długość roku w kalendarzu tym wynosi 365,242682 dni, przystępuje przeto do prawdziwéj wartości roku zwrotnikowego bliżéj nawet nieco, aniżeli w kalendarzu juliańskim; zbytnia wszakże zawiłość i znaczna niejednostajność długości roku odejmuje rachubie téj czasu cechę praktyczności.

Pod względem zatém dokładności, z jaką zbliżają się do prawdziwéj wartości roku zwrotnikowego, różne kalendarze idą w porządku następnym:

Rok zwrotnikowy	365,242217	dni słon. średnich
„ perski . . .	365,242424	„
„ gregoryański	365,2425	„
„ żydowski . .	365,24682	„
„ juliański . .	365,25	„

We wszystkich więc tych kalendarzach średnia wartość roku jest nieco zadługa; widzieliśmy jednak, że w kalendarzu gregoryańskim potrzeba wytrącenia jednego dnia nastąpi dopiéro po kilkunastu stuleciach, a dzisiejsze pokolenie sprawą tą kłopotać się nie potrzebuje zapewne. Nasuwa się wszakże inne pytanie, czy nie znalazłoby się tu miejsca dla drobnych ale użytecznych poprawek, któreby mogły większą jeszcze stateczność i dogodność zapewnić kalendarzowi i przystosować go lepiéj do wymagań życia praktycznego.

Wzgląd ten zachęcił zawiązane przed kilku laty w Paryżu towarzystwo astronomiczne do ogłoszenia konkursu na najlepszy projekt reformy kalendarza. Podnietę do takiego wystąpienia dało zapewne nowemu towarzystwu astronomicznemu wspomnienie pierwszéj republiki francuskiéj, która, zerwawszy węzły z tradycyą chrześciańską, ustanowiła odbrębny zupełnie dla siebie kalendarz, o miesiącach 30-dniowych i o pięciu dniach dopełniających, przeznaczonych na obchód święta republikańskiego, oraz o dekadach w miejsce tygodni. Mniéj radykalna rzeczpospolita dzisiejsza okazała się bardziéj umiarkowaną i w propozycyach co do reformy kalendarza. Przeciw dzisiejszemu kalendarzowi podniesiono różne zarzuty; wiele z nich uważać można wprawdzie za niedorzeczne, niektóre jednak wydają się uzasadnione, tyczy się to mianowicie uwagi, którą jeden z autorów streszcza w ten sposób: przy kalendarzu obecnym lata następują po sobie, ale nie są do siebie podobne. Znaczy to, innemi słowy, że nie ma statecznego związku między dniami tygodnia a datami roku, i trzeba się odwoływać do rachunków dość zmudnych, gdy chcemy wiedzieć, na jaki dzień tygodnia przypada oznaczona data roku; toż samo powiedzieć można o braku zgodności między dniami tygodnia a datami miesiąca. Zajęcia nasze ustanawiają się według dwu zasad, według dat i według dni tygodnia, pomiędzy któremi żadna nie zachodzi zależność; staje się to źródłem wielu niedogodności i częstych pomyłek. Umowy, zawarte na pewną datę, przypadać mogą na niedzielę lub inny jaki dzień niedogodny, co sprowadza zawikłanie i stratę czasu; przy rozkładzie wielu zajęć należy z góry poszukiwać, na jaki dzień tygodnia oznaczona data przypada. Przepisy administracyjne, rozkład dni targowych, rozporządzenia szkolne, zgromadzenia stowa-

rzyszeń w oznaczonych terminach i mnóstwo tym podobnych okoliczności, wszystko to ulega nieraz zakłóceniom dla téj niezależności dat od dni tygodnia. Krótko mówiąc, niedogodność polega na tém, że każdy rok wymaga innego kalendarza.

Według tych uwag naprawa obecnego kalendarza polegać ma na tém, aby długość różnych miesięcy była, o ile można, wyrównaną, zwłaszcza zaś, aby też same daty roku przypadały na też same dnie tygodnia, aby zatém lata po sobie idące były do siebie podobne. Osiągnięcie tego celu wymaga oczywiście pewnych odstępstw od dotychczasowych urządzeń kalendarzowych, z któremi związani jesteśmy długowiecznėm nawyknieniem; należy więc baczyć, aby odstępstwa te jak najmniéj były rażące a nowy kalendarz jak najmniéj różnił się od dawnego. Z kilkudziesięciu nadesłanych prac zadanie to najlepiéj rozwiązał projekt p. Gastona Armelin, który uzyskał pierwszą na konkursie nagrodę.

Naczelna zasada projektu tego polega na wyłączeniu jednego dnia roku z miesięcy i tygodni, rok bowiem, obejmując 365 dni, składa się z 52 tygodni i jednego dnia. Mielibyśmy zatém każdego roku jeden dzień nadliczbowy czyli uzupełniający, stojący zewnątrz tygodni i miesięcy; byłby to dzień „nowego roku", nienoszący żadnéj innéj nazwy ani żadnéj daty. W roku przestępnym ten „nowy rok" musiałby się składać z dwu dni, co cztery zatém lata święto to obchodzonoby było przez dwa dni.

Po usunięciu tego jednego dnia rok, według projektu p. Armelin, dzieli się na cztery równe kwartały, obejmujące po 91 dni; z trzech miesięcy, składających każdy kwartał, pierwszy posiada 31, dwa pozostałe po 30 dni,—każdy przeto kwartał zawiera dokładnie po 13 tygodni. Wypływa ztąd, że też same dnie tygodnia przypadają na też same daty nietylko każdego roku, ale nadto każdego kwartału; uproszczenie to, przy oswojeniu się z nowym kalendarzem przez ciągłe go użycie, pozwoliłoby łatwo zachować w pamięci rozdział 91 dni w ciągu trzech miesięcy, w każdym bowiem kwartale odpowiadające sobie miesiące przedstawiają zupełną zgodność dat i dni tygodnia. Dwanaście takich miesięcy obejmują 364 dni, a dzień pozostały mieści się na początku roku i nie włącza do żadnego tygodnia ani do żadnego miesiąca. Styczeń rozpoczyna się od poniedziałku, który jest drugim dniem roku; kwiecień, lipiec i październik rozpoczynają się również od poniedziałku i, podobnie jak styczeń, liczą po 31 dni; luty, maj, sierpień i październik zaczynają się od czwartku i zawierają po dni 30; pozostałe wreszcie cztery miesiące, również 30-dniowe, zaczynają się od soboty.

Można do rzeczy téj wielkiéj wagi nie przywiązywać, pewnéj użyteczności wszakże wprowadzeniu stałego i prawdziwie wieczystego kalendarza odmawiać nie należy. Inicyatorowie mieli zamiar poddania téj kwestyi pod rozwagę kongresu, któryby się zebrał w czasie tegoroczněj wystawy powszechnéj, prawdopodobnie jednak nie znaleźliby chętnych uczestników.

IV.

Przy obrocie swym dziennym ziemia kolejno różne swe strony ku słońcu zwraca, miejsca zatém daléj ku wschodowi położone wcześniéj wschód gwiazdy dziennéj witają aniżeli okolice bardziéj zachodnie. Dla miejscowości na jednym i tym samym południku położonych chwila południa przypada współcześnie, punkty natomiast wzdłuż równoleżnika rozrzucone mają godziny różne. Ponieważ w pozornym tym swoim ruchu słońce w ciągu doby cały okrąg o 360° obiega, co czyni 15° na godzinę, miejsca przeto różniące się o 15° w długości geograficznéj mają czas o godzinę różny; gdy w Warszawie południe, w okolicach Moskwy już godzina pierwsza, na zachodniéj granicy Francyi dopiero jedenasta.

Prosta ta więc zależność pozwala z różnicy czasów oznaczyć różnicę długości geograficzéj. Z biegu słońca lub gwiazd poznaje żeglarz godzinę miejsca, gdzie się w danéj chwili znajduje, a porównywając ją z godziną wskazaną przez zegar, który nastawił wedle czasu stolicy swojego kraju, lub portu, z którego wypłynął, wié bezpośrednio, na ile stopni oddalił się ku wschodowi lub zachodowi, gdy znów z obserwacyi gwiazdy biegunowéj lub z położenia innych brył niebieskich poznaje szerokość geograficzną, pod jaką się znajduje. Z szerokością tylko geograficzną rzecz o tyle prostsza, że gdy równik, do którego ją odnosimy, jest jeden tylko i jakby przez przyrodę samą wskazany, południk każdy rościć sobie może jednakie do pierwszeństwa prawo, buta zaś narodowa nakazuje każdemu państwu posiadać własny swój pierwszy, narodowy południk, co daje powód do narad, kongresów i niezałatwionych dotąd sporów. Szczęściem nie jest to najcięższy szkopuł w waśniach międzynarodowych, a rozmaitość południków nie powoduje kłopotów zbyt wielkich; gorzéj, że dokładne oznaczenie długości geograficznéj połączone jest z trudnościami znacznie większemi, aniżeli dochodzenie szerokości.

Jak dotąd na morzu, tak dawniéj i na lądzie do oznaczania długości geograficznéj posługiwano się głównie przewożeniem zegarów; obecnie z dzielną pomocą przybył telegraf, który z mniej-

szym zachodem w każdéj chwili donieść nam może godzinę oddalonego miejsca. Służyć też mogą i sygnały niebieskie, czyli zjawiska astronomiczne, które dla różnych punktów ziemi zachodzą współcześnie. Zjawiskiem takiém jest przedewszystkiém zaćmienie księżyca; gdy więc, dajmy, początek pewnego zaćmienia księżyca obserwowano w Warszawie o 12 god. 21 min. 21 sek., w Paryżu zaś o 11 god. 6 min. 33 sek., to różnica obu tych miejsc w czasie wynosi 1 god. 14 min. 48 sek., zatém w długości geograficznéj 18°42'. Przy pomocy tablic astronomicznych można też różnicę czasów dwu miejsc wyprowadzić i z obserwacyi biegu księżyca i z innych jeszcze objawów niebieskich, a chociaż wszystko to są rzeczy w zasadzie proste, nastręczają, jak nadmieniliśmy, znaczne trudności, skoro idzie o dokładność, jakiéj się nauka dzisiejsza domaga. To wszystko zaś wskazuje, jak z tego względu doniosłéj wagi czynnikiem jest czas dla astronoma, geografa i żeglarza, jak troskliwie i bezustannie z nim się liczyć muszą; w zakresie zaś tym astronomia, tak daleka w ogólnym swym charakterze od spraw ziemskich, nabiéra charakteru nauki stosowanéj i nagina się do celów praktycznych.

Rozmaitość ta czasu na różnych południkach tłómaczy daléj osobliwy paradoks, który występuje przy podróżach dokoła ziemi. Jeżeli mianowicie udajemy się na zachód, napotykamy miejsca mające czas coraz wcześniejszy; zegar nasz zatém pośpieszy już o godzinę całą, gdy oddalimy się o piętnaście stopni, czyli na każdy stopień o cztéry minuty. Skoro do Nowego Yorku przybędziemy z chronometrem londyńskim, to wskazywać on będzie południe, gdy w mieście tém jest dopiéro godzina 7 rano, a jeżeli daléj znajdziemy się w San-Francisco, napotkamy tam godzinę 4 rano, gdy znów chronometr nasz wskazuje południe. Gdybyśmy więc, jak to czynili pierwsi żeglarze dokoła świata, nastawiali swój zegar według miejsca, do którego przybywamy, to w miarę posuwania się ku zachodowi coraz więcéj pozostawalibyśmy w tyle co do czasu, a przy całkowitém okrążeniu ziemi odstalibyśmy o całą dobę, przy powrocie do własnego kraju znaleźlibyśmy tam datę o cały dzień późniejszą, tak że pozornie utracilibyśmy dzień jeden; oczywiście—pozornie tylko, gdyż każdy dzień przebyty w podróży był dłuższy od dnia istotnego i to o tyle razy po cztery minuty, ileśmy stopni ku zachodowi przebyli, a zatém wszystkie dnie razem były o jednę dobę dłuższe, przeżyliśmy czas jednaki, utraciliśmy tylko jeden zachód słońca. Przeciwnie, jeżeli się posuwamy ku wschodowi naprzeciw słońca, każdy dzień staje się krótszym o tylokrotnie powtórzone cztery minuty, ileśmy w nim stopni przebyli, przy całkowitém przeto okrążeniu ziemi zyskujemy jeden zachód słońca, czyli przybywa nam

dzień. Verne, umiejący korzystać z takich drobiazgów naukowych, wyzyskuje szczęśliwie tę zasadę w swojéj „podróży dokoła ziemi w ciągu ośmdziesięciu dni“.

Cesarstwo Rosyjskie i Azya wyprzedzają nas w czasie, Europa zachodnia, ocean Atlantycki, Ameryka zostają za nami w tyle; na oceanie Wielkim zatém istnieje granica oddzielająca miejsca, gdzie przeskakuje data i dzień tygodnia; dwie przeto miejscowości sąsiednie, mające prawie jednaką godzinę, różnią się tam w swéj rachubie czasu o jeden dzień tygodnia i o jeden dzień w dacie. Data i dzień tygodnia stron tamecznych zależą mianowicie od tego, czy kultura europejska doprowadzoną została od wschodu czy od zachodu; tak np. Portugalczycy i Holendrzy w swych odkryciach przepływali około przylądka Dobréj Nadziei, gdy Hiszpanie obrali drogę przeciwną, około Ameryki południowéj. Ztąd wypada, że wyspy zajęte przez Hiszpanów pozostają pod względem rachuby czasu o jeden dzień w tyle względem posiadłości Portugalczyków i Holendrów. Portugalska miejscowość Macao na wybrzeżu chińskiém liczy o jeden dzień więcéj niż wyspa Luzon, położona na wschód o pół godziny tylko różnicy co do długości. O tém przekonał się w swym czasie z wielkiém zdumieniem ojciec Alfons Sanctius, który się z Manilli udał na Luzon do Macao, gdzie według swego mniemania przybył jeszcze w dzień św. Atanazego 2 maja, przy wylądowaniu zaś poznał, że Portugalczycy obchodzili już dzień Znalezienia ś. Krzyża 3 maja. Linia graniczna, oddzielająca miejsca, posiadające różne daty i różne dni tygodnia, ma przebieg nieregularny. Poczynając od bieguna południowego, sunie na brzegu wschodnim Nowéj Zelandyi, Hebryd, Nowéj Gwinei, pozostawia Filipiny na wschód, Celebes, Borneo, Formozę i wyspy Japońskie na zachód i przez cieśninę Beringa dochodzi do bieguna północnego. Jeżeli na wschód téj linii obchodzą niedzielę, to na zachód jéj przypada już poniedziałek.

Rozmaitość czasów w różnych punktach ziemi stała się też źródłem pewnego zamętu na drogach żelaznych, których krańcowe i pośrednie nawet stacye mają często godziny dosyć różne, co zmusza podróżnych do baczenia na różnicę czasu miejscowego i czasu używanego na stacyi, a przy ożywionéj komunikacyi kolejowéj oddziaływa i na inne stosunki życia zwyczajnego. Dla tego też w wielu krajach zaprowadzono jeden lub kilka czasów normalnych, bądź tylko dla potrzeb dróg żelaznych, bądź dla wszystkich spraw życia zwyczajnego. Takie zupełne ujednostajnienie czasu napotykamy mianowicie w Wielkiéj Brytanii, gdzie od r. 1848 na całéj wyspie uznawaną jest jedynie godzina obserwatoryum w Greenwich; za przykła-

dem Anglii poszła Szwecya i Japonia, a we Włoszech także niektóre większe miasta przyjęły godzinę rzymską. We Francyi godzina południka paryskiego ma zastosowanie jedynie przy rozkładzie pociągów dróg żelaznych, w innych zaś stosunkach każda okolica posługuje się swoją godziną miejscową. Koleje austro-węgierskie posiadają dwie godziny zasadnicze,—dla krajów zachodnich czas praski i dla krajów wschodnich czas peszteński; godzina wiedeńska nie ma zastosowania. W Rosyi drogi żelazne posługują się kilku godzinami lokalnemi; z powodu rozległości państwa zaprowadzenie czasu jednolitego byłoby niemożliwém. Jedynie tylko Niemcy północne zachowały dotąd system godzin lokalnych; czas wskazany w rozkładach jazdy pociągów jestto zawsze czas odpowiadający danéj stacyi, bez żadnego zestawienia z jakimkolwiek czasem normalnym; w taki sposób na pociągach, biegnących zwłaszcza w kierunku równoleżników, podróżni zmuszeni są do ciągłego nastawiania swych zegarków, aby utrzymać ich zgodność z rozkładem jazdy.

Najsilniéj wszakże konieczność uregulowania godzin uczuć się dała w Stanach Zjednoczonych, zarówno dla znacznéj rozległości terytoryum, obejmującego 60° w długości czyli cztery godziny w czasie, jak i dla potężnego rozgałęzienia sieci dróg żelaznych. Na podstawie układu, zawartego przez wszystkie zarządy dróg żelaznych, od r. 1885 jest w użyciu tylko pięć różnych godzin normalnych, które odpowiadają tyluż południkom, zostającym w prostéj łączności z południkiem Greenwich. Normalne te czasy oznaczone są nawet odrębnemi nazwami: *Intercolonial time*, odpowiadający długości zachodniéj 60° względem Greenwich, *Estern time* 75°, *Central time* 90°, *Mountain time* 105°, *Pacific time* 120°; czasy te zatém opóźniają się względem Greenwich o 4, 5, 6, 7 i 8 godzin. Granice obszarów, w których różne te godziny znajdują zastosowanie, nie biegną dokładnie według południków, ale zależą od granic administracyjnych różnych stanów oraz od stosunków lokalnych.

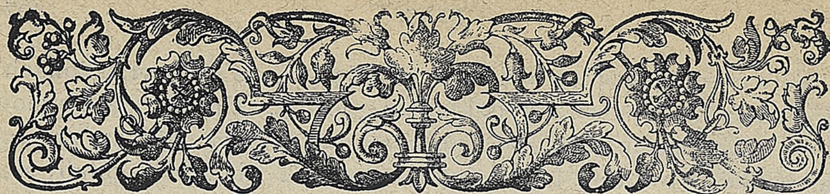
Myślano i o pewném unormowaniu czasu na całéj ziemi; proponowano nawet, aby dla całéj ziemi przyjęto jeden czas wspólny, według południka idącego przez Greenwich; dziwaczność takiego projektu już ztąd się okazuje, że połowa ziemi zmieniaćby musiała datę w ciągu dnia, a nie w nocy. Nawet i w państwach posiadających znaczną rozległość jedna godzina wspólna dla całego terytoryum byłaby niemożliwa. Najłatwiéj jeszcze dałby się zastosować przytoczony tu system amerykański, rozprzestrzeniony na całą ziemię; powierzchnię jéj podzielonoby na 24 pasy czyli wrzeciona, ograniczone południkami i obejmujące po 15° długości, z których każde miałoby

właściwy sobie czas, a w dwu sąsiadujących ze sobą wrzecionach różnica czasu wynosiłaby dokładnie godzinę. Granice pasów mogłyby odstępować nieco od południków, stosując się do granic państw lub prowincyi; i taka jednak zmiana nie łatwo dałaby się zaprowadzić, należałoby bowiem wszędzie wyrzec się godziny lokalnéj lub przyjętego już czasu normalnego.

Zabiegliwa ta skrzętność koło dokładnego unormowania rozkładu czasu jest jedną z najbardziéj charakterystycznych cech życia nowożytnego; wiąże się ona bezpośrednio z udoskonaleniem i rozpowszechnieniem przyrządów, do mierzenia czasu służących. Do ich tedy historyi zwrócić się nam teraz wypada.

(*D. n.*) *Stanisław Kramsztyk.*





DUCH ANGIELSKI.

(PRÓBA CHARAKTERYSTYKI PSYCHOLOGICZNÉJ).

V.

Postępując daléj w szeregu spostrzeżeń psychologicznych, trzeba téż powiedzieć coś o rodzaju angielskiéj moralności. Jest ona bezwarunkowo tą stroną życiową, któréj należyte wyświetlenie najlepiéj uwydatnić może kontrast między gruntem natury angielskiéj i francuskiéj. Jeżeli w dotychczasowém zestawieniu dwóch tych charakterów mogło się czytelnikowi zdawać, że pierwszeństwo oddawane było Francuzom, wynika to z téj przyczyny, że uczucia nasze bardziéj skłaniają się ku stronie tego narodu, aniżeli ku Anglikom, z ducha nieporównanie więcéj dla nas obcym.

Jeżeli jednak każdemu wolno otwarcie sympatye swoje wyznawać, bynajmniéj nie upoważnia to do kierowania się niemi przy wydawaniu bezstronnego sądu. Gdy więc teraz przyjdzie mi wyrzec słów parę o moralnéj wartości Anglików, postaram się w tym względzie złożyć im szczery hołd głębokiego uznania, na jaki niezaprzeczenie zasługują.

Dla wyprowadzenia na jaw subtelnych różnic zacznijmy od ogólnego podziału całéj téj kategoryi ludzi, którzy pragną postępować podług praw moralnych, słuszności i obowiązku.

Sądzę, iż najprościéj dadzą się oni podzielić na dwie odrębne klasy: 1) ludzi moralnych z przekonania i 2) z zasady.

Jedni dla tego zachowują prawa uczciwości ponieważ są zdania, że pewne względy konieczne zmuszają nas do tego. Wyłamywanie się z pod tych reguł prowadzi za sobą tak smutne następstwa, iż lepiéj jest poddać się im od razu, aniżeli się narażać na cierpienia o wiele gorsze od samego przymusu. Ci więc na podstawie wyrobionego przekonania powiadają:

„Trzeba być moralnym“.

Dla innych wyższą pobudką nad wszystkie wyrozumowane teorye, są własne ich szlachetne popędy i wrodzony wstręt do wszystkiego, co nizkie, nieprawe i niesłuszne. Wtedy moralność staje się zadośćuczynieniem leżącemu we krwi zamiłowaniu do dobrego i ci, co je posiadają, słuchając głosu natury, mówią:

„Błogo jest być moralnym“.

Oto dwa ogólne typy. Do każdego z nich jednak mogą być jeszcze przywiązane rozmaite właściwości, zależne od indywidualnych rysów człowieka lub narodu.

I w Anglii i we Francyi istnieją ludzie moralni z przekonania, tylko że wątek, z którego dane poglądy tu i tam zostały wysnute, będzie różny w większości przykładów, i że pojęcia o moralności nawet w zasadzie nie będą z sobą zgodne.

We Francyi więcéj, niż w Anglii, znajdziemy ludzi, którzy w dążeniu do ukształtowania przekonań wybiorą drogę filozofowania, lub fanatyzmu religijnego; więcéj téż znajdzie się uznających istnienie moralności absolutnéj, tj. takich, którzy widzą w niéj prawo, podyktowane z góry, wyższe nad wszystkie ludzkie cele i nad wszelki dobrobyt. Jest to wyraz wszechmocnéj woli Boga, który rządzi światem i kieruje nim podług własnego upodobania. Wymagania głosu z góry—muszą być zaspokojone, choćby kosztem całego szczęścia doczesnego: *pereat mundus, fiat justitia.*

W razie zaś gdy Francuz pozbawiony religii, pomimo to postępuje moralnie z przekonania, czyni tak prawdopodobnie dla tego, że uważa opinią publiczną za siłę, z którą koniecznie rachować się potrzeba. Pomyślny jéj głos jest podług niego warunkiem szczęścia. Ażeby nań zasłużyć, niedość jest być bez zarzutu wobec ludzi, lecz wtedy nawet należy powstrzymać się od czynu niemoralnego, gdy napewno wiemy, że wieczną pozostanie tajemnicą; jeśli bowiem jedna główna zasada postępowania nie będzie przeważała w życiu, to przy największych nawet staraniach nieubłagany porządek rzeczy doprowadzi w końcu do jawnego rozdźwięku i piękny gmach, jakiśmy z mozołem wznieśli, rozpadnie się w gruzy.

Tak więc na główny pierwszy temat: „Trzeba być moralnym“ dwa waryanty w duchu francuskim będą brzmiały następująco:

1) „Trzeba postępować podług zasad religii, ażeby podobać się Bogu, który jest nieograniczonym panem naszego istnienia;“ lub téż

2) „Trzeba stosować się do ogólnie uznanych przepisów moralności, ażeby podobać się ludziom, których uznanie jest źródłem naszego

wewnętrznego zadowolenia i podstawą szczęścia".

U Anglika bojaźń kary boskiéj lub dbałość niezmierna o sąd opinii rzadziéj będą głównemi podstawami wyrozumowanéj uczciwości. Pobudki te istniéć mogą, lecz nie na pierwszym planie. W krainie Albionu, jak to późniéj zobaczymy, ascetów prawie wcale nie ma, a stosowanie się do przyjętych zwyczajów więcéj wypływa z wrodzonego umiłowania tradycyi i poszanowania prawa, aniżeli ze skłonności do służalczego ubiegania się o łaskawe względy opinii.

Wtém państwie swobody ludzie mniéj o tém myślą, jak omijać przeszkody, więcéj zaś—jak je zwalczać, nie tyle kłopocą się o zdanie innych, ile pracują nad tém, ażeby własne ich przekonania odniosły zwycięstwo, wszyscy zaś głównie dążą do rezultatów praktycznych i namacalnych, i w tym kierunku wybierają sobie cel, który jasno widzą przed sobą.

Absolutne idee zamieniają się tu w zwyczajne metody, które o tyle mają znaczenia, o ile ułatwiają walkę z przeciwnościami, publiczne zaś wyznawanie pewnych zasad nie czyni się w celu zbierania pochwał, lecz dla uzyskania u ogółu zaufania, bez którego trudno sobie w życiu poradzić.

Analogicznie z dwoma wyżéj przedstawionemi typami francuskiéj moralności wyrozumowanéj, można i dla jéj angielskiego sposobu pojmowania odpowiednią przeprowadzić charakterystykę.

Ludzie o głębszym umyśle rozumieją, że dobrobyt jednostki ściśle zależny jest od dobrobytu społeczeństwa i że na téj podstawie w interesie każdego leży dążenie do urzeczywistnienia ogólnie społecznych celów, ażeby następnie módz samemu stąd czerpać korzyści.

Z drugiéj strony zmysł praktyczny i doświadczenie historyczne uczy wielu, że społeczeństwo nie może się cieszyć spokojem, rozwojem przemysłu, nauk i sztuk pięknych, bogactwem materyalném i powszechną zgodą, że jedném słowém nie może kwitnąć szczęściem jednostek, jeżeli nie opiéra swego porządku na zasadach moralności.

Stąd téż ci, którzy pragną działalnością swoją przyczynić się do pomyślności współziomków, uznają konieczność zachowywania przepisów etycznych, za jedną z najważniejszych podstaw zdrowéj praktyki życiowéj. Jak organizm ludzki nie może bezkarnie przekraczać granic zakreślonych hygieną, tak społeczeństwo musi we własnych widokach dobrobytu i trwałości pielęgnować w swém łonie zasady moralne.

Inni znowu, nie umiejący patrzéć tak daleko i żyjący w ciaśniejszym obrębie pojęć, sprowadzają zadanie swego życia do celów wyłącznie osobistych i prywatnych i na odpowiednią téż skalę wyrabiają swe przekonania słuszności i obowiązku. Podług nich życie jest walką o byt, który z dnia na dzień zabezpieczać trzeba umiejętném postępowaniem lub téż, powiedzmy poprostu, jak większość angielskiego mieszczaństwa—zręczném prowadzeniem interesów. Życie jest jednéın wielkiém *bizness*, a w niém najmądrzejszym z przedsiębiorców jest ten, który zbyt wiele nie ryzykuje i zarazem potrafi wyrobić sobie to zaufanie u ogółu, jakie nieodzowną jest podstawą kredytu i wszelkiego solidnego interesu.

Jeżeli powszechnie uznano, że firma jest bardzo „*respectable*“ to już w tém leży wielka rękojmia trwałego jéj powodzenia. W tak pomyślnych warunkach postawić się można tylko, postępując zawsze moralnie i uczciwie, nie ryzykując nigdy swéj reputacyi podstępną grą, na któréj w końcu świat poznać się musi.

Wiemy już jak modyfikuje Francuz na swój sposób narodowy główną zasadę moralności z przekonania. Co do Anglika, szersze rozprowadzenie téj myśli pierwiastkowéj, że moralnym być trzeba „z konieczności“, będzie więc prawdopodobnie brzmiało następująco:

1) „Trzeba być moralnym, ażeby tym sposobem przyczynić się do dobrobytu społecznego, od którego zależne jest własne nasze szczęście“; lub téż

2) „Nie trzeba schodzić z drogi moralności, która jest najmniéj ryzykownym i najpraktyczniejszym sposobem życia“.

Takie mniéj więcéj będzie można znaleźć różnice, jeżeli dla uwydatnienia właściwości narodowych porównamy typy Anglika i Francuza, wyznających moralność z przekonania. Tam gdzie będzie ona opiérała się na wrodzonych popędach, samo źródło, z którego te ostatnie wypływają, przedstawia może jeszcze dogodniejszą sposobność do zaakcentowania rysów niezmiernie subtelnych i do przeniknienia po części samego gruntu charakterów.

W tém miejscu czytelnik zechce przypomniéć sobie, co powiada Arnold o różnicach między duchem greckim a żydowskim. Pierwszy z nich, do którego francuski najwięcéj ma być zbliżony, dąży między innemi przeważnie do piękna, do zadowolnienia swych wymagań estetycznych, a obowiązek, słuszność i użyteczność realną, które Anglicy na pierwszym planie stawiają, są u Francu-

zów pojęciami drugorzędnemi i nie bywają bezpośrednio odczuwane.

Jestto spostrzeżenie, przedstawiające niezmierną trafność psychologiczną, a główna jego myśl wybornie daje się zastosować do ogólnych uwag nad moralnością francuską i angielską.

Francuz przedewszystkiém lubi tworzyć idee, które pociągają go swoim urokiem wzniosłości. Szczęśliwy i dumny jest z tego, że im hołdować może i przeświadczenie o własném bohaterstwie jest głównym bodźcem jego szlachetnego postępowania. Dla tego téż każda idea tyle jest dla niego warta, o ile zdoła go zachwycić i egzaltacyą w grę wprowadzić.

Dla człowieka téj natury, niedostateczna jest świadomość, że pewna zasada przynosi pożytek wysoce umoralniający. Aby stać się jéj rzecznikiem, musi on jeszcze odnaleźć w niéj pewien urok, który by wzniecił jego namiętność duchową i obiecywał możność wzbudzania w drugich takiegoż, jak i w nim samym, zachwytu.

Najsłuszniejsza zasada, ale odarta ze strony estetycznéj i popisowéj (choćby wobec siebie samego) i nie czyniąca imponującego wrażenia wielkości, traci siłę i blednieje w oczach Francuza, a najprawdziwsza moralność, lecz objawiająca się w formie suchéj, jednostajnéj i surowéj—odstręcza i nie zyskuje należytego uznania.

Le beau et le grand oto dwa najwyższe szczyty—z nich tylko spływa światło jedyne i tylko to godne uwagi, co blaskiem jego otoczone.

Sąd Francuza kieruje się przedewszystkiém podług tego, o ile dana rzecz jest piękna, lub zajmująca. Umiéć przemówić do jego smaku estetycznego i poglądów filozoficznych świetnością porównania, lub bystrością spostrzegawczą—znaczy trafić w najsłabszą stronę jego sympatyi. Przytém dla uwydatnienia właściwości czysto narodowych dodać trzeba, że nerw poczucia estetycznego, jaki w dążeniach duchowych Francuzów przeważa, łączy się z wybitną właściwością dumy artystycznéj i chęcią błyszczenia.

Sąd i zachwyt innych ludzi jest tu źródłem wewnętrznego zadowolenia i własnego uznania.

Jednocześnie z ciągłém „*désir de plaire*“ wyradza się pewna sztuka kokietowania (wprost przeciwna obojętności Anglików), często nie przebierająca w środkach i uciekająca się do podstępów, ażeby tylko dopiąć ostatecznego celu, tj. podobania się.

Być może, że owa niższa, bardziéj ziemska i tuzinkowa strona artyzmu, która ujarzmia jego niezależny polot i nakłania do kapryśnego upodobania tłumów, wytworzyła—francuskie pojęcie szyku,

ową odrębną, narodową cechę wymagań towarzyskich. Szyk wogóle, który u wszystkich narodów w analogicznych objawach obserwować możemy, tém się różni od francuskiego, że ten ostatni gra rolę daleko ważniejszą i realniejszą w społeczeństwie, jako wpływowy czynnik w prywatném życiu nietylko klasy wyższéj, ale i niższéj, lub średniéj. Jako artysta Francuz więcéj będzie pożądał efektu w swoich utworach, aniżeli urzeczywistnienia własnych ideałów. Ostatecznym celem jego usiłowań i niestrudzonych zabiegów—będzie popis. Atmosferą uwielbienia i podziwu upaja się on silniéj niż Arab zapachem haszyszu.

Postępki Francuza wciąż powodowane są wewnętrzną pracą, z jaką nieustannie zadaje on sobie pytanie: „Co inni na to powiedzą“? „Jak się to ludziom podoba“?

Przez to śledzenie otaczającéj opinii, przez studyowanie gustu i upodobania ludzi, do którego by się chciało zastosować, wyradza się zdolność krytykowania własnych postępków nie tyle co do ich wartości wewnętrznéj, ile pod względem wrażenia, jakie one na innych wywierają. Wtenczas całe postępowanie człowieka zdradza sprytne znawstwo słabostek ludzkich i estetyczne poczucie w zewnętrznéj stronie życia.

Jeżeli we Francyi charaktery pospolitsze postępują moralnie, ażeby zasłużyć na to uznanie innych, które dla ich poświęcenia największą stanowi zapłatę, to natury szlachetniejsze czują analogiczną potrzebę własnego zadowolenia z siebie i to przeważnie popycha je na drogę do dobrego.

Głównym bodźcem jednak nie będzie tu bezpośrednie poczucie, że moralność istniéć musi, ponieważ jest słuszna i sprawiedliwa, a to co słuszne i sprawiedliwe nie potrzebuje dowodzenia, jako aksyomat wynikający z natury rzeczy.

Francuz nie będzie uczciwy dla tego, żeby nie pojmował, jak można nim nie być; nie dla tego, że uważa to za regułę powszechną, z któréj mogą tylko być wyjątki; przeciwnie; wychodzi on z téj zasady, że wszyscy ludzie mają wrodzone skłonności do złego, że grzech jest czémś powszechném, a powstrzymywanie się od niego wyjątkowém. Dla niego nie to jest dobrém, co się opiera na ogólnym porządku rzeczy, lecz raczéj to, co dostateczną posiada siłę, ażeby oprzéć się otaczającemu wpływowi niemoralnéj swobody. Tu zło jest pierwiastkowém pojęciem, a dobro wynika dopiero w następstwie z jego przeczenia.

Spełnienie obowiązku nie jest rzeczą naturalną, lecz zasługą.

Tylko w tém znaczeniu pojęty, może pociągnąć Francuza, jako rodzaj bohaterstwa, którem się szczycić można.

„Wszyscy są źli, tuzinkowi, niemoralni a ja jeden z niewielu jestem dobry, niepospolity, obowiązkowy—patrzcie i bierzcie ze mnie przykład, hołdujcie téj wysokiéj, wzniosłéj idei, którą ja potrafię przeprowadzać w życiu. Jakże to słodko, gdy można być dumnym z tego, że się nie jest takim jak inni. Jak to pięknie być szlachetnym".

Oto co we Francyi powiada sobie człowiek moralny z zasady.

Jakeśmy to powyżéj wzmiankowali, jest tam więcéj ludzi, posiadających siłę i nałogową skłonność analizy wewnętrznéj, niż w Anglii. Otóż usposobienie do zastanawiania się nad sobą, do rozważania, jakiego rodzaju krytykę mogą wywoływać postępki nasze, łączy się z bojaźnią wywołania sądu potępiającego nas—jest to odraza nie do samego grzechu jako czegoś szkodliwego, lecz do téj krytyki, która odbiéra możność rozkosznéj dumy z siebie samego i brzydkim dysonansem psuje całą składność życia. Nie dla tego więc, że moralność jest ideą słuszną i użyteczną, lecz dla tego, ażeby brak jéj nie psuł wrodzonéj nam poezyi życia, należy postawić ją w rzędzie wielu innych pięknych rzeczy, które stanowią treść naszych potrzeb duchowych—*pour que la vie vaille la peine de vivre.*

Angielska moralność z zasady łatwo się teraz da okreslić—jest ona wprost przeciwna francuskiéj na wszystkich punktach, jakie dotychczas zostały wyłuszczone. Opiéra się ona na bezpośredniém rodzimém poczuciu, że to, co nie moralne, jest nie naturalne i nie możliwe.

Przez zadośćuczynienie słuszności i sprawiedliwości nie ma się zasługi, lecz spełnia się prosty obowiązek, który nie przynosi jeszcze zaszczytu, gdyż jest regułą ogólną i powszednią, a zasłużyć na wyróżnienie może tylko ten, kto się ponad tę zwykłą skalę wznosi i czyni więcéj, niż to, do czego jest obowiązany. Nie chodzi więc o to, ażeby moralność otrzymywała poklaski, lecz żeby grzech oburzenie wywoływał.

Tak więc główna dewiza moralności z zasady: „Błogo jest być moralnym", w dwojaki sposób może być uzupełniona.

Pojęta przez Francuza, będzie ukrywała znaczenie następujące:

1) „Moralność jest ideą piękną i jak każda piękna idea uszlachetniającą i wznoszącą nas po nad powszednią miarę życia—błogo więc jest być moralnym".

Dla Anglika znaczenie jéj będzie prostsze:

2) „Błogo jest być moralnym, gdyż niemoralność sprzeciwia się przeważnéj i lepszéj części naturalnych popędów człowieka“ (1).

Czytelnikowi, który raczył cierpliwie przeczytać aż do końca powyższe, w systemat ujęte porównanie moralności francuskiéj i angielskiéj, należy się pewnego rodzaju wyjaśnienie.

Nie chodziło bynajmniéj w całém rozumowaniu o przedstawienie wyczerpującéj klasyfikacyi pojmowań etycznych. Sam podział i wybór punktów może być uważany za dowolny. Główny cel polega na tém, ażeby wykazać, jak w ogólnych wypadkach występują różnice szczegółowe, wynikające z odrębnych własności ducha dwóch narodów.

Tym sposobem prędzéj dojść można do uwydatnienia saméj indywidualności, którą téż ujawnia się przez zestawienie rysów z umysłu nieco przesadnie zaakcentowanych; wtedy domyślność i fantazya czytelnika mogą dopełnić to, czego nieudolność pióra uchwycić nie jest w stanie, i pewien wspólny duch tkwiący we wszystkich spostrzeżeniach będzie właśnie odnosił się do owéj nieokreślonéj strony społeczeństwa angielskiego, owéj indywidualności, któréj niemożebna nazwać po imieniu.

Przechodząc od objawów pierwiastkowych do pochodnych należy jeszcze uczynić kilka psychologicznych porównań, które pozostają w ścisłym związku z zasadziczemi różnicami charakterów, powyżéj wzmiankowanemi.

Drogą prostéj dedukcyi można przyjść do wniosku, że ponieważ Francuzi podnoszą w cnocie nie jéj treść i wartość wewnętrzną, lecz tylko szlachetną formę i rycerską postać, nic więc dziwnego

(1) Dla łatwiejszego objęcia całości pozwalam sobie przytoczyć tu krótki plan całego dowodzenia zawierający klasyfikacyą punktów porównawczych.

- I) Moralność z przekonania
  - A) Wypływająca z pobudek wyższych
    - 1) angielska, przeważnie oparta na dążeniu do dobrobytu społecznego.
    - 2) francuska, przeważnie oparta na dążeniu do zadośćuczynienia żądaniom moralności absolutnéj, wypływającéj z religii.
  - B) Wypływająca z pobudek niższych
    - 1) angielska, przeważnie oparta na przeświadczeniu o konieczności jéj w praktycznem życiu.
    - 2) francuska, przeważnie oparta na chęci zyskania pochwał i względów opinii.
- II) Moralność z zasady
  - 1) angielska, przeważnie oparta na naturalném poczuciu moralném, *à priori* przyjmującém moralność, jako aksyomat życia.
  - 2) francuska, przeważnie oparta na skłonności do hołdowania ideom wzniosłym dla nich samych, jak się sztuka dla szuki uprawia,

gdy grzech imponujący bohaterską dzielnością i w strój artystyczny przybrany—pociągnie ich swoim urokiem.

Logiczność tego wywodu sprawdza się też i w praktyce. Ponieważ zwykle nie działają oni z rzeczywistego poczucia moralności, z łatwością też za pomocą sofizmatów rozgrzeszają się w drobnych początkach złego. Dopóki zbrodnia ohydną nagością nie rzuca się w oczy, dopóki nie występuje brutalna, szorstka strona przestępstwa, nikt się jeszcze tak bardzo nie skandalizuje i grzeszki a szczególniéj grzeszki sprytnie przeprowadzone i upozorowane z całą znajomością wymagań towarzyskich—łatwo znajdują pobłażanie.

We Francyi często pojęcie moralności bywa zastępywane przez pojęcie honoru, tj. moralności rycerskiéj, zewnętrznéj, towarzyskiéj, klubowéj, buduarowéj, salonowéj, ale nie rzeczywistéj. Jest w tém niby pewna pierwotna zasada uczciwości, ale takiéj, którą się możliwie nagina dla dogadzania wszelkiego rodzaju zachceniom. Kogo nie wolno posądzić o kradzież lub oszustwo, kto nie jest tchórzem, z mężczyznami potrafi być słownym, a z kobiétami dyskretnym, ten niezaprzeczenie już zasłużył sobie na opinię człowieka honorowego.

O ileż wyżéj więc po nad tę skalę wznosi się ów ideał, do którego całemi siłami dąży każdy z nieodrodnych synów Albionu—wymarzony wzór angielskiego dżentelmena.

W jednym tym wyrazie mieści się wszystko, co tylko można wymagać od człowieka i Anglika: oprócz całych dziesięciorga Bożych przykazań—jedénaste, prawdziwego patryotyzmu, a dwunaste niezrównanéj delikatności i dystynkcyi w obejściu.

VI.

Trudno by wyliczyć wszystkie broszury, powieści i dzieła naukowe, gdzie Anglicy i Francuzi wzajemnie obrzucają się ironicznemi uwagami, jaskrawo malującemi zakorzenioną nienawiść wzajemną i odwieczne współzawodnictwo dwóch tych ras, o charakterach tak z sobą niezgodnych.

Z tych polemik zajadłych czytelnik wynosi wrażenie, jak gdyby pustak wesoły i dowcipem błyszczący żartował sobie z człowieka poważnego o niezłomnéj woli, lecz skromném i cichém ułożeniu. Nieraz pustakowi uda się poważnego męża okryć śmiesznością, ale gdy pierwszy wybuch wesołości przeminie—słuszność pozostanie po stronie ostatniego.

Oto parę wzajemnych zarzutów: Francuzi szydzą ze swych sąsiadów wyspiarzy, że wyrządzonéj im obrazy honoru nie potrafią zmywać krwią w pojedynku. Mąż zdradzony przez żonę, zamiast w rycerskim turnieju kruszyć kopie z rozpustnym donżuanem—najzwyczajniéj w świecie wzywa go naprzód prywatnie, a w razie odmowy drogą sądową o zapłacenie pokaźnéj sumy, jako pokrycie strat moralnych, poniesionych przez rodzinę wskutek jego lekkomyślnego postępku.

Taki sposób dochodzenia krzywdy, wyrządzonéj na honorze, jest powszechny w Anglii. Podług pojęć francuskich przynosi on wstyd społeczeństwu.

Można zgodnie z usposobieniem, jakie się posiada, nie naśladować samemu podobnéj taktyki małżeńskiéj, lecz, rozważając ją na zimno, trudno upatrywać tu jakikolwiek cień niemoralności, lub nieszlachetności, a nawet brak wyższego do żony przywiązania.

Jest to tylko dowód flegmatycznego temperamentu.

Pojedynek, posiadając wszelkie pozory rycerstwa, w rzeczywistości częściéj bywa wynikiem rozpaczliwego wysiłku małodusznych aniżeli objawem nieustraszonéj odwagi, szczególniéj w naszym XIX wieku, bardziéj przemysłowym i naukowym niż wojowniczym, kiedy dzielność muskułów i wytrzymałość ciała zastąpione zostały przez subtelność nerwów.

Anglikowi, który nie pragnie krwawych zapasów ze swym przeciwnikiem, bynajmniéj nie zbywa na odwadze. Miał on sposobność dostatecznie wyrobić ją w sobie w życiu przez ćwiczenia ciała, śmiałe podróże w odległe kraje i ciągłe ścieranie się z siłami natury. Jeżeli zawziętość nie popycha go do zemsty, to w postanowieniu jakie uczyni, będzie zawsze kierował się spokojnym praktycznym poglądem. Gdy przyjdzie mu ochota, to i bez żadnego powodu spróbuje dla sportu najniebezpieczniejszéj szermierki, ale gdy nie będzie w tém widział potrzeby, żadne nielogiczne przesądy światowe nie zmuszą go do rozlewania krwi swojéj lub cudzéj—dla drobnostki. W ważniejszych wypadkach, jak np. przy zdradzie żony, być może, iż serdeczne jego uczucia jeszcze boleśniéj będą dotknięte niż u Francuza, który, nawet wtedy gdy wcale żony nie kochał i sam się jéj przeniewierzał,—stanie na placu boju, więcéj z dumy niż z żalu, więcéj z konieczności niż z odwagi.

Ten sam Francuz, być może, nie wyrównał by Anglikowi w poświęceniu dla niéj i w wytrwałéj dbałości o jéj szczęście, może nawet nie wierzy w świętość więzów małżeńskich i nie uznaje obowiązków, jakie one za sobą pociągają.

Dla jakiegoż więc hasła naraża on swoje życie? Oto—oburza go i rozdraźnia w najwyższym stopniu myśl, że się okrył śmiesznością. Znieść nie może badawczego wzroku przechodniów, a ironiczne lub litościwe półsłówka, z których domyśla się rozmów otwarcie po za oczami jego prowadzonych—wprawiają go w wściekłość. I nie walczy on wtedy, ażeby wymierzyć sprawiedliwość, lecz dla utrzymania siebie, siebie tylko, na dawnym piedestale. Nie chodzi mu tyle o to, ażeby kula ugodziła przeciwnika i przerwała jego nienawistny żywot—najważniejszą ze wszystkiego jest ta sama ceremonia pojedynku wobec świadków, którzy będą mogli zaspokoić galeryą, że honorowi uczyniono zadość i że plama wstydu zmazana. Tu nie ma logicznéj działalności, opartéj na rzeczywistych danych, a tylko pusta formalność i czcze obrzędy, służące modnym ideom i kaprysowi wymagań światowych. Anglik, który całą głębią duszy odczuje wyrządzoną mu krzywdę, nie będzie zastanawiał się nad współczesnemi przepisami akcyi honorowéj, lecz jak grom spadnie na przeciwnika i zmiażdży go w proch lub sam polegnie w walce, gdzie nie chodzi o charakter broni lecz o śmiertelność uderzenia.

Powiedzieć więc, że w Anglii nie ma pojedynków znaczy, że w tysiącznych nieporozumieniach, sprzeczkach i obrazach, kończących się zwykle we Francyi lub u nas pojedynkiem i dla których nieraz innego wyjścia nie ma—w Anglii każdy postępuje podług własnego upodobania, bez potrzeby oglądania się na jakiś przyjęty zwyczaj.

Z nielicznych wydarzeń formalnego pojedynkowania się, jakie zdarzają się w W. Brytanii, większość odnosi się do wysokiéj arystokracyi, gdzie wyjątkowe stanowisko ludzi na świeczniku położonych wymaga nieraz rycerskiego załatwienia sprawy. Lecz i tu nawet, tylko wypadki pierwszorzędnéj wagi mogą stać się przyczyną téj ostateczności.

Najwybitniejszą jednak stroną powyższego zjawiska społecznego jest fakt, że Anglicy, choć nie uznają pojedynków, posiadają jednak daleko więcéj od Francuzów niezłomności woli i nieustraszonéj wytrwałości w walce. Wychowanie samo zamłodu zaprawia ich do borykania się z życiem a potężna pięść zawsze gotowa każdego, ktoby śmiał wchodzić w drogę jéj posiadaczowi, powalić jednym zamachem, a tém bardziéj zwyrodniałego i papinkowatego mieszkańca bulwarów paryskich, który może wczoraj jeszcze, jako biedna ofiara własnego bohaterstwa—zaćmionym wzrokiem spoglądał w lufę pistoletu.

Możemy więc razem z Francuzem naśmiać się dowoli z Anglika niezbyt pochopnego do chwytania za rękojeść szabli, kiedy ktoś zło-

śliwym żartem zadraśnie jego miłość własną. Następnie jednak, poznawszy konsekwencyą i męzką stanowczość jego czynów, będziem zapewne litować się nad nerwową egzaltacyą Francuza, która często silniejsze wewnątrz sprawia burze i więcéj pożąda aniżeli zdolna dokazać w rzeczywistości.

Brak subtelności w formalnościach honorowych—oto podług Francuzów jedna ze stron ujemnych w charakterze brytańskiéj rasy. Najważniejszym jednak *cheval de bataille*, używanym w napaściach na wady sąsiadów po tamtéj stronie kanału—jest zarzut wrodzonego egoizmu. Ze zdaniem, że Anglicy są ludzie zimni i bez serca dość często spotkać się można. Czy jednak nie zaśmiałe to orzeczenie, choćby dla tego tylko, że zbyt jest stanowcze i ogólnikowe? Wynika ono często z powierzchownego sądu opartego na wrażeniach osobistych. Nieraz można obejście pojmować jako charakter, formę jako treść, a zewnętrzną mowę jako wewnątrz istniejące przekonania.

Nie wahałbym się powiedzieć, że właśnie Anglicy posiadają w gruncie więcéj daleko altruizmu niż Francuzi, z tą tylko różnicą, że w Anglii każdy egoista bije natychmiast w oczy lodowatą obojętnością i że wielu ludzi serca poznaje się nie z słodkiego uśmiechu i wdzięcznéj przemowy, lecz dopiero—z uczynków. We Francyi jest wielu—ukrytych egoistów.

Ażeby prawdziwą miłość bliźniego jako cnotę odróżnić od pozornych tylko objawów towarzyskości, trzeba pamiętać, że czułość temperamentu nie zawsze idzie w parze z altruizmem charakteru i przekonań.

Pierwsza jest usposobieniem pragnącém od świata pieszczoty i udzielającém jéj z rozkoszą. Chętnie widzi się wkoło siebie uśmiechnięte twarze i w pogoni za szczęściem szuka się towarzystwa ludzi szczęśliwych.

Obraz cudzéj rozpaczy lub widok cierpienia wstrząsa nerwami i mimowoli oczy zasłaniać każe. Dla wrażliwości pragnącéj słodyczy harmonii jest to rozdźwięk, od którego stronić trzeba, jeżeli się on z łatwością nie da przygłuszyć. Człowiek „czuły“ podobny jest do kochanka upatrującego w swém bóstwie jedynie źródło własnéj rozkoszy, do uprzejmego gospodarza, podejmującego gości potrzebnych mu dla własnéj zabawy, do milionera, który, nie żałując kroci dla własnych fantazyi, chętnie rzuca setkę biédakowi, jeżeli w mroźny dzień znalazł go łachmanami na wpół okrytego przy kamiennych wschodach, do pałacu swego prowadzących. „Czułość“ jest to odrębny rodzaj przywiązania, gdzie się więcéj spodziewa otrzymać aniżeli się przez poświęcenie dać pragnie; gdzie wypeł-

nienie powierzchownych tylko formalności przyjaźni wystarcza do zaspokojenia pewnych potrzeb duchowych, wynikających z istnienia nerwu sympatyi w naszym temperamencie.

Francuz posiada czułości wiele. Na twoje przywitanie wyjdzie on z błyskiem szczeréj radości w oczach, a z ust jego posypią się wdzięczne i ożywione słowa pociągającéj uprzejmości. W rozmowie z tobą będzie się starał o to, ażeby cię nie znudzić banalnością przedmiotu, ani téż nieprzyjemnie dotknąć drażliwą dla ciebie kwestyą. Zbliżenie doń łatwe a poznanie szybkie. Jego obejście, pełne przelotnych spojrzeń i ruchów i domyślnemi półsłówkami przeplatane, zaprasza cię rozkosznie i tajemnie zarazem do subtelnych poufałości. Tak wymownie i tak uprzedzająco stara się on natrafić na wspólne z tobą myśli i uczucia, że obawiasz się, ażeby ukryte dotychczas między wami różnice nie zamąciły różowéj zgody. Obadwaj instynktowo ten szkopuł omijacie. Czujesz, jak przy drobnych zwierzeniach szuka on na twarzy twéj uśmiechu współczucia. Wszystko to znamionuje człowieka, który pragnie kochać i daje się kochać, ale, jak się późniéj przekonasz — pod jednym warunkiem.

Chce on kochać i pragnie być kochanym, ale wesolo i łatwo. Chętnie oddaje ci drobne przysługi, bo cieszy się naprzód, że go nazwiesz uczynnym i że będzie miał prawo tego samego od ciebie wymagać (często nawet nie zdaje sobie sprawy z tych pobudek). Czyni to pod wpływem chwilowego usposobienia i bez głębszéj podstawy.

Nie żądaj od niego wdzięczności, która niezłomnie pracuje, ażeby ci oddać z lichwą, i która nigdy nie zapomina. Nie żądaj bo się często zawiedziesz.

Z całego szeregu tych rozmów poufnych, które zdawały się głąb duszy odkrywać i które może serce twoje ujarzmić zdołały, nie buduj sobie trwałych planów na przyszłość, bo przekonasz się, że byłeś tylko przedmiotem i ofiarą czułości, na kimkolwiekbądź potrzebującéj się zużyć.

Pogódź się z myślą, że często bogactwo formy i temperamentu opłaca się ubóstwem treści i charakteru, że te chwile złudzenia, podczas których zdawało ci się być otoczonym żywotném ciepłém uczucia, kiedy do ludzi tych pociągał cię jakiś prąd gorączkowy, że te chwile, któréś w duszy nieraz namiętnie błogosławił, jak sen się rozwiawszy, pozostawią po sobie tylko rozkoszną i bolesną mieszaninę wspomnień i żalu.

Anglicy mało posiadają téj francuskiéj, kobiecéj tkliwości, która tak łatwo łączy się ze słabym charakterem lub z ukrytym egoizmem.

Przyjaźń ich nie rozdrabnia się we wzajemném uprzedzaniu subtelnych pragnień i życzeń kapryśnych, niezależna jest od przypadkowéj gry temperamentu, lecz tkwi w niéj poczucie proste i niezachwiane, jak prostą i niezachwianą bywa wiara w obowiązek i poświęcenie.

W Anglii i literaturze angielskiéj nieraz spotykałem wyrażenie „*dogs heart*“ czyli psie serce. Służy ono do określenia charakteru, zdolnego do przyjaźni tak bezwzględnéj i nieograniczonéj, jak ślepe przywiązanie psa do swego pana.

Wierny sługa, po którego trupie przejść trzeba, ażeby w ciało pana ugodzić, przyjaciel umiejący się poświęcać dla przyjaciela bez wahania i z uśmiechem na ustach, a przedewszystkiém ten, kto w zaparciu siebie nie upatruje żadnéj zasługi lecz postępek naturalny—ci wszyscy posiadają, podług Anglików, owe proste, dziewicze psie serce, tylko rodzimą szlachetnością bijące.

Czy może kto wskazać wznioślejszy przykład wrodzonych przymiotów duchowych i czy istnieje co więcéj godnego uwielbienia, jak bohaterstwo spełniane z bezwiedną skromnością dziecięcia? Ten ideał, tak wybitny i tak rzadki, często się jednak spotyka w powieściach angielskich a przytém częściéj niż we francuskich. Sądząc z tego, a także i z całości charakteru samych Anglików, jest się skłonnym do wyprowadzenia wniosku, że i samo społeczeństwo angielskie zdolniejsze jest od francuskiego wydać ze swego łona ludzi urzeczywistniających sobą ów typ wymarzony.

Tam właśnie, w Anglii, mniéj jest rzeczywistych egoistów, mniéj ukrywających egoizm w głębi zawikłanych właściwości charakteru, mniéj takich, których oko chciwe życia we wszystkiém szuka źródła własnych przyjemności, we wszystkiém—nawet w tych związkach, które są wyrazem altruizmu i opierają się na poświęceniu, tj. w miłości i przyjaźni.

Nie trzeba w tém upatrywać sprzeczności—jest to tylko dowód znawstwa i wyrobienia wszechstronnego w dążeniu do rozkoszy — tu egoizm uprawiany jako sztuka, choć przestaje odpychać jawnym chłodem w obejściu i nabiéra przyjemnéj ogłady, tém głębiéj w sercu się zakorzenia i trucizną wyrachowanéj samowiedzy zabija resztkę kwiatu dziewiczéj szlachetności.

Przedstawiam sobie prędzéj Anglika, niż Francuza, wyrzekającego się kochanki dla przyjaciela. Czy dzieje się to dla tego, że Francuzi namiętniéj kochać potrafią, czy téż, że mniéj od Anglików posiadają ludzi o „psiém sercu“?

Może być, że i jedno i drugie.

VII.

Widzieliśmy dotychczas dwa zarzuty Francuzów przeciwko Anglikom. Popularniejszym jeszcze jest zarzut obłudy. Już prawie weszło w przysłowie, że Albion jest krainą hypokryzyi i że często zewnętrzne objawy purytańskiéj moralności kryją tylko po za sobą cyniczną, wyuzdaną rozpustę.

Nieraz słyszeliśmy jaskrawe opowiadania o skandalach londyńskich i nieraz powtarzano, że największa ze stolic świata jest zarazem i miejscem największego zepsucia.

Postarajmy się odkryć rzeczywistą, życiową stronę angielskiéj obyczajności, a wtedy łatwo będzie pojąć czém właściwie jest owa hypokryzya albiońska, któréj podnoszenie musi zawierać w sobie pewną ukrytą część prawdy.

Cała kwestya sprowadza się do kwestyi moralności kobiét. Ich charakter i przeważające zasady postępowania decydują tu o trwałości i sile związku rodzinnego, który dotychczas zawsze był główną podstawą ustroju społecznego.

Mamy przed sobą trzy wybitne typy: panny, mężatki— i kobiéty jawnie upadłe; przejdźmy je więc po kolei.

P a n n a. Wita się z tobą szczerém i śmiałém uściśnieniem dłoni, a w oczach jéj nie wyczytasz bojaźliwéj skromności, która czuje się spętaną tysiącznemi skrupuły. Z jéj postępowania wnet miarkujesz, że będąc niezależną, nie potrzebuje w cichości wzdychać za swobodą. I rzeczywiście. Całodzienne jéj zajęcia noszą na sobie cechę samodzielnego i celowego trybu życia. Najprzód, gdy rano wstaje, obmywa się cała zimną wodą, podług zwyczaju przyjętego w Anglii dla każdéj płci i każdego wieku. Surowe i niegościnne prawie wnętrze sypialni nie zachęca do dłuszego przepędzania w niéj czasu na zbyt wolném wykończaniu szczegółów tualetowych. Ze wszystkich pokojów, sypialny bywa zwykle najmniéj ustrojony i najskąpiéj zaopatrzony w liczne wygody angielskiego życia. Nawet w domach bardzo bogatych, często tylko cztéry nagie ściany jasném i zwyczajném obiciem oklejone, szerokie żelazne łóżko o czterech wielkich, błyszczących gałkach mosiężnych, pikową kołdrą pokryte i kilka niezbędnych sprzętów, stanowią całe jego umeblowanie; znać, że ten kącik mieszkania, zwykle dość ciasny, a w zimie zawsze za chłodny lub téż wcale nieopalany, przeznacza się na chwilowe tylko w nocy schronienie, w którém w dzień nikt nie przebywa.

To téż rankiem śpieszno jest młodéj *miss* zeń uciekać. Jak najprędzéj schodzi ona odświeżona i jaśniejąca krasą zdrowia do

pokoju jadalnego, na *breakfast* czyli pierwsze śniadanie. Soczysty kawałek baraniny lub wołowiny, popijany lekką kawą i zagryziony chlebem z masłem, stanowi główną jego podstawę. Po dobrém posileniu się następują godziny pożytecznéj pracy, przynajmniéj aż do południa, częściéj lekcye i praca umysłowa wogóle, rzadziéj zaś gospodarstwo, które zwykle oddawane jest pod zawiadywanie służby. O pierwszéj *luncheon* czyli drugie śniadanie, z zimnych przekąsek złożone, poczém do godziny 5-éj można swobodnie rozporządzać czasem. Schodzi on na spacerze, odwiedzinach, sprawunkach i sporcie, jak np. partye *lawn-tennisu* na zielonym dywanie trawników, dalekie przejażdżki konne lub wodne wycieczki wioślarskie, w zimie ślizgawka. W doborze towarzystwa do tych rozrywek na świeżém powietrzu więcéj zważa się na charakter i wychowanie, niż na płeć i wiek osoby. Młody i przystojny student zaprasza swoję kuzynkę lub znajomą na poziomki do zamiejskiéj sielanki. Propozycya zostaje przyjęta z ochotą. Ponieważ zgodzili się, że główną drogę odbędą w łódce, ustroił się on w lekkie z trykotu sportowe ubranie, całe pstre żywością świeżych kolorów i skrajane ze smakiem i wytwornie niedbałą fantazyą dżentelmeńską.

Po alei dla spotkania umówionéj przechadza się on w miłém i spokojném oczekiwaniu.

Trzeba też wiedziéć, że nadobna para, mająca się tu zejść niebawem, flirtuje z sobą już od miesiąca. Flirtuje?—może wyrażenie to czytelniku nieznane tobie, lub może nie dość jasne? A jednak znaczenie jego bardzo proste; tak proste, że zapewne wyda ci się mniéj interesujące aniżeliś przypuszczał.

Młodzieniec X spotkał na poobiedniéj herbatce pannę Y, która mu się z pierwszego wejrzenia podobała. Temu ostatniemu wyrazowi nie przypisuj jednak zbytniéj wagi. Podobała się ona jemu tak, jak tobie podobał się wśród zieleni kwiat czarujący barwami młodości i nęcący wiosenną wonią. Nie masz nań innych zamiarów jak tylko patrzéć i zachwycać się. I on również nie myśli serca swego niepokoić gorączkowém i tęsknem spoglądaniem w przyszłość. Chce oczy swe napawać widokiem sympatycznych linii i kształtów a uszy pieścić srebrnym dźwiękiem jéj mowy i śmiechu, chce z lekka kokietować i być kokietowanym, a po jakimś czasie, gdy już tego będzie dosyć, cała flirtacya jak drobna chmurka, pogodnym powiewem niesiona, rozdmuchnie się i zniknie zarówno nieznacznie i cicho, jak przedtém się zawiązywała. Jeżeli posiadasz temperament pełen subtelnego nerwu, dziwi cię to i napełnia niedowierzaniem. Wszak stare przysłowie powiada: ostrożnie z ogniem? Czyż tak łatwo jest zakończyć niebezpieczną zabawkę zalotności

jak się ją spokojnie zaczęło, kto tu bowiem za siebie ręczyć może? Pojedź do Anglii a przekonasz się, że mogą to właśnie czynić jéj mieszkańcy. Zechciéj tylko młodéj parze, która wita się teraz na miejscu schadzki, towarzyszyć w podróży niewidzialnym sposobem, przyjrzéć się ich zachowaniu i podsłuchać rozmowę. Z prostą galanteryą grzecznego brata, zaprowadził on ją do chwiejącéj się łódki. Oboje naprzeciwko siebie wygodnie wewnątrz zasiedli, a młodzieniec w silne dłonie obadwa wiosła ująwszy, miarowo uderzając w wodę, podbiérał ją pociągnięciem sprężystém i długiém. W milczeniu płynęli szybko. Wkrótce potém zawiązała się rozmowa, rozmowa potoczna o wypadkach chwili, niedalekich projektach i stosunkach rodzinnych. Nie czując się obowiązanymi przerywać milczenia, mówili tyle tylko i wtedy, gdy im myśli naturalnym wątkiem do głowy przychodziły i tylko słodki urok, jaki wiał od dziewczyny, skłaniał młodego wioślarza do podzielania jéj uwag więcéj, aniżeli by to w innym razie uczynił. Wkrótce ujrzeli się osamotnieni wśród zacisza wiejskiego krajobrazu. Spokój ciepłéj, jasnéj pogody podnosiłby w innych błogą, niepohamowaną chęć życia i szeptałby tajemne, nieznane pragnienia; innego młodzieńca mowa stałaby się wówczas niespokojna i namiętna, inna panna poczułaby pewną wyjątkową drażliwość położenia i stąd targana byłaby rozkosznym niepokojem dziewiczéj nieśmiałości. Dla nich, dla tych jasnowłosych i modrookich dzieci natury, sytuacya była przyjemna, miła ale zwyczajna, w niczém więcéj od innych nie nasuwająca subtelnéj obawy.

Czy podczas sielankowéj samotności, czy téż wśród buduarowego komfortu wygodnych mebli i miękkich dywanów, młodzieniec czuł dla swojéj towarzyski jednakowe, jasne połączenie sympatyi i uszanowania.

Widzę czytelniku, że w téj chwili ciekawość twoja słabnąć zaczyna, i że powoli znika ci razem z nadzieją doczekania się interesującego epizodu, ochota do dalszego obserwowania podróżującéj pary. Zawróć się więc w połowie drogi w niezbitém i uzasadnioném przekonaniu, że wycieczka odbędzie się i zakończy tak, jak się zaczęła: dowiédz się, że poziomki spożyto w koleżeńskiéj harmonii i w dobrym humorze popłynięto do domu.

Lecz niedługo wybije godzina 5-ta. Jest to pora wizyt i zarazem poobiednich herbatek (*five o'clock tea*). Któż choć tydzień przebywszy w Anglii, nie pamięta tych zebrań, odbywających się odwiecznym stereotypowym porządkiem?!

Nasza panna z przystani podwaja kroku, ażeby stanąć na czas i pomódz matce w przyjmowaniu gości. W salonie suto ubranym

w całą mnogość sprzętów, gratów, figurek i gracików, poustawianych na półkach i kominie, pozawieszanych na ścianach i z angielską kokieteryą porozstawianych po pokoju w umyślnym nieładzie, zebrało się już sporo gości. Główna partya rozsiadła się szerokiém kołem naprzeciwko ognia, buchającego w masywnym żelaznym kominie, z lubością spoglądając na migotliwe płomyki. Pani domu nalewa wszystkim do malutkich filiżanek herbatę czarną jak atrament i częstuje cienkiemi, jak liście plasterkami chleba z masłem, biszkoptami i ciastem. Młodych spodziewają się co chwila. Niebawem też wchodzą oboje, rozgrzani pośpiechem i owiani świeżym zapachem powietrza, rzucając jeszcze we drzwiach salonu ostatnie wyrazy nieskończonéj rozmowy. W innym kraju to samo zjawisko dwojga młodych, przystojnych ludzi, wracających z dalekiéj i samotnéj wycieczki, wywołałoby inne niż tu na twarzach wrażenie. Ujrzałbyś nie jeden uśmiech, prawdopodobnie niewinny w gruncie, a jednak łobuzowski, bo niedyskretnie domyślny i zdradzający śmiałe przypuszczenia. Nie darowanoby młodéj parze i nie uniknęliby prześladowczych półsłówek. Tu zaś witano ich jak brata i siostrę, czułeś, że atmosfera jest tu inna i że swawola gaśnie w niéj sama z siebie, jak płomień pozbawiony powietrza. Na twarzach czytałeś, jak u spodu herbu państwa, dewizę całéj Anglii: „*Honny soit qui mal y pense*“, zasadę wypowiedzianą w języku tych, którzy znacznie mniéj ją w życiu stosować umieją.

Po krótkotrwałém zamieszaniu, jakie panna domu ukazaniem się swojém sprawiła, wszyscy znów miejsca zabiérają. Szczęśliwym trafem a może też zasłużonym wyborem, udaje ci się czytelniku usiąść przy naszéj nadobnéj *miss*. Przyznaj, że w téj chwili serce bije ci żywiéj niż zwykle. Nie posądzam cię o to, abyś już był draśnięty strzałą amora, przypominasz sobie tylko wyniesione z kraju niezatarte wrażenia typu panny sprytnéj i ładnéj i wiész, że rozmowa z nią jest przytém walką rozkoszną, ale—walką. Pamiętasz, że uroczy ten przeciwnik posiada broń bardzo niebezpieczną, mianowicie krytykę, zarówno subtelną i figlarną, jak spostrzegawczą, która z łatwością ugodzić może w śmieszną stronę twojéj osoby i strącić cię ze stanowiska, na jakiém pragniesz się utrzymać, a dosadnie mówiąc po polsku, w kozi róg cię zapędzić. Ztąd też postać kobiéty i głos jéj elektryzują cię, jak żołnierza trąbka komendy, i wprawiłeś się już w jednéj chwili zbiérać całą przytomność i natężyć uwagę, aby cię nie zaskoczono nieprzygotowanym. Tu jednak przyjdzie mi cię żałować, że przy ładnéj *miss*, wyrobienie to, tak drogo a jednak tak przyjemnie nabyte, nie będzie miało należytego pola popisu. Posiada ona względem ciebie tak lojalne

zamiary, że wogóle o żadnéj szermierce językowéj mowy nie ma, chyba, że ty sam masz zbyt wojownicze usposobienie, które zmusi ją do taktyki odpornéj; zresztą od niéj saméj kroków zaczepnych się nie spodziewaj. Na początku rozmowy napięte władze twego temperamentu, późniéj powoli rozprzęgną się wobec braku oporu i biernie z dziecinną łatwością popłynie wam myśli zamiana, jak półsenne marzenie. Być może tylko, że tobie, przyzwyczajonemu do silniejszych wrażeń, zostanie po niéj jakiś smak niewystarczający, jakby po spożyciu potrawy niedość w korzenie przyprawnéj. Lecz oto z pół-uśmiechem spoglądając na zegar, powstaje *miss* i podaje ci rękę na pożegnanie. Już za 10 minut szósta, a o téj godzinie musi ona być na publicznéj prelekcyi w kolegium. Rozpatrywana będzie kwestya roli kobiet w sprawie organizacyi dobroczynności publicznéj — *miss* ocenia wagę przedmiotu i stara się go poznać z całém zainteresowaniem obywatelki, pojmującéj swoje stanowisko społeczne. Już przecie z krótkiéj rozmowy zdążyłeś się przekonać, że i przebieg polityki obchodzi ją więcéj, aniżeliś przypuszczał. Wdzięcznie trzymając skórzaną teczkę z papierami, sama śmiałym krokiem zapuszcza się w ulice miasta, pogrążone w zmierzchu wieczornym. Jeszcze paręset kroków i znajduje się ona w wielkiéj oświeconéj sali, budowanéj podług ulubionych wzorów gotyckich i napełnionéj już męską publicznością, a przeważnie uczącą się i młodzieżą. Tylko dwa pierwsze rzędy przeznaczone są dla płci pięknéj. Podczas gdy *miss* w jednym z nich miejsce zająwszy, pilnie zapisuje słowa profesora, przyjrzyj się jeszcze pozostałym w jéj domu gościom. Uderza cię przedewszystkiém oryginalna grupa w głębi salonu. Nasz znajomy (ów wioślarz, piękny jak Apollo) siedzi sobie rozwalony wygodnie w głębokim i miękkim fotelu z nogą na kolano niedbale założoną i poufale uśmiecha się do pięciu czy sześciu *miss*, takich samych jak ta, co w téj chwili pilnie słucha wykładu administracyi. Otaczają go one wszystkie kołem i naprzemian o łaskawe jego słowo ubiegać się zdają. Jak na wieczorze królowéj balu dworuje tłum skwapliwéj młodzieży, tak on zdaje się panować wśród powiewnego łańcucha blondynek.

Z początku na widok pozy tak nieodpowiedniéj do otoczenia, oburza się w tobie poczucie rycerskiéj galanteryi. Późniéj jednak przypatrując się uważniéj twarzy młodego Anglika, wyczytujesz na niéj nie aroganckie lekceważenie, lecz raczéj swobodę dobrego, choć rozpieszczonego dziecka, które wie, że mu jeszcze więcéj wolno, niż sobie pozwala.

Nie ma on żadnéj wątpliwości, że w swojém towarzystwie jest dla każdéj panny świetną ze wszech miar partyą, i że szczęśliwą

będzie ta, po którą on sięgnąć zechce. W Anglii konkurencya o mężów daleko jest większa niż gdzieindziéj, ponieważ jak wskazuje statystyka liczba kobiet o wiele przewyższa liczbę mężczyzn. Ztąd téż jako i z przyczyn historycznych, kobieta tu, w porównaniu z kontynentem otoczona jest słabszą aureolą poezyi i choć społeczeństwo wespół z prawodawstwem z większą gotowością umié stawać w obronie jéj czci i bezpieczeństwa, mniéj za to zależne jest od jéj uroku i nie tak wysoko kult jéj podnosi. Wciąż więc wracamy do tego, że w Anglii istnieje pewien brak skłonności do idealizowania pojęć. Ztąd powszechna dążność do swobody i samopomocy w rządzie i wychowaniu. Wiadomo, że absolutny system teroryzmu i represyi bardzo wielu rzeczom zwyczajnym nadaje ponętę zakazanego owocu i wyradza ztąd w człowieku spaczony popęd do złego. Oto, co powiada Buckle: Cokolwiekbądź zechcą utrzymywać teologowie, pewną jest rzeczą, że ludzkość posiada wogóle daleko więcéj cnót, aniżeli występków, i że w każdym kraju dzieje się więcéj dobrych, niźli złych uczynków. Zaiste, gdyby było inaczéj przewaga złego dawno byłaby wytępiła plemię ludzkie do szczętu, nie pozostawiając nawet jednego człowieka, aby opłakiwać mógł upadek swego rodzaju.

Dalako zbawienniejsze jest przeto umiejętne rozwijanie przyrodzonych dążeń, aniżeli arbitralne narzucanie innych, lepszych może w teoryi, lecz będących w sprzeczności z naturą, do któréj mają być zastosowane. Wtedy powtarza się przykład stary jak świat, że chcąc koniecznie uczynić lepiéj, aniżeli to jest możebne, psuje się wszystko.

Typ angielskiéj panny może być jednym z licznych dowodów znanéj maksymy, że lepsze często bywa nieprzyjacielem dobrego.

Mogąc swobodnie i samodzielnie rozglądać się po otwartéj arenie życia, rzadziéj bywa ona jednym z tych powierzchownych aniołków kontynentu, w których głęboko ukryty siedzi niesforny dyabełek, niecierpliwie czekający wyzwolenia; rzadziéj dochodzi ona do urzeczywistnienia téj sprzeczności, tak ponętnéj dla mężczyzny, szukającego zajmującéj treści i silnych oryginalnych wrażeń; ale za to spokojniéj i pewniéj stąpa po nakreślonéj przez siebie drodze z doświadczeniem nabytém powoli, bez ciężkich niepowetowanych ofiar.

M ę ż a t k a. Temperament jéj znany już czytelnikowi z poprzedniego opisu; potrzeba tylko jeszcze przyjrzeć się, jak w danéni otoczeniu wypełnia ona nową dla siebie rolę.

Przypuśćmy, że piękny wioślarz w miesiąc późniéj zamienił flirtacye na zamiary określone i że po dwóch lub trzech latach połą-

czył się z nadobną *mis* węzłem dozgonnym. Czy chcesz czytelniku wiedziéć z jakich pobudek małżeństwo to się skojarzyło? Zależne one są od tylu warunków społecznych, że potrzebują szerszego wyjaśnienia. Weźmy ową najwybitniejszą i najwięcéj typową klasę zamożnego mieszczaństwa i średniéj szlachty angielskiéj. W całym sposobie życia tak ściśle trzyma się ona powszechnie przyjętego szablonu, że oddzielny przykład starczy tu za ogólną regułę. Każdy młody człowiek wychowuje się w jednym ze sławnych uniwersytetów w Oxford lub Cambridge, albo téż w innym zakładzie naukowym, opartym, jak poprzednie na systemie internatu. Mniéj więcéj w ciągu lat od 16 do 24 przepędza on pierwsze chwile swéj młodości w atmosferze małomiasteczkowéj pośród rówieników i profesorów. Nie wiadomo czy wpływ danego otoczenia, czy rasowe skłonności, czy siła ustalonych pojęć, czy téż (co najprawdopodobniejsze) wszystkie te przyczyny razem składają się na utrzymanie tak wysokiéj obyczajności wśród młodzieży, to tylko zaręczyć mogę, ponieważ kwestyą tę na miejscu badałem, że w porównaniu z oxfordzskim *under graduate* moralność przeciętnego naszego studenta żadnéj nie wytrzymuje krytyki.

Oprócz rzeczywistych danych, mogących stwierdzić powyższe zdanie, są jeszcze pewne zewnętrzne objawy, od razu rzucające się w oczy, a mianowicie: pewna naiwność młodzieży i brak donżuańskiego wyrobienia w porównaniu z kontynentem. W następstwie dochodzi się do wniosku, że głównym tego powodem jest rzadkość miłostek, czyli stosunków zawiązywanych w sferze prywatnych znajomości. Będąc w Oxfordzie nieraz można było zauważyć młodego studenta, który dobrze zaopatrzywszy pugilares wymykał się w niedzielę rano do Londynu na całodzienną hulankę. Czynił to jednak ostrożnie, przed nikim się nie chwalił i tylko cudzoziemiec, badający miejscowe stosunki, mógł przy wielkich staraniach otrzymać szczegółowe sprawozdanie z wycieczek tego rodzaju.

Można powiedziéć, że pomiędzy Anglikami w wieku lat 25 spotyka się przeważnie dwa typy następujące: 1) mniéj liczną kategoryę młodzieńców, którzy nie zakosztowali jeszcze życia zupełnie, i 2) takich, których drobne, a nieraz konieczne wybryki nie osłabiły ani dzielności fizycznéj ani dziewiczości duchowéj.

Stąd u jednych i drugich ta dziwna angielska naiwność. Widać, że nie wyczerpali oni rozkoszy życiowych i młode ich serce zachowało jeszcze święty ideał przyszłego szczęścia w całéj świeżości pierwszych budzących się uczuć.

A jednak przy niezależnym trybie życia, wcześniéj niż gdzieindziéj zapoznali się z praktyką świata, z jego grzechami i zepsu-

ciem. W zamian jedna, ale niezmiernie ważna okoliczność stała na straży ich skarbów młodości: grzeszących mogli widzieć wielu, lecz mało jawnogrzeszników; zło, które spotykali, kryło się przed niemi przez samowiedzę własnéj ohydy.

Nie zaraził ich jawnie chełpiący się cynizm, bo w kraju, gdzie przy największéj swobodzie religii i przekonań nie ma ateizmu a brak przekonań nie jest dozwolony—cynizm rozwinąć się nie może.

Tu młodego człowieka myśl sięgająca w przyszłość oddawna przyzwyczaiła się łączyć pojęcia szczęścia z pojęciami małżeństwa i rodziny—wszystko po za obrębem tych związków może być tylko wyjątkiem. Po części z temperamentu, po części z wyrobionych zasad nie uważa on stanu małżeńskiego za zakończenie złotéj swobody i odpoczynek po wyczerpaniu pierwszego nadmiaru sił.

Widzi on w niém dopiero początek szerszego i wszechstronnego życia i obietnicę jakiegoś klasycznego szczęścia w utworzeniu swego „*home*“, ciepłego i wygodnego gniazda—jedynego dla Anglika raju na téj ziemi.

I nasz znajomy młody X ożenił się z piękną *miss* dla tych samych powodów. Sam będąc bogaty, nie szukał pieniędzy, gdyż tak w Anglii bywa, że wszystkie prawie panny mieszczańskiéj sfery przyszłym swym mężom przynoszą bardzo mało, lub nic w posagu.

Chciał, żeby ona pierwsza dała początek światkowi, w którym on będzie panem; jéj pobudki są mniéj więcéj téj saméj natury. Poświęca ona część swéj swobody dla uzyskania stanowiska. Teraz musi postępować z podwójną ostrożnością, gdyż cześć jéj i godność słabiéj są opancerzone. Sytuacye przedtém zwyczajne, teraz stają się drażliwe, zachowanie więc wobec świata należytych form i pozorów o wiele trudniejsze i wymaga baczniejszéj uwagi. Dlatego też ową nieśmiałość, któréj nie posiada panna, a która wynika z obawy uczynienia fałszywego kroku, znajdujemy u mężatki. Zwykle bywa mniéj przystępna a do żartów mniéj pochopna. Coś nieokreślonego w jéj obejściu daje ci natychmiast odczuć, że oddziela was nieprzebyta przepaść godności kobiecéj, któréj najlżejsze dotknięcie świętokradztwu się równa. I okazuje ci to ona zawsze, nawet wtedy, gdy takiego akcentowania najmniejszéj nie ma potrzeby. Na Francuza tak bezbarwna śmiałość panny, jak niepotrzebna (podług niego) pruderya mężatki będą zawsze czyniły wrażenie naiwne i wywoływały uśmiech wyższości, kryjący nieraz w sobie odcień znudzenia.

Moralność kobiety zamężnéj stanowi w ogólnéj kwestyi punkt najważniejszy.

Surowe wymagania opinii publicznéj pod względem prowadzenia się kobiety zamężnéj nie są w Anglii tylko pozorem, lub konwencyą towarzyską. Przeciwnie. Jedną z najwybitniejszych dodatnich stron brytańskich jest owa prawdziwa i niewzruszona moralność żon i matek, stanowiąca podstawę i stałość wszystkich związków społecznych. Samo pojęcie „*home*“, tego ogniska domowego, niby sanktuaryum najlepszych uczuć człowieka, uświęconego solidarnością wszystkich jego członków, samo to pojęcie nie mogło by istniéć i rozprzęgło by się natychmiast, gdyby na jego straży nie stały odwieczne od praojców przekazane zasady dumy rodzinnéj i wiary w konieczność zachowywania tradycyjnych praw religii i obyczajności. I dotychczas konserwatyzm i wytrwałość charakteru Anglików potrafiły zachować w całości wszystkie te skarby i zadatki szczęścia społecznego.

Nieprzystępna godność mężatki Angielki, wolna od wszelkich podejrzeń, wyższa nad wszystek demonizm tego świata, nietykalna i święta, pozostaje w Anglii pewnikiem niepotrzebującym dowodzenia. Ażeby go zachwiać, trzebaby wprzód zgładzić duch angielski.

Trzebaby z gruntu zmienić literaturę, w któréj takie np. utwory, jak powieści Ouidy, nie tyle niemoralne, ile wyzwalające się z pod tradycyi narodowych—bywają ogólnie potępiane. Tu praktyczny zmysł brytański instynktowo przeczuwa jakiś nieznany, ale niebezpieczny zarodek cynicznéj swobody, która jak niewidzialny grzybek zgnilizny powoli stoczyć może najtwardsze drzewo i budowany z niego gmach potężny zniweczyć.

Trzebaby znieść cały system praktyki religijnéj, zamienić obchodzenie niedzieli na tryb świątecznéj zabawy kontynentu, zamiast dążności zachowawczych wlać w dusze Anglików niespokojne pragnienia reformatorskie. Wtedy tylko może znikł by ze świata typ angielskiéj żony—typ ze wszystkich najdoskonaléj urzeczywistniający jednę z wysokich cnót rodzinnych, wierność małżeńską.

K o b i e t a j a w n i e u p a d ł a. Po zaciemnionych ulicach Londynu snuje się jéj postać jak smutne nocne widziadło. Zmrok już dawno zapadł. Potężna, wielka stolica pogrążona w ołowianéj mgle jak w piekle Dantejskiém, w około rozsiane światła niewyraźne i blade. Z latarni gazowych i ze sklepów rozchodzą się one ponurym blaskiem. Angielska *girl* śpieszy do *Leicester squaru*. Tam tłumy jéj podobnych zalegają trotuary i ulice, szukając chleba.

Nie śmiało i grzecznie zaczepia ona na rogu ulicy pierwszego lepszego mężczyznę. Dość jéj parę pensów, ażeby szklanką *ginu* przygłuszyć trawiący ją głód i z przed oczów usunąć straszne wi-

dmo nędzy. Dzisiaj tak jest wyczerpana, a rozpacz jéj uderzać się musi o większą niż kiedykolwiek obojętność przechodniów. Dziwnie się czuje wzruszoną i tajemnym strachem serce jéj bije, gdy ma się zwracać do kogo. Czy widzisz, jak w téj chwili opiéra się o latarnię, chwyta powietrze zmęczoną piersią i nerwowo poprawia ubranie. Wszak te suknie, z wytartych aksamitów i jedwabiów wyblakłych skrojone i świecące ironią zbytku, posiadają ważny dla niéj użytek. Kupiła je za ostatnie kilka szylingów. Trzeba się przecie podobać.

Do tych strojów, które nędzy urągać się zdają, trzeba twarz rozjaśnić odpowiednim uśmiechem i resztką wesołości zapalić oko. Trzeba być ponętną i miłą, tak chce konieczność nieubłagana i jak kamień twarda,—jutro pieniądze być muszą...

Teraz przechodzi ona koło wystawy sklepowéj grocernika i spogląda na wspaniały rząd ćwiartek wieprzowych, na bryły masła, serów i stosy bakalii. Możesz teraz dobrze widziéć twarz jéj oświeconą blaskiem gazowych promieni. Jasna przejrzysta jéj cera, ubarwiona na policzkach gorączkowemi wypiekami, oczy błyszczą się ogniem, który wewnątrz ją trawi, a z rysów jéj tak młodych jeszcze a tak już życiem starganych, wyczytujesz długą i ciągłą wśród ludzi poniewierkę.

Postać téj angielskiéj *girl*, nim jeszcze wzbudzi w tobie wstręt, lub pogardę—już litością ci serce zapełniła.

Podchodzisz do niéj mówiąc „dobry wieczór". Drżącemi wargami oddaje ci przywitanie, i spogląda na ciebie, nie tając radości. Zapraszasz ją na spacer i o los się jéj wypytujesz; dziwny zaiste, ale niezbyt godny zazdrości.

W szóstym czy siódmym roku życia umarła ciotka, która się nią opiekowała i odtąd pozostała sama na szerokim świecie. Nie pamięta wcale, kiedy zaczęła się staczać w otchłań, w któréj się teraz znajduje. Jeszcze maleńką dziewczynką będąc, obracała się wśród najgorszych szumowin społecznych. W tym bezbrzeżnym Londynie, w tym steku wszystkich żywiołów ludzkich, wychowywała się, patrząc tylko jak ostatnia nędza na wielką skalę łączyła się z upodleniem w całych dzielnicach miasta. I to upodlenie czujesz w niéj podczas rozmowy w obojętném opowiadaniu, w spojrzeniu zmęczoném, w bezmyślnym uśmiechu. A jednak w jéj głosie dosłuchujesz się jednéj nuty, brzmiącéj tęskno smutkiem głębokim, jak gdyby duch czysty i niewinny, a bezlitośnie zgwałcony, żałośną skargę zanosił.

Już teraz nie wątpisz, że masz przed sobą jednę z ofiar nieubłaganego szeregu wyników historycznych i ekonomicznych.

Tak to tylko ofiara, to biedna opuszczona istota, która jak tonący brzytwy, chwyciła się jedynego źródła zarobku. To nie zalotnica, którą złe skłonności i chęć łatwego życia sprowadziły z prostéj drogi, to nie hetera kontynentu, upojona powodzeniem młodości.

Setki tysięcy jéj podobnych tułają się wśród murów Londynu. Wszystkie one posiadają mniéj więcéj jednakową historyą życia. Często się zdarza, że młoda dziewczyna, utraciwszy wszelką możność uczciwéj pracy, w rozpaczliwéj bezsilności daje się pociągnąć przykładem innych i przez jakiś czas podziela z niemi hańbiący zawód. Późniéj jednak los ulitowawszy się nad nią, zsyła zbawienną pomoc. Wtedy znów z radością wraca ona do dawnego trybu życia, pracuje w rękodzielnictwie, lub handlu i zdobywa z czasem wszelką szansę wyjścia dobrze za mąż.

Jedném słowem, w Anglii kobieta upadła znaczy—kobieta złamana przygniatającą potęgą nędzy. Oto typ ogólny, z niego składa się wielka masa angielskich prostytutek—reszta zaś odaliski bogate i wesołe stanowią, w porównaniu z Francyą i kontynentem, nieliczny tylko wyjątek.

Szkicując z lekka trzy powyższe typy kobiet, pragnąłem dojść do ogólnego wniosku o zarzucie hipokryzyi, który stał się już banalnym—tak często go powtarzają w krytykach charakteru Anglików.

Ale nie na tém koniec. Sposób pojmowania moralności jest tak wybitną stroną duchowego całokształtu człowieka, że zbadanie tego pojmowania łączy się z koniecznością dokładnego zrozumienia samego gruntu danych charakterów.

Przytoczę więc jeszcze krótką ale niezmiernie ciekawą uwagę o gustach i upodobaniach Anglików w literaturze i sztuce. Przedstawia to bogate bardzo pole do studyum nad filozofią narodu angielskiego i nad jego artystyczném poczuciem—szczególniéj w porównaniu z Francuzami i do ogólnéj charakterystyki Anglków dodaje rys niezmiernie silny. Nie czuję się jednak wprawdzie w możności traktowania téj kwestyi wyczerpująco, ale kilka uwag potocznych i oderwanych może być bardzo na miejscu.

Przyjrzyjmy się tylko warunkom chwili obecnéj.

Jednym z najbardziéj typowych autorów, charakteryzujących kierunek dzisiejszy literatury francuskiéj, jest Paweł Bourget. Otóż dzieła jego nietylko, że nie są lubiane w Anglii, ale nawet wcale nie bywają czytane i faktem jest, że ogół inteligentny

nie posiada zmysłu do pojmowania i odczuwania ich stron dodatnich. Dla czego? Z téj prostéj przyczyny, że duch tkwiący w dziełach Bourgeta jest wprost przeciwny duchowi angielskiemu.

Miałbym w téj chwili ochotę wrócić znów do przytoczonego już wyżéj z Arnolda podziału charakterów, użyję jednak innéj jeszcze klasyfikacyi, ażeby z nowego punktu spoglądać na kwestyą.

W stosunku do przeważających w człowieku właściwości charakteru, rozliczne indywidualności duchowe dadzą się mniéj więcéj podzielić na dwie klasy: ludzi myśli i ludzi czynu. Zachodzące między temi dwoma typami różnice opierają się na różnicy ich wrodzonych popędów moralnych. Jedni przedewszystkiém potrzebują myśléć, kochają się w myśleniu własném, żyją niém, wkładają weń całą swoję duszę i dążą do jak największéj sumienności i bezstronności w wyprowadzaniu teoryi. Są to ludzie, którzy lubią zastanawiać się nad światem nie dla tego, ażeby z wyprowadzonych ztąd wniosków praktycznie skorzystać, lecz dla tego, że wszystko, co ich otacza, zastanawia i pociąga swoją zagadkowością, że nieskończone a pełne tajemnic objawy rozbudzają ich ciekawość, a rosnące ciągle pragnienie badania potęguje się do namiętności nigdy nie zaspokojonéj. Ci ludzie, wskutek koniecznéj potrzeby bezwzględnéj krytyki, nieustannie hamują w sobie wszelkie ślepe popędy do czynów, ich wola wciąż kołysana niemal manią chwiejnych rozmyślań, jak sprężyna, którą na różne targają strony, mięknie i traci siłę elastyczności. Dla nich, przejętych duchem względności, wszelkiego pojęcia i wszelkiéj prawdy—czyny ludzkie nie mogą miéć téj wagi, jaką posiadają one dla ludzi nie przekraczających duchowo granicy celów praktycznych. Zresztą od urodzenia już nie leży w ich naturze potrzeba działania. Ci ludzie mają czas wyrobić w sobie subtelność myśli i uczucia i dla nich osobiście owa subtelność ważniejsza jest od wszelkich innych spraw świata tego. Z tego punktu widzenia sądzą oni życie i na niém opierają swoje upodobadania.

Wszędzie szukają pokarmu duchowego dla umysłu i artystycznego poczucia i obojętnie omijają to, co treści téj jest pozbawione, wszystkim tym rzeczom przyznając wartość (jeśli ją przyznają) raczéj głową niż sercem.

Inna zupełnie jest psychiczność ludzi czynu. Im nieznane są rozkosze, jakie dać mogą człowiekowi raptowne błyski myśli subtelnych, wstrząsające ducha iskrą tajemną i przenoszące go w wyższe nieznane światy. Oderwane teorye i systematy filozoficzne mogą przez nich być pojmowane logicznie, ale zawsze jakby mgła nie uchwytna i przejrzysta pozbawione, będą w ich oczach życiowego znaczenia i wagi rzeczywistéj.

Istota ich cała przejęta jest za to czémś zupełnie innem: oto czują w sobie niewyczerpany zapas sił do walki i mocą ich pchani przedzierają się naprzód przez tysiączne przeszkody, po ciernistéj drodze życia, pełni zapału, rozgrzewani oporem, żądni zwycięstwa. Wola, wyrabiająca się w téj szkole, przygłusza głos krytycyzmu i ujarzmia rozum, każąc wierzyć mu w cel raz przezeń wytknięty. Wśród nieubłaganych warunków sumiennego wypełniania obowiązku, pokonywającego zarodki innych upodobań człowieka całą siłą konieczności realnéj—powstają ludzie nie subtelnéj myśli i wyrafinowanego gustu ale ludzie „wytrwałości i zasad“.

Pierwszy typ, przez nas opisany, przeważa dziś w literaturze francuskiéj—drugi w angielskiéj i dla tego szczególniéj ogółowi smakującemu w drugim, trudno jest zrozumiéć pierwszy.

Sztukę dla sztuki uprawiać może tylko człowiek nie posiadający żadnych wyższych nad nią celów—i przyznać musimy, że wtedy tylko powstać może prawdziwa sztuka. Tam, gdzie po nad nią stoi zasada codziennéj pracy i etycznych przekonań, tj. powiédzmy lepiéj—tam gdzie będzie sztuka naginana do pewnych celów pobocznych, czy to moralnych, czy téż utylitarnych—tam zawsze będzie miała skrzydła podcięte, tam nie dosięgnie ona szczytów, jéj tylko dostępnych.

Płody literatury, o ile są jednocześnie płodami artyzmu, nie powinny ujarzmiać polotu swego innym celem, jak celem samego artyzmu. Gust Anglików w literaturze do dziś dnia zdaje się zadawalniać kierunkiem typowo wyrażonym w odwiecznéj powieści „Robinsonie Kruzoe“ lub w znanym utworze Goldsmitha „Wikary z Wakefield“. Powieści angielskie lubią pokazywać nam obrazowo, jak człowiek wytrwały dochodzi do celu, nie zrażając się żadną przeciwnością, jak potrafi zasmakować w wypełnianiu obowiązku, jak złe namiętności prowadzą do zguby; powieści angielskie lubią pouczać nas tysiącami przykładów, bogactwem nagromadzonego materyału, skrzętnie żebranemi obserwacyami psychologicznemi; pisarz angielski pragnie na kartach swego dzieła pomieścić drogocenne zdobycze dłuższego doświadczenia, pragnie obeznać czytelnika z rozmaitością życia, rozświecić jego umysł szerszym poglądem, wykształcić serce delikatnością przedstawianych uczuć, jednem słowem, pragnie on dołączyć jakąś cząstkę do wartości duchowéj czytelnika, i pisarz angielski nieraz dosięga swego celu. Zapomina tylko o jednéj rzeczy—o najważniejszéj w dziedzinie artyzmu—o zajęciu czytelnika posiadającego smak prawdziwy i znawstwo formy. A jeśli nie zawsze całkowicie zapomina, to często nie dość o tém pamięta. Nie można mu się jednak zbytnio dziwić, gdyż podobne zapomnienie rodacy mu z łatwością przebaczą.

Dla wyrażenia kierunku panującego przeważnie w dzisiejszéj literaturze francuskiéj dobrze jest przytoczyć poniższy ustęp, wyjęty z dzieła Bourgeta „*Essais de psychologie contemporaine*“. Łatwo zeń pojąć będzie można, dla czego Bourgetowskie powieści nie mogą przypaść do gustu Anglikom.

Wyrazem „upadek“—powiada Bourget — przywykliśmy oznaczać taki stan pewnego społeczeństwa, w którém znajduje się zbyt wielka liczba osobników, niezdolnych do wspólnéj pracy. W społeczeństwie, pojętém jako organizm, osobnik stanowi komórkę socyalną. Ażeby organizm w całości funkcyonował z należytą energią, potrzeba by składające je oddzielne ustroje również energicznie funkcyonowały, ale żeby zarazem swą dzielność podporządkowywały celom ogólnym całego organizmu. Dla otrzymania energicznéj działalności tych organizmów drugiego rzędu, potrzeba téż ażeby komórki składające je, funkcyonowały także z odpowiednią energią, również podporządkowaną celom tych drugorzędnych organizmów.

Z chwilą gdy energia komórek zaczyna być niezależną, organizmy składające ustrój w całości również przestają podporządkowywać swą energię, działalność całego organizmu i powstająca ztąd anarchia wyraża upadek danego ustroju.

Organizm społeczny nie wyzwala się z pod tych praw i w miarę, jak życie indywidualne rozwija się nadmiernie pod wpływem dobrobytu i dziedziczności—chyli się ku upadkowi.

Przy ocenianiu powyższego pojęcia upadku, krytyka znajdować się może na dwóch różnych punktach zapatrywania.

Jedni, naprzykład badając historycznie upadek państwa rzymskiego, mogą zmierzyć ówczesną siłę dzielności społecznéj i zaznaczyć jéj niedostateczność. Społeczeństwo pewne trwać może tylko wtedy, gdy posiada możność wytrwałéj walki o byt w powszechnéj konkurencyi rasowéj.

Potrzeba, ażeby owe społeczeństwo wydało na świat wiele zdrowych dzieci i postawiło dostateczną liczbę dzielnego żołnierza. W tych dwóch formułkach ukrywa się klucz wszystkich cnót prywatnych i obywatelskich.

W państwie rzymskiém rodziło się dzieci stosunkowo zbyt mało, wojsko narodowe nie wystarczało. Obywatele niechętnie przyjmowali na się obowiązki ojcowskie.

Niewygodne i prostacze życie wojenne raziło ich i odstręczało. Na téj zasadzie, krytyka dochodzi do ogólnego wniosku, że subtelne znawstwo rozkoszy, sceptycyzm dystyngowany, nadczułość nerwowa, chwiejność dyletantyzmu były dla państwa rzymskie-

go plagami społecznemi i mogą w następstwie służyć jako przykład dla innych narodów. Tak dowodzą politycy i moraliści, których przedewszystkiém obchodzi stopień siły i wytrzymałości, jakie dany mechanizm społeczny posiadać powinien.

Inny będzie sposób zapatrywania się krytyka niezależnego od pewnych celów społecznych. Jeżeli w epoce upadku, obywatele niżéj stoją jako pracownicy na polu wielkości narodowéj, to czy nie bywają o wiele wyżsi jako artyści i ludzie o bogatéj i urozmaiconéj treści duchowéj.

Jeżeli brak im dzielności w życiu publiczném lub prywatném, czy wzamian za to nie posiadają mistrzowskiego talentu samotnego myślenia? Jeżeli niezdolni są do poświęceń i umartwień głębokiéj religijności, to czyż przyczyną tego nie jest ich zbyt wydoskonalona inteligencya, która pozbyła się wszelkich przesądów i wszystkie idee kolejno przeszedłszy, doszła do tego szczytu tolerancyi, uprawniającéj każdą doktrynę i wykluczającéj wszelki fanatyzm.

Najcięższy zarzut przeciwko społeczeństwom upadku jest, że nie posiadają jutra i że w końcu stają się ofiarą barbarzyńców.

Ale czyż nie jest to fatalny los wszystkiego, co wykwintne i rzadkie, że nie może ostać się wobec siły brutalnéj.

To samo powiedzieć można o literaturze w epoce upadku. Nie posiada ona jutra. Przeobraża ona styl w sposób dziwaczny i wprowadza subtelne wyrażenia, niejasne dla przyszłych pokoleń. Za lat 5o styl braci Goncourt pojmowany będzie tylko przez specyalistów. „Lecz mniejsza o to!“ — mogą odpowiedzieć zwolennicy teoryi upadku. Czyż celem pisarza jest postawić raz na wszystkie wieki kandydata do powszechnych wyborów ludzkości. My smakujemy w tém, co wy nazywacie zepsuciem stylu i w tém zepsuciu razem z nami smakują wykwintni znawcy naszéj rasy i naszego czasu.

A może nasza wyłączność jest pewnego rodzaju arystokracyą. Wiarę w nieśmiertelność dziś za dziecinną uważać można, gdyż zbliżamy się do czasów, kiedy pamięć ludzka upadnie pod brzemieniem nieskończonéj ilości książek i niezdolna będzie oddać pisarzom należytéj sławy. Nielogicznością byłoby zrzekać się z tego powodu osobistych rozkoszy intelektualnych. Lubujmy się więc własną naszą indywidualnością ideałów i formy, choćby z narażeniem się na całkowite prawie osamotnienie. Za to ci, którzy przyjdą do nas, prawdziwie zbratani będą z nami duchem, a czyż warto dla innych, dla obcych poświęcać nasze najskrytsze, ukochane skarby wewnętrznego życia, tyle razy wypieszczone i tak serdeczne odczute!

Któż czytając powyższe wyrazy, z głębin silnie czującéj duszy wydarte, nie dozna pewnego wzruszenia, choćby nawet osobiście bourgetowską tendencyą potępiał.

A jednak śmiałbym przypuszczać, że przeciętny Anglik doczytałby je z całkowitą obojętnością. Wrażenia w nich objęte, zapożyczone są ze światów dla niego nieznanych, a mieszcząca się w nich subtelna tęsknota duchowa nie poruszała nigdy jego serca, nieczułego na tysiączne odcienie zjawisk zaledwie uchwytnych.

Jeżeli zechcemy porównać typowe właściwości stylu angielskiego i francuskiego, znajdziemy i tam mniéj więcéj analogiczne objawy.

Styl francuski chwyta się największéj przesady, aby tylko być dobitnym, aby błyszczącą przeciwstawnią zadziwić i wzruszyć czytelnika i śmiałym kontrastem grać rozkosznie po nerwach jego; angielski odznacza się bogactwem, dokładnością szczegółów i malowniczością rodzajową: tu występuje poeta epiczny, w którego duszy wielkość i rozmaitość świata, jak w zwierciedle odbija się z całą wiernością barw realnych. Pisarz usuwa się z osobistością swą na drugi plan, z niéj nie czerpie odpowiedniego kolorytu i w dążeniu do realności staje się téjże realności sługą.

I dowcip francuski różni się od angielskiego — o ile pierwszy jest elegancki, nieuchwytny i swawolny, o ile potrafi być „*piquant*“ w dobrym rodzaju—o tyle znów angielski da się porównać do gwałtownego uderzenia lub homerycznego śmiechu. Przebija się w nim często zaciętość, a także dobroduszna wesołość lub niewinna jowialność. Anglika łatwo rozśmieszyć dość banalną uwagą, za to trudniéj mu pojąć ulotność komizmu francuskiego.

A teraz jeszcze krótka uwaga o artystycznych upodobaniach Anglików. W kwestyi téj uderza nas przedewszystkiém fakt dość dziwny, a mianowicie uboga bardzo liczba wybitnych przedstawicieli sztuki.

W dziedzinie muzyki nie posiadają Anglicy podobno ż a d n e g o mistrza nieśmiertelnéj sławy. Ktoś dłużéj mieszkający w Anglii, łatwo dochodzi do wyjaśnienia sobie téj okoliczności. Na fortepianach, które jako sprzęt niezbędny i potrzebny do komfortu, znajdujemy w każdém mieszkaniu bez wyjątku, modrookie *miss* wygrywają dla popisu „kawałki“ niesmacznie dobrane, często bez natchnienia, a zawsze grane bez czucia. Na ulicach słyszy się śpiewki narodowe, monotonne i bezduszne, pozbawione ognia i typowych motywów.

Dźwięk ich jednostajny i ckliwy, rozlewa się w wilgotnéj atmosferze i przygnębiająco kładzie się na duszy człowieka, przywykłego do piosnek wyrazistych i zgrabnych.

Można w księgarni przerzucić setki nut angielskich i nie znaleść ani jednego utworu, zdradzającego choćby iskierkę talentu. Jednėm słowem, śmiało twierdzić można, że u Anglików poczucie muzykalne słabo jest rozwinięte.

Co do malarstwa, to z nielicznym wyjątkiem ludzi o prawdziwém natchnieniu artystycznėm, jak Turner — reszcie przedstawicieli téj sztuki brakuje niezależnego polotu i z większości płócien, jakie się spotyka, wnosić można, że ich twórcy nie posiadali duszy z gruntu artystycznéj.

Zwykle przejęcie się zbytnie pewnym celem pobocznym, obciąża skrzydła malarza.

Albo pragnie on widzom uwydatnić wstrętną stronę grzechu— i wtedy przedstawia twarze zohydzone pijaństwem i patrzące wzrokiem najgorszego upodlenia. Na czole i na policzkach, aż do złudzenia uchwycone zmarszczki brudne i czerwonawe wypieki; rozmaite odcienia kolorów niewyraźnych i zgniłych, tysiączne szczegóły nieubłaganie prawdziwe, wśród których nawet zatęchła atmosfera nędzy zdaje się przemawiać do zmysłu powonienia. Jednėm słowem, realność naga i odarta z szat artystycznych, tak jak sobie tego życzył artysta, wzbudza wstręt i zgrozę. Zapomnąć trzeba, że się ma przed sobą dzieło sztuki i odchodzi się od obrazu, z uczuciem człowieka opuszczającego progi szynkowni londyńskiéj ostatniego rzędu, gdzie pozbawione wszelkich uczuć ludzkich, potwory moralne zbierają się dla wspólnéj orgii.

Jeżeli roślinność lub zwierzęta, stanowią przedmiot obrazu, to dokładność w ich wykonaniu nieraz tak bywa wielką, że daje możność botanikowi lub zoologowi studyować na nich odmiany i gatunki stworzeń organicznych.

Tak więc i tu, jak wszędzie, jak w powieściach i romansach, przeważa jedna tendencya: bogactwo pouczającego materyału; a przy téj tendencyi prawdziwa muza stojąc na uboczu opuszczona i zapomniana, smętne pochyla oblicze.

„*Il ne faut pas demander au jasmin le parfum de la rose*". Krytykując Anglików, nie szukajmy w nich daremnie tych stron sympatycznych, jakie znaleźć możemy u narodów o żywszym temperamencie, subtelniejszéj myśli i rozpieszczonėm odczuwaniu. Bijmy za to czołem przed wysokiemi zaletami ich charakteru, przed rodzimém ich poczuciem moralności, prawa i słuszności.

Objawy hypokryzyi zarzucane im są tylko pozorne. Pod wpływem surowego sądu opinii publicznéj słabsze charaktery, grzesząc,

zmuszone są ukrywać się, gdyż pojmują wyraźnie, że nie powinny drugim dawać złego przykładu. We Francyi przeciwnie — z wieloma postępkami, godnemi potępienia, nietylko się nikt nie kryje, ale chwali się i rozgłasza je z przyjemnością.

Każdy przyzna, że pod tym względem pewna doza „angielskiéj hypokryzyi“ bardzoby była zbawienna.

Mniéj jest w Anglii umysłów subtelnych, to prawda, ale posiada ona wielu ludzi o niezmiernie delikatném poczuciu moralném. We krwi najbiedniejszego robotnika płynie zarodek dążności do urzeczywistnienia w człowieku ideału dżentlmena, z pojęciem którego ściśle związane są pojęcia nieskalanéj prawości i słownego, punktualnego postępowania.

W tym szarym, ale potężnym Albionie, życie, pojęte poważnie jako nieubłagany szereg obowiązków, wytwarza ludzi silnych duchem — na ich słowie polegać można, a czyny ich nieraz naśladować warto.

Józef Rosenzweig.





KWESTYA MIESZKAŃ W WARSZAWIE.

VI. Drogi poprawy.

Potrzeba poprawy obyczaju u zamożniejszych—właściwe pole kwestyi stanowi nędza pod względem mieszkań w sferach biedniejszych.—Zkąd ta nędza powstała? Epoka po r. 1870. Spekulacya.—Cechy obecnego stanu rzeczy: drogość mieszkań—brak mieszkań odpowiednich dla uboższych—wadliwość dotychczasowych mieszkań—ciemnota ich mieszkańców. Cztery kierunki poprawy: powiększenie ilości mieszkań, ulepszenie złych mieszkań—zwalczanie ciemnoty mieszkańców — poprawa warunków zewnętrznych bytu w mieście.

Zaznaczyliśmy dwie ujemne strony, które widnieją w naszém życiu społecznem, jedna niezależnie od drugiéj.

Pomimo różnorodnéj natury objawów, obadwa przynoszą niewątpliwie społeczeństwu szkodę, zarówno materyalną jak i moralną. Próbowaliśmy przybliżenie określić straty z powodu chorób i nadmiernéj śmiertelności i wypadła nam kwota 3½ mil. rubli rocznie. Nie mniéj pewno strwonią zamożniejsze warstwy przez wadę, o któréj była mowa, a któż obliczy straty moralne, wypływające z nędzy mieszkaniowéj biédaków i nieopatrznego urządzenia mieszkań zamożniejszych, albo inaczéj mówiąc, z demoralizacyi u dołu, i z pogoni za uciechą u góry? Jak wiele, trudno powiedzieć, ale to pewna, że tkwią w tych objawach czynniki rozkładu i upadku, które zatruwają nasz organizm społeczny. Nie można téż pozostawiać rzeczy dalszemu ich biegowi, nie troszcząc się o maluczkich, choć ich biéda zjada, i przyklaskując zawsze bezrządowi bogatszych. Gdy jednak natura obu zaznaczonych wad jest różna, więc téż każda z nich wymaga całkiem odmiennego oddziaływania, stosownie do swych właściwości i charakteru. Ztąd zachodzi potrzeba mówić oddzielnie o sposobach poprawy dla jednéj, oddzielnie zaś dla drugiéj.

Co się tyczy złego urządzania mieszkań u zamożniejszych, to nie wiele mamy do powiedzenia. Rada jest prosta i krótka. To urządzanie się stanowi objaw szkodliwego obyczaju, polegającego na nadmiernéj gotowości do zabawy i rozrywki, a reformy obyczajowe przeprowadzają się przez walkę z przesądem. Trzeba więc pisać i mówić, trzeba odsłaniać błędy, rozważać je i wyjaśniać, wykazywać skutki złego, i ujawniać korzyści zmiany, jedném słowem trzeba dyskusyą publiczną budzić i myśl poczciwą krzewić.

Innéj rady nie ma. Kto nie usłucha, a szarpiąc siły na zbyteczny pokój bawialny i zabawy, swój byt materyalny podkopie, poniesie słuszną karę za błędy ekonomiczne i sam sobie winę przypisze. Za marnotrawnego, nikt oszczędzać nie będzie, ani mieniem jego rządzić nie potrzebuje. Ludzie nieraz z własnéj winy giną, ale niech błędy marnotrawstwa nie doznają pobłażania, niech opinia publiczna wyrzecze śmiało potępienie zbytecznych bawialni i zabaw.

Właściwe jednak pole do eksperymentów społecznych w kwestyi mieszkań leży w sferze poprawy bytu klas niezamożnych. Do tego celu skierowane są wszystkie usiłowania ludzi dobréj woli, którzy się tą sprawą gdzieindziéj gorliwie zajmują, i na tę stronę kwestyi chcę zwrócić baczniejszą uwagę.

Moglibyśmy tutaj powtórzyć zapytanie: co robić? Zanim jednak przejdziemy do odpowiedzi, potrzebujemy wprzód wyjaśnić sobie, skąd i jakim sposobem powstawała panująca dziś u nas nędza mieszkań, i jakie są właściwe jéj znamiona? Inaczéj mówiąc, powinniśmy zbadać charakter zjawiska, jeżeli chcemy wykryć stosowne środki zaradcze.

Mieszkania dla klas pracujących w Warszawie nie przedstawiały się zapewne nigdy w zbyt różowém świetle (1). Warszawa nie odznaczała się pochopnością do inowacyi w kierunku budowlanym, a ulepszenia i dogodności, praktykowane gdzieindziéj, po-

---

(1) O zaniedbaniu miast w dawnéj Polsce i przyczynach tego zjawiska podaje ciekawe wskazówki Surowiecki w pracy: „O upadku przemysłu i miast w Polsce". Pouczające również szczegóły o stanie miast, a w szczególności Warszawy, znajdujemy w podróżach cudzoziemców Bernoulli'ego i Biestera, którzy w drugiéj połowie zeszłego wieku kraj nasz odwiedzali. Biester pomimo pochwał nad ówczesną Warszawą (r. 1791) notuje jednak, że obok wspaniałych pałaców rozpościerały się nędzne domki, a widok obdartych żebraków przejmował zgrozą. Kontrast bogactwa panów i nędzy pod względem mieszkań u dołu nie uszedł uwagi obu podróżników. (Liske. „Cudzoziemcy w Polsce" str. 217, 280, 293. Porównaj także str. 96, 98, 276. 312 i 316 do 318). Potwierdzenie tego znajdujemy w książce Sobieszczańskiego p. t. ,,Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu Warszawy", a to na podstawie świadectw innych podróżników, jak anglika Wiliama Coxe'a, francuza Fortia de Piles, i niemca Sirissa—str. 128—133.

woli, bardzo nawet powoli przedostawały się do naszych domów. Do téj pory stoimy pod tym względem o całe niebo niżéj od miast Europy zachodniéj, o czém krótka obserwacya przekonać mogła każdego, kto zwiedzając inne miasta zadał sobie pracę zrobienia porównania.

Ale, jak już wspominaliśmy, pogorszenie znaczne w bycie warstw niezamożnych nastąpiło właśnie w ostatnich czasach, poczynając od r. 1868, gdy współcześnie ludność miasta powiększyła się prawie w dwójnasób. Pobudowanie dróg żelaznych, połączenie wszystkich okolic kraju z Warszawą, skoncentrowanie ruchu przemysłowego i handlowego, wszystkie te okoliczności zaczęły ściągać do Warszawy masy ludzi z różnych stron dla zarobku, na którym gdzieindziéj zbywało.

Z roku na rok napływały tysiące nowych jednostek, zwiększając ludność miasta. Przybysze potrzebowali gdzieś się pomieścić, szukali mieszkań, a że miasto w nadmiarze ich nie posiadało, więc wzmogła się konkurencya, rosnąc nieustannie i sprowadzając prawdziwą pogoń za mieszkaniami, o które wtedy trzeba było starannie się dobijać. Zwiększone zapotrzebowanie obudziło wprawdzie ducha spekulacyi, budowano nowe domy, przez lat kilka nawet bardzo wiele, zawsze jednak nie tyle, ile przyrost ludności tego wymagał, czego dowodem stały wzrost cen na mieszkania, pomimo gorączki budowlanéj i przez cały czas jéj trwania. Jeszcze lepiéj o tém przekonywa ta okoliczność, że drobne zachwianie cen, jakie ma miejsce w ciągu ostatnich dwóch lat, przyszło nie podczas największego ruchu budowlanego, ale przeciwnie znacznie późniéj po ustaniu takowego.

Niektórzy zbyt pochopnie cieszyli się z rozrostu miasta, nie licząc się dobrze z charakaterem zjawiska, właściciele domów i placów zacierali ręce wobec błogosławionych czasów, które dla nich przyszły, a tymczasem stosunki układały się jak najgorzéj. W ciągu krótkiego czasu, gdy posiadacze nieruchomości podwoili lub potroili swe dochody i podnieśli wartość swych domów i placów, wieloliczna biédniejsza ludność zmieniła mieszkania na gorsze, zaludniła suteryny, ograniczyła zajmowane przestrzenie i zaczęła cisnąć się bardziéj niż kiedykolwiek na nędznych barłogach (1). Wprawdzie zyski właścicieli wyraźnie dają się spostrzegać tylko tam, gdzie realność nie zmieniła posiadacza. W większości wypadków zyski rozdzieliły się podczas przechodzenia nieruchomości z rąk do rąk pomiędzy chwilowych posiadaczy i spekulantów, któ-

(1) Patrz wyżéj str. 317.

rzy z zarobkiem domy odprzedawali. Czy tak, czy owak, garstka ludzi w danéj chwili dosyć dużo zarobiła, i to stanowi całe miłe wspomnienie owéj błogiéj chwili, główny zaś skutek odbija się ciągle na całéj ludności pod postacią podniesionego komornego, które odtąd wszystkich dotyka i dotykać nie przestanie.

Nie ulega wątpliwości, że motorem gwałtownéj zwyżki była spekulacya, umiejętnie wyzyskująca niespodziewany na mieszkania popyt (1); ale słuszność nakazuje przyznać, że inne czynniki mogły tu współdziałać, jak podwyższone podatki lub obniżka wartości pieniędzy papierowych po wojnie tureckiéj. Skutkiem upadku waluty wszelkie przedmioty na rynku ekonomicznym drożały, a więc i mieszkania uległyby podrożeniu, chociażby nawet żadnéj spekulacyi nie było; podrożenie to jednak nie przybrałoby tak wielkich rozmiarów, jak to miało miejsce, musiałoby się ono zaniknąć w granicach zmniejszonéj wartości rubla i prawdopodobnie nie przekroczyłoby 25% do 30% na cenie, bo taka różnica z porównania kursu rubla z r. 1868 z kursem z r. 1882 wynika. Podatki, choć nie tak wiele, mogły jeszcze cokolwiek przyczynić się do podniesienia cen. Wszelka jednak dalsza podwyżka w warunkach zmienionego popytu i podaży na mieszkania znajduje swoją przyczynę i wytłómaczenie.

Tak więc pierwszą charakterystyczną cechę naszych obecnych stosunków stanowi nadmierna drogość mieszkania. Już poprzednio wykazałem, że cena izby w Warszawie dorównywa prawie cenom paryskim, a przewyższa znacznie londyńskie i innych miast, co uważać należy za zjawisko anormalne. Dodać jeszcze muszę, że kiedy statystyka z r. 1868 notowała przeciętną cenę l o k a l u w Warszawie na sumę rs. 118 k. 28 (2), to w lat 14 późniéj cena jednego p o k o j u wynosiła bez mała tyleż, bo rs. 100. Skutkiem tego podrożenia, robotnik nawet pracowity i zdolny, nie jest w możności posiadania jako tako ludzkiego mieszkania (3). Dla zdrowia

---

(1) I dziwić się trzeba doprawdy temu samolubstwu, z jakiém właściciele domów dzisiaj opierają się przeciwko ofiarom na rzecz kanalizacyi, tak dla miasta potrzebnéj. Zaledwie odnieśli olbrzymie korzyści na swych realnościach i dochodach, kosztem całego miasta, aliści już o tém zapomnieli.

(2) Zalęski *l. c.* str. 10.

(3) Zarobek robotnika zdolnego można oznaczyć w Warszawie na rubla dziennie, co daje na miesiąc po strąceniu niedziel i świąt rs. 25. Otóż, porównawszy podobny zarobek z ceną pokoju rs. 100 rocznie, czyli rs. 8 k. 33 miesięcznie, wypadałoby robotnikowi wydać trzecią część swego zarobku na samo mieszkanie, aby z reszty tj. z rs. 16 k. 66 opędzić wszelkie potrzeby swoje i rodziny. Oczywiście, że nie jest on w stanie tego uczynić. A cóż dopiero mówić o tych, którzy rubla dziennie zarobić nie są wstanie! I ztąd to powstają gromadzenia się różnych rodzin w jednéj izbie, podnajmy, lub wreszcie gnieżdżenie się po suterynach i poddaszach, gdzie można taniéj dostać pomieszczenie.

i życia swego i rodziny, powinien on mićć przynajmniéj jedną zdrową izbę, a środki na to nie pozwalają. Zachodzi tu kolizya pomiędzy jego zarobkami, a cenami mieszkania, któréj przyczynę łatwo zrozumiéć.

Kiedy nadmierne ilości ludzi zbiegały się rok rocznie dla zarobku do Warszawy, rosło zaofiarowanie rąk do pracy, cena jéj nie mogła się podnosić, a przynajmniéj nie mogła podnosić się tak znacznie, jak drożały mieszkania! Chociaż skutkiem zwiększonego ruchu, mogło być więcéj pola do pracy, to jednak nadmierny napływ ludzi moderował zwyżkę zarobków, komorne zaś naodwrót rosło w miarę tego przypływu w stosunku równoległym do niego, a nawet znacznie wyższym jeszcze. I ustaliły się zarobki umiarkowane, przy cenach nadmiernych lokali, a może innych potrzeb życia. Ta niedogodność pomiędzy stopą zarobków a ceną mieszkania stanowi prawdziwą klęskę dla bytu klas pracujących. Drugą cechą charakterystyczną obecnego stanu rzeczy jest brak mieszkań, i związane z nim przeludnienie takowych, to znaczy, że nie ma takiéj ilości mieszkań, jakiéj potrzeba dla ludzkiego pomieszczenia licznych warstw biedniejszych. Wprawdzie mógłby kto zarzucić, że jednak wszyscy się mieszczą i żyją, a nawet statystyka notuje zawsze pewną ilość mieszkań niezajętych. Zarzut taki nie byłby słuszny. O ile dotyczy mieszkań wolnych, które dla ludzi biédniejszych zostały jakoby przeznaczone, są to powiększéj części siedziby jak najgorsze, odstraszające swojemi brakami, i dla tego nie zajęte (1), mieszkania zaś zajęte nie odpowiadają potrzebie, ludność się w nich gnieździ nad miarę, i gdyby chciéć potrzeby jéj w sposób znośny zaspokoić, należałoby nabudować niemało jeszcze domów w różnych punktach i oddać do użytku ogólnego.

Trzecią cechą charakterystyczną jest powszechna wadliwość mieszkań przeznaczonych dla téj kategoryi lokatorów. Z niewielkiemi wyjątkami, mieszkania te znajdują się w stanie opłakanym. Właściciele domów najmniéj okazują dla nich dbałości, nie odnawiają ich, rzadziéj niż gdziekolwiek indziéj przedsiębiorą jakiekolwiek reparacye, chociaż właśnie powinnoby się dziać na odwrót, bo gdzie ciasnota, tam więcéj potrzeba staranności dla utrzymania porządku. Ale tém sobie głowy nikt nie zaprząta, biédak musi poprzestać na tém, co mu dają, ani właściciel ani rządca jego nie wiele na reklamacye ludzi z téj sfery zwracają uwagi. Ztąd to z mieszkań, początkowo dość znośnych, wytwarzają się z czasem

(1) Niezajętych tego rodzaju na poddaszach było 487, w suterynach 339. — Rezultaty, cz. II, str. 81.

prawdziwe jamy, *slums*, jak mówią Anglicy, pełne brudu i plugastwa, siedliska chorób i niezdrowia. Nakoniec, czwartą przyczyną złego jest ciemnota samych mieszkańców, którzy żyjąc apatycznie, zaniedbują swe mieszkania, przyzwyczajają się do nieporządku, nie dbają o czystość, nie przewietrzają izb, bo nie rozumieją znaczenia powietrza dla życia i zdrowia.

Wykazawszy przyczyny złego, postarajmy się wyjaśnić sobie, w jakich kierunkach należałoby działać na poprawę panującéj nędzy.

Drożyzna mieszkań jest pewnikiem. Następstwem tego bezpośredniém jest przeludnienie w biédnych mieszkaniach, bo biédni nie mają środków dla pokrycia wysokiego komornego. Ale, ani ceny mieszkań obniżyć, ani zarobków klas pracujących podnieść gwałtem nie można. Ekonomiczne prawo żądania i zaofiarowania rządzi cenami, i napróżnoby się ktokolwiek kusił zadać kłam temu prawu lub postawić przegrodę na drodze jego działania. Zapotrzebowanie na mieszkania jest wielkie, bo warstwy biédniejsze stanowią wielką liczbę, mieszkań dla nich jest mało, a przytém są złe, że jednak potrzeba musi być zaspokojoną, pod gołém niebem żyć nie można, więc liche mieszkania dostają lokatorów, którzy jeszcze duże płacić za nie muszą pieniądze. Gdybyśmy nawet rzucili od razu kilka milionów rubli w ręce biédnéj sfery, na powiększenie mieszkań i ulepszenie takowych, nicby to nie pomogło. Przypuśćmy, że pewna ilość mieszkań lepszych, przeznaczonych dla klas zasobniejszych, zwłaszcza te, któreby były wolne, przeszłaby w posiadanie biédniejszych, w rezultacie jednak zaspokojenie potrzeby dokonałoby się takiemi środkami, jakie istnieją w danéj chwili. Co gorsza, taki eksperyment przyniósłby może szkodę. Zwiększony nagle popyt przy tém samém zaofiarowaniu sprowadziłby podniesienie cen, właściciele domów, widząc wzrastające zapotrzebowanie, nie omieszkaliby z tego korzystać, zaczęliby stawiać wyższe żądania, klasy pracujące nie poprawiłyby swego bytu, lub przynajmniéj bardzo mało, a nakład kilku milionów rubli rozpłynąłby się w kieszeniach gospodarzy i spekulantów, to jest poszedłby na korzyść innéj sfery, a nie téj, dla któréj był zamierzony.

Chcąc naprawdę poprawić byt, potrzeba działać w innym kierunku, trzeba zmienić przedewszystkiém warunki, wśród których prawo ekonomiczne, rządzące światem, ma się urzeczywistnić. Gdyby nagle w Warszawie za dotknięciem rószczki czarodziejskiej wzniesiono w różnych punktach sto domów z mieszkaniami, dopasowanemi do potrzeb biédniejszych, i gdyby te mieszkania zaofiarowano do ich użytku po cenie umiarkowanéj, bez wyzysku, coby

się w takim razie stało? Wtedy przyszłaby prawdziwa i pożyteczna konkurencya. W nowych domach, znaczna ilość ludzi znalazłaby pomieszczenie, a wskutek takiego zaofiarowania, wielu dawniéjszym mieszkaniom groziłaby pustka i wtedy właściciele starych domów opuściliby na cenie i poczyniliby ulepszenia, których poprzednio całkiem odmawiali. Oto prawdziwy sposób przyjścia z pomocą i poprawy fatalnego położenia.

Nie idzie zatém, aby chcieć usunąć prywatną spekulacyę i budowę domów w celach zysku. Bynajmniéj, ta spekulacya jest potrzebna, ona przysparza domów i mieszkań i powiększa zaofiarowanie, a o to właśnie tu chodzi; trzeba więc ją nawet rozwijać i pobudzać do działania, ale pobudzać z pewnym kierunkiem, ku ogólnemu pożytkowi obmyślonym. Wyzyski i pojedyncze objawy téj spekulacyi mogą być karcone, gdy właściciel robi mieszkanie z suteryny, przylegającéj ścianą do miejsca ustępowego, gdy odmawia wszelkiéj, najbardziéj koniecznéj reparacyi, gdy wyzyskuje powodzenie lokatora, wszystko to zasługuje na potępienie; ale bez spekulacyjnego zmysłu rozwój budowlany nie da się przeprowadzić. Ta sama spekulacya, która przed dziesięciu laty wyzyskiwała lokatorów, przysporzyła jednak miastu wiele domów, bez których mogłoby być jeszcze gorzéj, aniżeli jest obecnie. Słowem, nie tamując prywatnéj spekulacyi, należy działać w kierunku powiększenia liczby domów i mieszkań, bo bez tego do poprawy dojść nie będzie można. Oto piérwsza droga (1).

Drugi kierunek powinien miéć na celu usuwanie, a raczéj, mówiąc właściwiéj, poprawianie dotychczasowych złych i wadliwych mieszkań. Trzeba usuwać złe mieszkania nie przez zamykanie ich ale przez poprawianie. Większość mieszkań daje się zawsze udogodnić i polepszyć, przy niewielkim nawet nakładzie, idzie więc tylko o to, aby dać impuls do działania na téj drodze. Zamykanie i znoszenie istniejących mieszkań, chociaż wadliwych, jest niebezpieczne, bo zmniejsza ilość istniejących lokali, zmniejsza zaofiarowanie, a w następstwie przyczynia się do podniesienia ceny na pozostałe mieszkania przy zwiększoném na nie pożądaniu.

Cokolwiekbyśmy mogli powiedziéć przeciwko mieszkaniom suterynowym, to jednak znieść ich, odrazu zwłaszcza, niepodobna; stałoby się to ze szkodą właśnie téj klasy, o któréj dobro chodzi, ograniczając liczbę mieszkań wtedy, gdy trzeba ją powiększać.

Tylko pojedyncze wypadki prawdziwéj zaraźliwości mieszkań mogą usprawiedliwiać zupełne zamknięcie.

---

(1) Tworzenie nowych siedzib mieszkalnych stanowi środek zaradczy tak przeciwko drożyźnie, jako téż też przeciwko brakowi mieszkań.

Pouczające choć smutne doświadczenie w téj mierze zrobiono w Paryżu za Napoleona III. Zaczęto burzyć całemi dzielnicami stare domy z nędznemi mieszkaniami, budując w to miejsce nowe i lepsze. Zdawało się, że ludność na tém zyska, lecz stało się na odwrót. Znaczna ilość mieszkań dla biédniejszych przez zburzenie domów znikła, a w nowych domach, nie wszędzie robiono drobniejsze mieszkania. Z drugiéj strony ruch budowlany wywoływał robotę i ściągał nowe tłumy rąk pracujących do Paryża, wzrosła więc potrzeba mieszkań, gdy współcześnie liczba ich malała. Korzystała z tego spekulacya, ceny mieszkań szły w górę, a byt mniéj zamożnych jeszcze się pogorszał. W taki sposób można wyrzucić miliony bez rezultatu.

Trzeci kierunek działania zwrócić się powinien ku zwalczaniu ciemnoty klas uboższych, krzewieniu rozumniejszych zasad życia, upowszechnianiu wiadomości hygienicznych i t. p.

Nakoniec istnieje jeszcze czwarty kierunek, o którym wspomniéć należy. Mam tu na myśli oddziaływanie na ogólne warunki zamieszkania w mieście, przez zapewnienie mieszkańcom lepszego powietrza, przez dostarczanie zdrowéj wody, przez usuwanie tysiącznych szkód dla życia i zdrowia z nieczystości, nieporządków i t. p. Do kategoryi tych środków należy także ułatwiona dla biédniejszych, tania komunikacya tramwajowa do punktów pracy i do środka miasta.

Kierunek ten nie pozostaje w bezpośrednim związku z przyczynami złych mieszkań dla klas niezamożnych, ale pośrednio gra nader ważną rolę i pominiętym być nie może.

Oto mamy cztery drogi działania.

Zanim wskażemy środki, jakie na tych drogach mogą być u nas przedsięwzięte, rozpatrzmy się w tém, co w tych kierunkach gdzieindziéj społeczeństwa dokonywały i dokonywują.

V. Co zrobiono dla poprawy zagranicą?

W Anglii.—Rozporządzenia prawodawcze. —Towarzystwa budowlane. — *Peabody Buildings.* — Stowarzyszenia robotnicze dla budowy domów. — Polepszanie wadliwych mieszkań.— Miss Octavia Hill i jéj naśladowczynie.—*Ladies sanitary association.* — Rezultaty działalności społeczeństwa angielskiego. — Nowy alarm w r. 1883. — *Royal comission* z r. 1884.—Jéj działalność.—Nowy bil z r. 1885.— We Francyi.—Rozporządzenia prawodawcze. — Działalność samego społeczeństwa. — Ankieta rady municypalnéj w Paryżu z r. 1883.—Nowe projekty.—W Niemczech.—Towarzystwa budowlane.— Stowarzyszenia robotnicze. — Usiłowania indywidualne. — Ruch w innych krajach.— Stowarzyszenie duńskie.—Stowarzyszenia w Filadelfii.

Zacznijmy od Anglii (1).

Początek kwestyi mieszkań dla niezamożnéj ludności w An-

---

(1) Za źródła do tego ustępu służyły mi rozprawy: Aschroth. *Die Arbeiterwohnungsfrage in England.* Plener. *Englische Baugenossenschaften* — i cytowane już książki Sax'a i Chadwick'a.

glii odnosi się do końca trzeciego i pierwszych lat czwartego dziesiątka obecnego wieku. Sprawa wypłynęła na jaw, dzięki pracom ludzi dobréj woli, którzy robili obserwacye w różnych ogniskach życia miejskiego, i ogłaszali zebrane fakta do wiadomości publicznéj, domagając się pośrednictwa władzy i społeczeństwa na korzyść uboższych, a dla dobra ogółu. Wyłaniano wtedy specyalne jedna za drugą komisye, do badania kwestyi w jéj szczegółach i rozgałęzieniach, a rezultaty prac komisyi ułożone w formie stosownych sprawozdań, rozpatrywano następnie na posiedzeniach parlamentu. Najsłynniejsze sprawozdanie, znane pod nazwą *General Report* ułożone przez Edwina Chadwicka w r. 1842 wywołało olbrzymie wrażenie okropnością podniesionych szczegółów i przyczyniło się niemało do wywołania powszechnego zajęcia się tą ważną sprawą.

Już prawa z r. 1834, 1844 i 1848 polecają stosownym urzędom sanitarnym kontrolowanie stanu mieszkań pod względem zdrowotności. W r. 1851 za wpływem czynnym lorda Shaftesbury wychodzi nowy bil zwany *Labouring Classes Lodginghouses Act*, mocą którego nadano gminom miejskim w przypadku skonstatowanego braku mieszkań, prawo nabywania lub wydzierżawiania gruntów, budowania na nich domów dla klas pracujących z możnością zaciągania na to pożyczek pod zastaw miejscowych podatków, oraz z możnością pobiérania zaliczek z funduszów komisyi robót publicznych. Inne prawo, zwane *Torenns act* z r. 1868, i wydane w rozwinięciu jego nowelle upoważniły miasta do znaglania właścicieli budowli z mieszkaniami bardzo opuszczonemi, aby takowe należycie poprawiali pod groźbą zamknięcia domu lub nawet zniesienia go bez indemnizacyi. W dalszym ciągu tak zwany *Cross act* z r. 1875 i dwa uzupełniające bile z r. 1879 i 1882 upoważniają miasta do wywłaszczania niezdrowych dzielnic lub ich części dla otwiérania wolnych przestrzeni lub celem budowy domów dla robotników.

Prawa te jednak przy zastosowaniu w praktyce, napotykają na wiele trudności, co uniemożliwia często ich wykonywanie, tém samém zmniejsza ich wartość i doniosłość.

Praktyczniejszego charakteru były dwa inne bile: jeden z r. 1866, który zapewnił prawo do pożyczek z funduszów publicznych dla wszelkich przedsiębiorstw, choćby ze strony osób prywatnych z celem budowania domów dla sfer robotniczych, drugi z r. 1883, *Cheap Trains act*, zobowiązujący towarzystwa tramwajów i koleje żelazne do urządzania komunikacyi, po znacznie obniżonych cenach, specyalnie dla robotników przed godziną 8-ą z rana, i po 6-éj

wieczorem, celem ułatwienia im drogi z punktów dalszych i podmiejskich do centrów pracy w wielkich miastach. Pożyczek na budowę, o jakich wspomniałem, wydano do téj pory wogóle 2.421.895 funtów szterl., na warunkach opłacania procentu od 3½% do 4½% rocznie.

Śladem téj działalności szły także i zarządy miejskie, czyniąc w miastach rozliczne udogodnienia dla poprawy bytu warstw uboższych, w miarę sił i okoliczności.

Ale najpłodniejszą w skutku była działalność samego społeczeństwa angielskiego, skierowana bezpośrednio do tworzenia mieszkań ulepszonych, i do poprawiania złych, wreszcie do oddziaływania na masy pracujące dla podniesienia ich moralnego. Środki, jakie w tym kierunku, były przedsięwzięte, podzielić można na kategorye.

Na pierwszém miejscu postawić należy towarzystwa budowlane, które rozwinęły nadzwyczajną działalność przy udziale całego społeczeństwa, a przedewszystkiém arystokracyi i ludzi wielkiéj fortuny. Co do czasu powstania najstarsza jest *Metropolitan Association for improving the Dwellings of the industrious classes*, założone w r. 1841. Towarzystwo to pracuje przy kapitale 186,325 f. szter. korzystając nadto z pożyczki publicznéj w kwocie 58.500 f. szter. i prywatnéj 19.500 f. szter. Posiada ono znaczną ilość domów w Londynie ze wzorowemi mieszkaniami, w których znajduje pomieszczenie 1443 rodzin robotniczych, złożonych z 7165 osób. Dywidendy wydaje ono stale 5%, a przewyżki zysków po nad 5% obraca na dalsze nakłady. Przy niskiéj stopie procentowéj, jaka panuje w Anglii, zatrzymywanie procentów wyższych nad 5% wydawałoby się Anglikom, należącym do tego towarzystwa, jakąś niemiłą lichwą, zwłaszcza, że przedsiebierstwo ma na celu dobro klas niezamożnych. Podobnież funkcyonuje inne towarzystwo, zwane *Improved industrial dwelling company*, założone późniéj, bo w r. 1863 dopiero, którego kapitał pierwotny 50.000 f. szter. urósł dzisiaj w dziesięć kroć do 500.000 f. szter. Dostarcza ono zdrowych mieszkań dla 4.971 rodzin a 24.000 osób.

Daléj idą towarzystwa urządzające domy i mieszkania dla warstwy najbiédniejszéj, a więc ze skromniejszym nakładem i za tańszą cenę. Takiemi są: *Victoria Dwellings company*, pod protektoratem królowéj, i od jéj imienia nazwane, i drugie *Catherine Buildings*, założone przez dwóch budowniczych, z początku z kapitałem 50.000 f. szter., który pomału rozszerza się przez wypuszczanie coraz nowych akcyi.

Do téj kategoryi należy wielkie towarzystwo, powstałe za początkowaniem lorda Shaftesbury'ego: *Artizans, Labourer's and General Dwellings company*, które buduje drobne domki dla oddzielnych rodzin, i nie w Londynie ale wyłącznie w okolicach podmiejskich, gdzie grunta są znakomicie tańsze. Towarzystwo rozpoczęło działać z funduszem 250.000 f. szter., który obecnie doszedł do wysokości 1.750.000 f. szter. tj. powiększył się w siedmkroć! Dobroczynne skutki działalności podobnego przedsiębiorstwa wykazują się już z tego, że towarzystwo pobudowało do r. 1885 6.200 drobnych domków, w których odpowiednia ilość rodzin niezamożnych znajduje przytułek.

Kiedy zakładano pierwsze z powyżéj wyliczonych towarzystw, panowało przekonanie, że przedsiębiorstwo nie może przynosić zysków, skoro ma na celu zaopatrzenie potrzeby uboższych. Stało się jednak wręcz inaczéj. Okazało się, że wszystkie tego rodzaju towarzystwa stanowią bardzo dobry interes, przynoszący odpowiedni procent. Ani jedno z tych towarzystw nie zachwiało się i ani jedno z nich nie przynosi mniejszego procentu, jak 5%, przyczém niektóre wykazują wyższy dochód 6% aż do 7% niekiedy. To też kiedy do założenia pierwszego z towarzystw przyczynili się głównie filantropowie zaofiarowaniem pewnych sum, które uważali na wpół za przepadłe, z czasem zwróciły się do tych przedsiębierstw nawet warstwy finansowe, najmniéj do ofiary gotowe. Dzisiaj, te przedsiębiorstwa należą w Anglii do bardzo popularnych, i nietylko, że prosperują, ale jeszcze na ich wzór tworzą się wprost spółki dwóch lub kilku osób i budują domy dla biedniéjszych. Rozumie się panuje w nich więcéj wyzysku a mniéj dbałości o dobro najmobierców mieszkań, mają one jednak tę dobrą stronę, że zwiększają zaofiarowanie mieszkań, co leży w interesie ogółu.

Do kategoryi tego rodzaju towarzystw zbliża się nieco instytucya, zwana *Peabody Buildings*, powstała z zapisów filantropa Peabody, która posiada dziś 17 dzielnic w Londynie z mieszkaniami zdrowemi dla klas pracujących. Peabody przeznaczył dla niéj 500 tysięcy f. szt. a rząd z publicznych funduszów udzielił jeszcze pożyczkę 300 tysięcy f. szter., że zaś dochody z najmu mieszkań wedle woli założyciela idą na przyrost kapitału instytucyi i dalszy jéj rozwój, przeto instytucya rozszerza się, nabywa ciągle nowe domy, przerabia je i poprawia, kupuje place, zabudowuje one tak, że dzisiaj mieści się w jéj budynkach 22.755 osób.

Peabody uczynił zapis w roku 1862, dając w pierwszéj chwili 150,000 f. szt., i dopiero późniéj powiększył tę sumę do pół miliona funtów.

Tymczasem wedle sprawozdania z r. 1885 majątek instytucyi wynosi już dzisiaj 1.300.000 f. szt.

Zarówno ta instytucya, jako też wspomniane towarzystwa i spółki budowlane, ujawniły pożyteczność zespolonéj dla rozumnego celu działalności społecznéj, wydając rezultaty zaiste zdumiewające, o jakich nikt marzyć nie mógł.

W kolei na drugiém miejscu postawić należy stowarzyszenia robotnicze dla budowy domów, *building societies*. Stowarzyszenia te powstają pomiędzy samymi robotnikami, którzy drobnemi miesięcznemi składkami wytwarzają fundusz do pożyczek na kupno lub budowę domów dla swych członków. Pożyczka służy tylko do tego celu, a innego przeznaczenia otrzymać nie może. Domki budują się drobne, wedle zwyczaju angielskiego, w rozmiarach zastosowanych do potrzeb rodziny robotniczéj.

Stowarzyszenia takie bywają terminowe, na pewną ilość lat, z pewną oznaczoną cyfrą członków, któréj nie można przekroczyć, albo téż stałe, funkcyonujące ciągle i zmieniające swych członków przez przybieranie nowych i wychodzenie dawnych, gdyż szranki uważają się za otwarte dla wszystkich, kto do nich zaliczyć się pragnie. Przy rozwiniętém poczuciu samodzielności, cechującéj robotników angielskich, stowarzyszenia te rozwinęły się tak znacznie, że w r. 1871 liczono ich w Anglii około 2000. Z liczby tych stowarzyszeń przeszło połowa, bo 1.024, ogłaszała rezultaty swéj działalności, i na zasadzie tych publikacyi okazało się, że w 1024 stowarzyszeniach znajdowało się członków około 212.000.

Niektóre z tych stowarzyszeń zajmują się same zakupem gruntów, dzieleniem ich na parcele, kanalizowaniem, zaopatrywaniem w wodę, poczém dopiero tak urządzone parcele sprzedają członkom pod budowę domów, przy wydaniu jeszcze funduszu dla ułatwienia budowy. Ta kategorya stowarzyszeń łączy w swéj działalności dwa cele, mianowicie dostarczanie gruntów na domy, i pożyczek budowlanych. Dla odróżnienia te stowarzyszenia noszą nazwę *Land and Building societies*. Największe z nich, *National Land Society*, rozporządzało w r. 1871 środkami tak znacznemi, że aktywa jego wynosiły 113.831 f. szterl.

Inny, a mianowicie trzeci rodzaj poprawy bytu mieszkaniowego widnieje w bezpośredniém polepszeniu złych mieszkań. W tym kierunku nadzwyczajną działalność rozwinęła dzielna kobieta *mis* Octavia Hill, inaczéj nazywana baronową Burdett Coutts i cały szereg jéj naśladowczyń. *Miss* Octavia Hill ogląda i wyszukuje domy zaniedbane, ale przydatne jeszcze do poprawy, nabywa je, urządza mieszkania możliwie zdrowe i dogodne, i wynajmuje biédniéjszéj

warstwie, zapewniając jéj użyteczną a niedrogą siedzibę tam, gdzie napozór było to niemożliwe. Z małym zasobem, prawie bez własnego majątku, przy pomocy innych ludzi rozpoczęła ona swoje operacye, mające na celu dobro maluczkich i podniesienie ich poziomu. Rzeczy układają się w ten sposób, że w nabytym domu robi się nakład dla doprowadzenia mieszkań do porządku, poczém układają się ceny najmu tak, aby przynosiły przynajmniéj 5% zysku od wyłożonego kapitału. Zarobek ten osięga *miss* Hill stale od lat dwudziestu kilku, zwykle z przewyżką po nad określoną stopę.

Ponieważ w grę wchodzą pożyczone pieniądze, przeto filantropka przedewszystkiém, opłaca od nich wierzycielom procenta podług tejże stopy 5%, a resztę obraca na korzyść swych lokatorów, urządzając im czytelnie, zebrania i udzielając w wypadkach wielkiéj biédy zapomogi.

Przedsiębierstwo przez *miss* Hill podjęte posiada dzisiaj 57 budynków wartości 311.767 f. szter., a mieszka w nich 11.582 osób. Wobec świetnych rezultatów i ciągłego a pewnego rentowania się, nie brak chętnych do przyjęcia w nim udziału, znajdują się potrzebne pieniądze i pożyczki w dostatecznéj ilości.

Do pracy swojéj *miss* Hill zaprzęgła cały szereg kobiet ze sfery wyższéj i średniéj swego społeczeństwa, i przygotowała cały sztab osób prowadzących szlachetnie rozpoczęte dzieło. Rozumié się, jest z tém wiele pracy i trudu, sama manipulacya administrowania i ściągania komornego wymaga mozołu. Wedle rozumnego zwyczaju angielskiego, klasy robotnicze płacą komorne tygodniowo (1), co tydzień więc zjawiają się kwestarki do mieszkań swych pupilów i pobierają należności. Te wizyty odbywają się najregularniéj, a przynoszą niemało korzyści dla odwiedzanych. Zazwyczaj przy sposobności biédni lokatorowie spowiadają się ze swych zmartwień i kłopotów, następują rady i objaśnienia, kwestarki wskazują co robić w chorobach, jak radzić sobie z dziećmi, gromią zdrożności i zachęcają do wytrwałości. Pomimo napomnień, jakie połajani muszą nieraz wysłuchać, owe kwestarki chętnie są widziane, a nawet wyczekiwane, niby anioły opiekuńcze, co podnoszą ducha i ratują w potrzebie.

Jak dalece ta działalność w kierunku moralnym się rozwija, dość powiedzieć, że powstało stowarzyszenie pod nazwą *Ladies sanitary association*, z dam londyńskich, mające na celu rozpostarcie

(1) Obyczaj ten należałoby upowszechnić u nas. Jest to bowiem nieuwzględnianiem istniejących stosunków życiowych, gdy robi się umowy miesięczne i układa się ceny miesięczne z ludźmi, którzy tygodniowo lub co dwa tygodnie otrzymują zarobki.

tego rodzaju opieki nad niezamożną ludnością (1). Dodać trzeba, że w towarzystwach budowlanych również upowszechnia się coraz więcéj udział kobiet w charakterze kwestarek. Powstało także inne stowarzyszenie, *Central Sanitary Aid Commitee*, którego zadaniem jest popularyzowanie wśród biédniejszych pojęć moralnych, wiadomości hygienicznych itp. za pomocą odczytów, rozdawania broszur, książek itd.

Ażeby dać wyobrażenie o rozmiarach działalności społeczeństwa angielskiego w tym kierunku, pozwolę sobie przytoczyć kilka cyfr. Nie licząc stowarzyszeń robotniczych, wedle sprawozdań z r. 1885 wspomniane przezemnie przedsiębiorstwa i towarzystwa rozporządzały kapitałem przeszło 6½ milionów funt. szter. posiadały ogromną massę domów i mieściły u siebie 29,643 rodziny, a 146,809 osób (2). Dodać trzeba, że mowa jest tutaj o instytucyach londyńskich, po za obrębem których funkcyonują w różnych punktach Anglii inne z podobnemi zadaniami i celami.

A jaki stąd płynie pożytek?

Zachowując charakter instytucyi ekonomicznych, przynoszących dochód, dostarczają one możliwie tanio zdrowych mieszkań, które są nadzwyczaj poszukiwane i nigdy pustkami nie stoją. Ważniejsze jeszcze znaczenie ze stanowiska społecznego posiada to oddziaływanie, jakie na rynku ekonomicznym przybytek znacznéj ilości nowych mieszkań przynosi. Już pośrednio przez sam fakt swego istnienia spółki te i urządzenia zmuszają prywatnych właścicieli nieruchomości do utrzymania mieszkań w lepszym porządku i do poprawiania braków w złych mieszkaniach, a co ważniejsza, że normują cenę na korzyść biednych lokatorów, nie dopuszczając do zbytniego wyzysku, jakiby niewątpliwie miał miejsce, gdyby podobnéj rywalizacyi nie było. I tém się téż tłómaczy, dla czego w Londynie cena biédniejszych mieszkań jest znacznie tańsza, aniżeli w Warszawie, jakkolwiek to na pierwszy rzut oka wydawałoby się nieprawdopodobném (3). Jakie zaś skutki wynikają dla zdrowia i życia publicznego, okazuje się ze statystyki. Tak np. w domach *Metropolitan Association* śmiertelność wyobraża zaledwie 16 na 1000, gdy średnia śmiertelność w Londynie stanowi 24 na 1000; dzieci do lat 10 tamże umiéra 24 na 1000, gdy wogóle Londyn daje pod tym względem stosunek przeciętny 48 na 1000, to jest dwa razy gorszy. O skutkach moralnych, jużeśmy wspominali, mówiąc o działalności kobiét. Nie potrzeba zaś dodawać, że przystępne co do ceny a schludne i zdrowe mieszkanie przykuwa czło-

(1) Saxe, str. 42. — (2) Aschroth, *l. c.* str. 139. — (3) Patrz wyżéj str 322.

wieka do miejsca, wiąże rodzinę biedaka, żonę, dzieci i jego samego w jedną całość, i odbija się dodatnio na życiu i wychowaniu dalszego pokolenia.

Ale nie na tém koniec.

Życie wymaga ciągłéj obsługi i zachodu, aby przynosiło dobre rezultaty. Kwestya taka, jak kwestya mieszkań, nie kończy się z chwilą zrobienia takiego lub innego pomyślnego kroku. Życie płynie daléj, ludzie się zmieniają, dobre mieszkania niszczeją i upadają, złe na nowo powstają, słowem, praca raz rozpoczęta wymaga dalszego jéj prowadzenia. Rozumieją to Anglicy, i nie spoczywają na laurach, gdy im się raz uda coś pozyskać. Przeciwnie idą daléj, dostrzegają nowe wady, znowu je podnoszą, znowu się niemi zajmują, czyniąc dalsze jeszcze postępy.

Tak samo rzecz się ma ze sprawą mieszkań.

Nie daléj jak w r. 1883 ponownie podniesiono wielki alarm, że w mieszkaniach uboższych zaszły znaczne pogorszenia, które pod groźbą szkody społecznéj wymagają gwałtownéj reparacyi. Impuls do tego ruchu dał lord Salisbury w artykule, jaki wydrukował w listopadzie 1883 r. w *National Review*, zwracając uwagę na pogorszenie mieszkań w niektórych dzielnicach Londynu. Zawtórował mu zaraz lord Chamberlain, drukując w tym samym duchu rozprawkę w piśmie zwaném *Fortnightly Review*, a wnet przyszły wykrycia publicysty Sims'a w *Daily News* w pracy pod tytułem *Horrible London* (1), dziennik zaś *Pall Mall Gazette* urządził ze swoich współpracowników formalną ankietę po różnych punktach wielkiego miasta. Kwestya się rozniosła, nie wahano się obnażyć szczegóły najbardziéj przykre i bolesne, opinia publiczna zwróciła na sprawę swą uwagę, rozpoczęły się powszechne dyskusye, i już w lutym 1884 w parlamencie tenże lord Salisbury zażądał zwołania komisyi dla zbadania sprawy. Książę Walii, który sam osobiście zwiedził najgorsze mieszkania, poparł wniosek i takowy jednomyślnością został zawotowany.

Poczucie ważności sprawy mieszkań przeszło tak dalece w krew i ciało społeczeństwa angielskiego, że nie znalazło się jednego głosu, któryby przeciwko ankiecie zaoponował. Wkrótce potém rozkazem królewskim z d. 4 marca 1884 r. powołano tak zwaną *royal commission*, komisyą królewską, w skład któréj weszli, książę Walii i najwybitniejsi ludzie kraju, jak lord Salisbury, Brownlow, Cross, Goshen, Morley, Dilke i inni.

---

(1) W pracy téj poruszona była kwestya złych mieszkań i związana z nią do pewnego stopnia sprawa niecnego handlu biednemi dziewczynami.

Komisya rozpoczęła swe czynności w siedm dni po rozkazie królewskim i w przeciągu 24 tygodni odbywała najpunktualniéj dwa posiedzenia tygodniowo, przesłuchując ogromną ilość świadków i biegłych, i zbierając materyały, które następnie były porządkowane i drukowane. Gdy się pokazało, że w wielu miejscach rodziny robotnicze posiadają tylko po jednéj izbie, uważano to za zjawisko ujemne, zwłaszcza, jeżeli w rodzinie było czworo lub więcéj dzieci. Ciekawa rzecz tylko, coby mówiono, gdyby wiedziano, w jaki sposób mieszkają biédni gdzieindziéj.

Uznano także panujące w Londynie ceny mieszkań dla biédniejszych za wygórowane, chociaż, jak to już mówiłem, są one niższe od warszawskich.

Żeby pojąć, ile sobie zadano trudu, wystarczy przytoczyć, że zeznania przesłuchanych przez komisyą świadków, objęły 690 stronic druku *in quarto*.

Wogóle podniesiono kwestyę ze wszystkich stron, w związku z administracyą krajową, z moralnością, zdrowotnością itd. Oto jakiemi kwestyami zajmują się wielcy ludzie w Anglii, i w jaki sposób nad niemi pracują!

Rezultatem był bil, zwany *Housing of the working classes act*, uchwalony jako nowe prawo już w r. 1885, który przynosi świadectwo wielkiéj sprężystości narodu angielskiego. W myśl tego nowego postanowienia, powiększono atrybucye urzędów lokalnych w kierunku kontrolowania stanu mieszkań i domów i nakładania kar za uchybienia, utworzono nową instancyą ministeryalną dla decydowania niektórych kwestyi z dziedziny stosunków mieszkaniowych, ale co ważniejsza pozwolono z dóbr i nieruchomości będących pod fideikomisem i jako takich niezbywalnych, odprzedawać grunta na budowę domów dla klas pracujących, pozwolono wydawać nieruchomy kapitał fideikomisowy na pożyczki dla powyższéj budowy, wreszcie postanowiono wynieść z obrębu Londynu daleko po za miasto trzy znajdujące się tam więzienia i otworzyć miejsce, które ma być w przyszłości na dzielnice robotnicze zamienione (1).

Dalsze reformy pozostawiono przyszłości ze względu, że wymagają dłuższéj nad sobą pracy; z wydaniem jednak przytoczonego bilu, pośpieszono się dla tego, aby co rychléj przynieść pewną ulgę w bycie społecznym.

---

(1) Decyzya w tym ostatnim punkcie jeszcze nie zapadła, ale taki jest projekt co do przyszłego sposobu zużytkowania wolnych przestrzeni, jakie po więzieniach pozostaną.

Zdumiewająca ta energia Anglików budzi powszechny podziw; jest ona tak wielka, że żadne inne społeczeństwo nie zdołało ani w części jéj dorównać. Niemiec Aschroth stawia tę działalność za wzór swoim ziomkom, a dawniéj jeszcze Huber wygłosił to pamiętne zdanie, że należy porzucić wygodną formułkę, jakoby Niemcy nie mogli się niczego od Anglików w tym przedmiocie nauczyć (1).

Dosyć było ruchu we Francyi, ale skutków nie tak wiele, gdyż niektóre eksperymenty nie powiodły się, a różne projekty nie weszły w życie (2).

Początek działalności prawodawczéj daje dekret z grudnia 1848, ustanawiający radę zdrowia, a we dwa lata późniéj prawo z r. 1850 powołuje do kontrolowania złych mieszkań specyalne organy, mianowicie stosowne komisye pod kierunkiem rad municypalnych.

Otwiéranie takich komisyi zależy od uznania zarządu gminy miejskiéj, która w miarę potrzeby powinna się tém zająć. Z tego powodu komisye nie powstały wszędzie, lecz tylko w Paryżu i niektórych większych gminach miejskich. Najbardziéj czynną jest komisya paryska, w innych miejscach panuje zaniedbanie i apatya. Do ujemnego rezultatu przyczynia się ta okoliczność, że komisye nie posiadają prawa badania mieszkań z własnéj inicyatywy, przystępują one do działalności o tyle, o ile otrzymają zawezwanie od interesowanych pod postacią stosownych zażaleń.

Wogóle zauważano, że we Francyi podobnie, jak i w Anglii, prawa i urzędy nie wiele przyczyniają się do pomyślnego rozwiązania kwestyi i że donioślejsze rezultaty przynoszą inne środki, pochodzące od samego społeczeństwa, w kierunku dostarczania nowych mieszkań lub ich poprawy.

Ujawnione niedostatki prawa z r. 1850, wywołały dążenie do reformy. Opinia publiczna domaga się ustanowienia komisyi wszędzie, zapewnienia im szerszéj władzy działania i uproszczenia procedury czynności. W tym téż duchu deputowany Nadaud wygotował stosowny projekt do nowego prawa, który od r. 1885 oczekuje kolei w parlamencie francuskim (3).

Współcześnie z ruchem prawodawczym zaczęła się działalność społeczna. Pierwszy przykład dał Vallandon, budując pasaż nazwany od jego imienia *passage Vallandon*, z mieszkaniami dla robotników.

---

(1) Huber. *l. c.* str. 11.

(2) Za źródła służyły mi: Rafalovich. *Die Wohnungsfrage in Frankreich* i cytowane już prace Laurent'a i Marjolin'a.

(3) Rafalovich, *l. c.* str. 13.

W r. 1852 za czasów drugiéj rzeczypospolitéj rząd wyznaczył 10 milionów franków dla poprawy mieszkań robotniczych, z funduszu tego 6 milionów użyto na budowę azylu w Vincennes i du Vesinet, za 2 miliony wzniesiono 17 domów przy bulwarze Diderot'a, a 2 miliony rozdano sposobem subwencyi przedsiębiorcom prywatnym, którzy domy robotnicze budowali. Przy pomocy takiéj subwencyi pp. Pereire wznieśli wielki dom przy ulicy Boursault, a także przy bulwarze Mazas urządzono hotel umeblowany dla robotników.

W dalszym ciągu Napoleon III kazał wybudować 41 domów na ulicy Daumesnil, które dane zostaly w darze stowarzyszeniu zwanemu *Societé cooperative immobilière des ouvriers de Paris*.

Z osób prywatnych odznaczyły się swoją ruchliwością w tym kierunku Jouffroy Renault, który zbudował 96, Blondel 20, de Madre 85 domów robotniczych. W domach tego ostatniego mieszka 7.000 ludzi. Najbardziéj zasługuje na wzmiankę budowniczy Cacheux, który ciągle takie domy wznosi, sprzedaje i daléj nowe place pod nową budowę nabywa. Urządzano także tak zwane *cités ouvrières*, to jest budowle systematu koszarowego, ze wspólnemi gotowalniami, pralniami, czytelniami itp., gdzie za pomocą stosownéj administracyi potrzeby mieszkańców były zaspakajane bez konieczności prowadzenia oddzielnego gospodarstwa. Przytoczyć tu można *familistère* w Guise, lub *cité ouvrière* przy ulicy Rochechouart w Paryżu, zwana inaczéj *cité Napoleon*, która pod auspicyami Napoleona III powstała.

Falanstery te jednak nie powiodły się, bo pomimo pewnych dogodności przynosiły szkodę dla życia rodzinnego, pochłanianego przez szersze życie całego *cité*.

Nie można również powiedzieć, ażeby z liczby wznoszonych dla robotników domów wszystkie jednakowy przyniosły pożytek. Niektóre z nich, zwłaszcza te, co korzystały z subwencyi, były budowane za kosztownie i stosunkowo ze zbytkiem. Pomijając więc już to, że nie mogły przynosić należytego procentu, ale chybiły celu, bo ludność zamożniejsza garnęła się także do nich, wypierając, że tak powiem, biedniejszych. Tak naprzykład, z liczby 17 domów wzniesionych przy bulwarze Diderot'a, w szesnastu wcale żywioł robotniczy teraz już nie zamieszkuje. Rzeczą godną jest uwagi, że najlepiéj udały się i największe procenta przynoszą te domy, które do potrzeb robotników ściśle były zastosowane, jak o tém Cacheux z własnego doświadczenia poświadcza.

Niezależnie od tych usiłowań, miasta prowincyonalne francuskie również nie zasypiają sprawy, i tam również powstają przedsiębiorstwa tego samego rodzaju, mianowicie po większych miastach.

Wojna z r. 1870 i 1871 wstrzymała na czas jakiś ruch na tém polu, ale powoli znowu się on ożywił. W r. 1883 rada municypalna paryska zarządziła formalną ankietę, dla zbadania stanu mieszkań w Paryżu i ich drogości. Pracowano nad tym przedmiotem trzy lata, i wygotowano 17 różnych projektów w przedmiocie dostarczenia biédniejszym tanich mieszkań. Projekta te leżą w radzie municypalnéj, a do jakich rezultatów Francuzi dojdą i co uczynią, o tém dopiero przyszłość przekona.

Niepodobna nakoniec zamilczéć o dwóch innych faktach, które niezależnie od projektów rady municypalnéj agitowały się i zwracały powszechną na siebie uwagę.

Banque populaire zaofiarował gotowość zaryzykowania 150 mil. fr. pod budowę domów w Paryżu dla klas niezamożnych, ale domagał się gwarancyi od rządu do wysokości 4%. Z drugiéj strony znowu rząd rozwinął układy z instytucyą, zwaną *Credit foncier*, względem pożyczki 20 mil. fr. na budowę takichże domów. Pertraktacye w obu tych kierunkach nie osięgły skutku, pozostawiły jednak wymowny ślad, jak we Francyi oceniają ważność sprawy i jak na nią zwracają uwagę.

Co do towarzystw budowlanych, te nie bardzo przyjęły się we Francyi, przynajmniej nie w téj mierze co w Anglii.

Najnowsze towarzystwo, jakie zasługuje na wspomnienie, stanowi *societé anonyme des habitations ouvières de Passy Auteuil.* Świeżo Cacheux wygotował projekt wielkiego towarzystwa pod nazwą *societé parisienne des habitations économiques*, opartego na akcyach i udziałach. Są także projekta Grüneckego i Coste'a; pierwszy chce zebrać kapitał budowlany przez emisyą bon hypotecznych, drugi zaś proponuje stowarzyszenie, łączące charakter kasy oszczędności z budową, najmem domów oraz ich kupnem przez klasy robotnicze (1).

---

(1) Grünecke wspólnie z kilku osobami zawiązał towarzystwo akcyjne z kapitałem zakładowym 100,000 fr., które za sumę do wysokości 250 milionów fr. pragnie budować domy z taniemi mieszkaniami. Domy te po upływie 75 lat mają się stać własnością miasta Paryża, bez jakiegokolwiek współdziałania i gwarancyi ze strony miasta lub państwa, za wprowadzenie w życie planu. Kapitał towarzystwa służy tylko do opędzenia kosztów urządzenia przedsięwzięcia, i będzie nie wyżéj nad 5% oprocentowany. Jeżeli rada municypalna projekt zatwierdzi i statuty przyjmie, towarzystwo pozyska prawo wypuszczenia amortyzacyjnych obligacyi hypotecznych albo właściwiéj mówiąc, bon hypotecznych za sumę nominalną 250 milionów franków. Obligacye te będą zabezpieczone na budynkach i placach do towarzystwa należących. Emisya odbędzie się za pośrednictwem *Crédit foncier*. Papiery te w ciągu 75 lat będą wycofane. Owe tanie domy mają zawierać każdy 180 do 400 mieszkań, pojedyńcze pokoje wynajmować się będą za 80 do 120 franków. Rafalovich, *l. c.* str. 51.

W Niemczech (1) działalność na tém polu objawiła się już to w kierunku towarzystw budowlanych, już to w kierunku stowarzyszeń robotniczych, już wreszcie w przedsięwzięciach pojedyńczych ludzi dobréj woli.

Pierwsze co do czasu towarzystwo *Berliner gemeinnützige Baugesellschaft* założone było w r. 1847, w trzy lata późniéj powstał instytut tegoż rodzaju zwany *Alexandra Stiftung*, a w r. 1860 we Frankfurcie przybyło *Frankfurter gemeinnützige Baugesellschaft*. Wedle sprawozdań z roku 1885 berlińskie towarzystwo posiadało w Berlinie 24 domy z 242 mieszkaniami i 28 warsztatami oraz przytułek dla dzieci. Instytut Aleksandry zaś rozporządzał dwoma kompleksami domów ze 130 mieszkaniami i 23 warsztatami.

Niezależnie od tego tak w Berlinie jak i w innych punktach Niemiec tworzyły się towarzystwa akcyjne różnéj nazwy, zakładane przez kapitalistów, z celami spekulacyjnemi, ale w kierunku budowania domów wyłącznie dla klas niezamożnych. Takich towarzystw w r. 1873 liczono 45 (2).

Nie wszystkie z tych towarzystw cieszyły się jednakiém powodzeniem. Nieumiejętne prowadzenie interesu, brak przedsiębiorczości i rzutkości angielskiéj odbijały się tutaj dosyć widocznie, pomimo to jednak niektóre z nich funkcyonują z pożytkiem dla założycieli i przynoszą 5% i więcéj od włożonego kapitału.

Pomocniczą rolę wobec poprzednich grają inne towarzystwa, których zadanie polega na nabywaniu i sprzedaży placów pod budowę. Zajmują się one właściwie czynnością parcelacyjną, bo zakupują wolne przestrzenie, dzielą na części, przerzynają ulicami, aby następnie drobnemi parcelami odstępować tym, którzy chcą się budować. Większą natomiast energią odznaczyły się w Niemczech stowarzyszenia robotnicze budowlane, na wzór angielskich *building societies*. Stowarzyszeń tego rodzaju powstało w Niemczech dosyć dużo, a do ich rozwoju w pierwszéj zwłaszcza chwili przyłożył skuteczną rękę znany filantrop i ekonomista Schultze Delitsch. Z liczby tego rodzaju stowarzyszeń bardzo dobrze prosperuje stowarzyszenie we Flensburgu z r. 1878, łączące w sobie zasadę kasy oszczędności i towarzystwa budowlanego razem.

---

(1) Za źródła służyły mi następujące rozprawy: Parisius, *Bericht über die in Deutschland bestehenden Baugesellschaften und Baugenossenschaften*, drukowane w zbiorze *Die Wohnungsfrage*, Berlin, 1865; daléj Schneider, *Mittheilungen über die deutsche Baugenossenschaften*, Leipzig 1875, oraz prace drukowane w zbiorze: *Die Wohnungsnoth* etc. Leipzig 1886.

(2) Ilość ich późniéj uległa zmniejszeniu. Berthold, *Die Wohnverhältnisse in Berlin* etc. w zbiorze: *Die Wohnungsnoth* etc. tom 2-gi str. 232.

Nie brakło także objawów pożytecznéj działalności opartéj na indywidualnych usiłowaniach pewnych osób.

Sposobem przykładu przytoczymy tu p. Gustawa de Liagre, który zebrawszy kółko dwunastu osób, pobudował na przedmieściu Lipska trzy domy, jeden frontowy, dwa tylne, urządził w nich wzorowe tanie mieszkania dla robotników i zapewnił pomieszczenie 32 rodzinom. Wykonanie planu p. Liagre nastąpiło przez zebranie od każdego z uczestników wkładu po 5000 mar., przyczém dopożyczono na hypotekę 70.000 mar. od osób trzecich na 5%. Uczestnicy spółki figurują w charakterze hypotecznych współwłaścicieli domów, obciążonych pożyczką. Przedsiębiorstwo opłaca się jak najlepiéj, wierzyciele otrzymują swoje 5%, a czysty zysk przypadający dla uczestników przewyższa nawet 5% od wkładów.

Mieszkania w rzeczonych domach są bardzo poszukiwane; gdy się opróżni którekolwiek, pretendenci dobijają się o nie, i proszą jakby o łaskę. Administracyą prowadzi p. Liagre przy pomocy uproszonych dam, które co tydzień odwiédzają lokatorów, ściągają komorne, a nieraz radzą i pouczają, naśladując w téj mierze szlachetną działalność uczennic *miss* Octavii Hill. W tych samych mniéj więcéj rozmiarach, co w Niemczech, rozwija się pomoc w sprawie mieszkań dla biédnych w Austryi, chociaż przeważnie tylko w niemieckich prowincyach państwa.

Nie potrzebuję zaś dodawać, że zarówno w Austryi jak i w Niemczech publicystyka żywo zajmuje się kwestyą, przyczyniając się na drodze pracy teoretycznéj do rozwiązania zadania. Nie zaspały téż sprawy inne kraje i państwa drugiego rzędu, jak Szwajcarya, Holandya, Belgia, Szwecya i Norwegia, wreszcie Dania.

We wszystkich tych krajach społeczeństwo przedsiębierze szersze lub mniejsze środki dla ulżenia złemu, którego zaniedbywać nie należy. Dania dostarczyła przykładu tak świetnego rozwoju stowarzyszenia budowlanego robotniczego, jakiego nawet w Anglii nie spotykamy. Jest to stowarzyszenie założone w r. 1865 w Kopenhadze przez 230 robotników pewnéj fabryki maszyn, którego rozwój prześcignął wszelkie wzory angielskie. Zacząwszy z drobnemi nieznacznemi środkami, już w r. 1883, po ośmnastu latach działania, pobudowało lub przyczyniło się do wzniesienia 478 domków robotniczych, a 45 miało w trakcie budowy, zapewniając już wtedy pomieszczenie 1000 rodzinom robotniczym (1). System tego stowarzyszenia jest nieco skomplikowany, łączy ono charakter kasy oszczędności, kasy pożyczkowéj i zarazem towarzystwa budowlane-

(1) Hansen, *l. c.* str. 48.

go. Ta komplikacya zapewnia stowarzyszeniu sersze pole działania i większe zyski, a że do udziału w niém dopuszczone są osoby po za sferą robotniczą, przeto przybywają fundusze łatwiéj i gęściéj, co zwiększa siły materyalne stowarzyszenia. Wspomniane poprzednio stowarzyszenie flensburskie urządza się podług wzoru duńskiego i temu może przypisać należy większe jego powodzenie. Nakoniec świetne objawy działalności wykazują Stany Zjednoczone, gdzie wzięto się do sprawy z energią równą angielskiéj, i gdzie też nie mniejsze od Anglii osiągają rezultaty. Powstały tam nawet pewne ulepszenia w porównaniu do wzorów angielskich, a nader oryginalne w pomyśle. W Filadelfii istnieją stowarzyszenia, które jednoczą w sobie charakter kasy oszczędności, kasy ubezpieczenia, kasy pożyczkowéj i towarzystwa budowlanego. Na drodze takiego systematu doszły one do kolosalnych obrotów i do równie wielkich rezultatów.

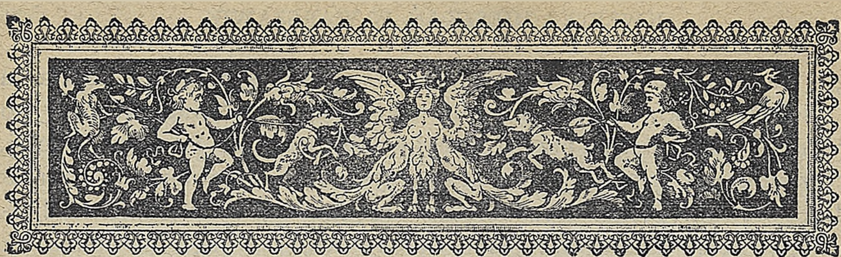
Na 800.000 mieszkańców, jaką to ilość miasto posiada, stowarzyszenia ułatwiły 50.000 ludziom biédniejszym dojście do posiadania własnego domku (1).

---

(1) Te stowarzyszenia urządzają się w następujący sposób. Pewna grupa robotników lub pracujących ludzi zawięzuje stowarzyszenie i wypuszcza akcye, z których każda ma wartości 200 dolarów. Dla nabycia akcyi płaci się dolara na miesiąc, co trwałoby na pozór 200 miesięcy, zanimby cała akcya została pokrytą, ale przez przypisywanie zysku spółkowego trwa to zwykle tylko 120 miesięcy. Kto zaliczkę od stowarzyszenia otrzymać pragnie, aby sobie kawałek ziemi kupić lub dom wybudować, a dodać trzeba, że tylko akcyonaryuszom udzielają się pożyczki, musi, oprócz 6% na rok, zapłacić jeszcze pewne dodatkowe wynagrodzenie, które waha się pomiędzy 1/3 a najwyżéj 4—5 procent. Jestto wysoka stopa, ale w stosunku do tego, co się za najem mieszkania płaci, nie jest to zbyt wiele. Skoro forszus od stowarzyszenia otrzymał, a akcye posiada, przekazuje akcye stowarzyszeniu, które znowu zabezpiecza siebie hypotecznie na jego ziemi i nieruchomości. Procenta i dodatkowe opłaty uiszczone przez dłużników stanowią zyski stowarzyszenia. Temu, który zaciągał pożyczki, przypisują przy końcu roku zysk na jego dobro; temu, który nic nie jest winien, wypłacają w końcu roku 8 procent. *Verhandlungen, etc. l. c.* głos Rafalovicha str. 28.

(*D. n.*) *Adolf Suligowski.*





KAMIENNA LEGENDA.

Powszechnie powtarzaném jest zdanie, że ostatni romans Zoli, powstał pod natchnieniem marzeń o akademickiém krześle, że autor jego miał na celu pochlebienie gronu czterdziestu nieśmiertelnych, czego jednak trudno jest dopatrzéć się tak w treści, jak formie nowego utworu francuskiego beletrysty. Zola nie przestał być sobą, stwierdził tylko w swém marzeniu silniejszemi jeszcze dowodami, że nietylko umie głęboko analizować naturę człowieka, ale i psychiczną naturę środka, w którym żyją postacie przezeń stworzone.

Anielka, bohaterka romansu, jest postacią bardzo żywą i naturalną, tylko zauważyć należy, że jéj twórca tym razem skierował szkło fotograficzne, którém posługują się romansopisarze ze szkoły naturalistycznéj, na daleką, ginącą już w pomroce wieków przestrzeń.

Człowiek jest jakby delikatną rośliną, która względnie do otaczającego ją środka, rodzaju gleby, pokarmów z téj gleby wyssanych, a szczególniéj pod wpływem światła życie w niéj obudzającego, przybiéra najrozmaitsze postaci.

Taż sama roślina w świetle słoneczném, gazowém lub elektryczném wyhodowana, da trzy odmienne, do siebie niepodobne typy.

Im budowa rośliny delikatniejsza, im komórki, które jéj organizm składają, subtelniejsze, tém wpływy zewnętrzne stają się oczywistszemi.

Taką czułą na zewnętrzne wpływy, taką ludzką mimozą, jest właśnie bohaterka romansu, o którym mowa. Anielka wychowana w świetle gazowém bulwarowych kawiarń stolicy świata, karmiona niezbyt romantycznemi obrazami, jakie przesuwają się przed oczami bywalców *Mabilu* i *Folies-Bergères*, wyrosłaby może na jaką *Małgorzatę Gautier*, lub co gorzéj, na drugą *Nanę*.

W Beaumont zaś, wykształcona na średniowiecznéj legendzie, taką być musi, jaką Zola w swym romansie przedstawia.

Anielka znalazłszy na półkach w domu swych przybranych rodziców, starą księgę p. n. „Złota Legenda“, z wielkiém przejęciem ją odczytuje.

Jednak nie ta złota lecz kamienna legenda stanowi właściwy zawiązek romansu, jego naturalną podstawę, bez któréj cała treść i forma utworu nie miałaby racyi bytu, byłaby urojeniem, które pierwszy lepszy podmuch krytyki mógłby zniweczyć. Bez niéj postać Anielki istniećby nie mogła, byłaby dziwacznym fantomem.

Jeżeli jednak ta kamienna legenda przeszła przed oczyma czytelnika niepostrzeżenie, nie jest to jego, ale raczéj winą autora, który dzieło swe wykonał bez pomocy architekta.

Zdanie to może wydawać się napozór dziwaczném. Bo przecież na budowę romansu nie składają się kolumny, gzémsy i t. p. architektoniczne składniki.

Do pewnego jednak stopnia też same zasady estetyki stosują się tak do literackiego, jak i malarskiego obrazu, w którym tło powinno odpowiadać stylowéj charakterystyce epoki, w któréj żyją postaci w romansie odtworzone, zwłaszcza jeżeli ideały téj epoki pozostawiły niezatarte ślady w sztukach rysunkowych.

Dla czegóżby więc beletrysta, podobnie jak malarz, nie miał zasięgnąć rady architekta w kwestyach tyczących się tła obrazu, przed którym odgrywa się akcya romansu.

Zawiązkiem „Marzenia“ Zoli jest fakt, który autor wyraża w zdaniu: „że katedra tłómaczy wszystko, wszystko wydała i zakonserwowała“ w Beaumont, miejscowości, która jest sceną, gdzie odgrywa się tragedya pomiędzy Anielką i Felicyanem.

„Miasto — mówi gdzieindziéj autor — żyje tylko jéj (katedry) tchnieniem“. Albo też: „Ztąd pochodzi ten duch z innego wieku, zdrętwienie religijne; to miasto zamknięte tchnie atmosferą spokoju i wiary“.

Kto jednak nie zbadał głębiéj średniowiecznéj atmosfery i ducha średniowiecznéj sztuki, tego zresztą z pojęciem rzeczy naszkicowane linie nie przekonają o psychologicznéj prawdzie bohaterów romansu.

Zola za wiele poświęca miejsca złotéj za mało kamiennéj legendzie. Rozwija on i akcentuje na każdéj stronicy wpływ pierwszéj na wyobraźnię Anielki, drugą zaś oznacza w bladych barwach i niewyraźnych konturach, lubo ta kamienna legenda służy autorowi za podstawę do naturalistycznych studyów.

„Kamienie te kochały i myślały jak ona“ (tj. Anielka)—mówi Zola. Kamień bowiem, ożywiony z ducha czasu powstałém tchnieniem artysty, z martwego nieorganicznego tworu, staje się organizmem żyjącym, a zatém mającym sam własność udzielania otoczeniu pulsów tego samego życia, które w niém przed wiekami skrystalizowane zostało.

Kamień ukształtowany pod wpływem ideałów i prądów społecznych, jakby kurant lub przyrząd fizyczny, w którym zapomocą odpowiedniego mechanizmu przed laty utrwalono nutę, wydaje dźwięki obudzające wspomnienia dawno minionéj przeszłości.

Jakież są więc ideały społeczne odźwierciedlane w artystycznych głazach, że z tak niezwalczoną potęgą, nawet wśród wszechwładnego za drugiego cesarstwa panowania offenbachiady, oddziałały na myśli i dążności bohaterki M a r z e n i a?

Aby dać odpowiedź na to pytanie, przedewszystkiém należy wyświetlić dla czego katedra gotycka jest wieczném odźwierciedleniem średniowiecznego społeczeństwa.

Dwa wielkie prądy zapanowały nad społeczeństwem XII wieku: feodalizm wojskowy i feodalizm zgromadzeń klasztornych.

Wzbogacone już i oświecone mieszczaństwo, dążąc do wytworzenia gminnego samorządu, ucieka się albo pod opiekę królów przeciw tyranii udzielnych władców, albo też pod protekcyą książąt kościoła przed zgromadzeniami klasztornemi.

Z wzrostem władzy biskupiéj, powstaje widomy symbol téj władzy w postaci pomnikowych budowli, które są zarazem siedliskiem duchownych jak i świeckich rządów książąt kościoła.

Sama nazwa „katedra“, która dawniéj oznaczała świątynię dyecezyalną, tłómaczy się tém, że w naczelném miejscu świątyni, po za głównym ołtarzem, umieszczano tron (*cathedra*), przeznaczony dla biskupa, który w katedrze rozstrzygał zarówno religijne, jak i świeckie sprawy.

Biskupi dążąc do zupełnego zawładnięcia miejską ludnością i ochronienia jéj przed despotyzmem klasztorów i zamków feudalnych, chcąc sobie tę ludność zjednać, otwiérają ścierze katedry nietylko dla obrzędów religijnych lecz i dla świeckich uroczystości, których katedra staje się widownią. Dość przytoczyć przedstawienia dawane w dzień Młodzianków i t. z. *fête des Fous*, których aktorami były dzieci mieszczan w kardynalskie płaszczyki przybrane.

Wigilią uroczystości, którą we Francyi *fête de Fous* nazywają, a przypadającéj w ośm dni po „Młodziankach“, wesołe zgromadzenie przybrane w najdziwaczniejsze tak pod względem kroju, jak

doboru barw suknie, wybiérało pseudo-papieża, czyli t. zw. patryarchę szalonych. Kto się uchylał od przyjęcia téj godności, był obowiązany zapłacić grzywnę, z czego zebrany fundusz obracano na zakupienie chleba i wina, oraz na upominek w kwocie ośmiu liwrów paryskich, dla wybranego pseudo-patryarchy.

Przez następne dwa dni katedra stała otworem dla rozbawionéj rzeszy.

Tego rodzaju ustępstwa władzy duchowéj miały na celu przywiązanie ludności do władzy biskupiéj, aby tym sposobem osłabić wpływ feudalizmu klasztornego.

Ludność téż miejska zrosła się z katedrą, uważając ją nietylko za święty, ale zarazem za narodowy przybytek.

Katedra średniowieczna jest arką przymierza zawartego pomiędzy narodem a władzą biskupią i z tego téż bardzo ważnego powodu, plastycznie wyraża, nietylko pojęcia jednéj kasty, ale ducha epoki, w któréj powstała. Nie pozostaje ona już pod wyłączną władzą teokracyi, jak to miało miejsce w starożytnym świecie, gdzie do świątyni miał tylko wstęp król, albo arcykapłan.

Katedra była nietylko głównym punktem zbiegu wszystkich arteryi miasta, ale nadto ogniskiem, w którym zestrzelały się wszystkie myśli i dążności średniowiecznego mieszczaństwa. Budowla ta zarazem religijna i narodowa, była tém dla życia miejskiego, czém mózg dla organizmu ludzkiego, z którego rozbiegają się w różne strony rozgałęzione nerwy.

Nerwy są bierném narzędziem mózgu, społeczeństwo średniowieczne — katedry. *Z* niéj i dla niéj tylko żyje téż gród średniowieczny, dajmy na to—Beaumont.

Subtelna i skomplikowana architektura katedry wymaga całéj armii pracowników: np. kamieniarzów, malarzów na szkle jak np. Felicyan z romansu, hafciarek, jak Anielka. Nad tą całą armią i społeczeństwem, panuje patryarcha w osobie *Monseigneur'a d'Hautecoeur'a*, ojca bohatera romansu.

W Beaumont, jakby w średniowiecznéj Pompei, nic się nie zmieniło od XII wieku, w którym to czasie, jak wiadomo, romantyzm średniowieczny doszedł do największego rozwoju.

Ludność tego miasta uważa katedrę za własność publiczną, dostarczającą karmu i dla ciała i dla myśli, któréj pulsa uderzają w takt odgłosu dzwonów i grzmienia kościelnych organów.

Jaźń téż Anielki kształtuje się na wzór subtelnego, jak marzenie, architektonicznego zjawiska.

La Rêve Zoli jest artystyczną ilustracyą tych postulatów — do których estetyka i historyozofia sztuki na drodze naukowéj zdąża.

Beletrysta eksperymentalny zaszczepia ludzką mimozę na grunt średniowieczny, poddając ją wpływom romantycznych, z katedry bijących promieni, i tym sposobem przemienia dziecię dziewiętnastego wieku na chorobliwą średniowieczną marzycielkę.

W jakiejże to postaci objawiają się te romantyczne promienie i gdzie ich ogniska szukać?

W estetyce i historyi sztuki.

Wspomniałem już o jednéj z przyczyn, która bezpośrednio wpłynęła na rozwój i budowę katedry. Jest nią wzrost władzy biskupiéj i zwiększenie się liczby wiernych, dla których pierwotna chrześciańska bazylika nie dość obszerna już była. Rozszerzenie przestrzeni dawnéj bazyliki wywołało nowy rodzaj konstrukcyi sklepień, pokrywających budowlę, z których z konieczności, jak ze źródła wypływa cały skomplikowany i subtelny organizm architektury ostrołukowéj.

Na wzniesienie budowli, dla nowych religijnych i narodowych obrzędów przeznaczonéj, musiało się złożyć nietylko artystyczne poczucie, ale przedewszystkiém rozwój wiedzy.

Materyalna potrzeba rozszerzenia przestrzeni budowli nie stanowi jeszcze jedynéj i najgłówniejszéj przyczyny stylowego ukształtowania się średniowiecznéj katedry. Należy zbadać głębiéj ducha epoki, aby wyjaśnić artystyczną stronę sztuki średniowiecznéj.

Całe wieki wojen, w których miliony ginęły, co za sobą pociąga głód i epidemiczne choroby nawiedzające przed XII wiekiem co roku Europę, słowem wszystkie biédy ludzkie, musiały w rezultacie wytworzyć społeczeństwo melancholijne, wrażliwe, marzycielskie.

Dodajmy do tego niezmierny rozwój nauk, szczególniéj teologii, a zrozumiemy jaskrawy kontrast, jaki zachodzi pomiędzy męzkością starożytnego a kobiecością średniowiecznego społeczeństwa.

Pogodnego ducha Helen dbał przedewszystkiém o piękną formę, i formę tylko idealizował; mistrz dzieła średniowiecznego trzyma się wprost przeciwnéj zasady, zamiast idealizować formę dąży do r e a l i z o w a n i a ideałów.

Zapanowanie idei nad formą, pokonanie i poświęcenie materyi na rzecz nie cielesnéj, w swéj istocie, myśli—oto cel dążności średniowiecznego społeczeństwa i artysty, który tego społeczeństwa jest wyrazem.

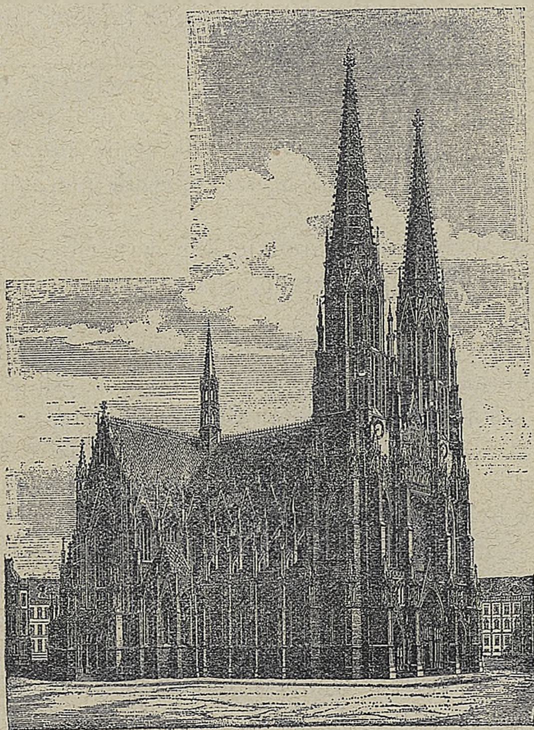
Umysły rzucają się z gorączkowym zapałem do naukowych badań. Jestto wiek wielkich encyklopedystów Abelarda, Alberta Wielkiego, św. Tomasza z Akwinu i Rogera Bacona.

Wiedza zlewa się ze sztuką, a nawet pierwsza bierze przewagę, wytwarzając, jeżeli tak rzec wolno, uczoną sztukę, która do paradoksu dochodzi.

Typowa średniowieczna katedra jest kamienną encyklopedyą średniowiecznéj wiedzy i odźwierciedleniem teologicznych chrześciańskich postulatów.

Wszędzie widoczna dążność skrystalizowania w kształtach: spiritualizmu, celowości, odtworzonéj niby na wzór, jaki matka natura nam daje.

Architekt, porwany tym prądem, stacza wszędzie zaciętą walkę z materyą. Przedewszystkiém chce on, aby każdy, choćby najdrobniejszy szczegół jego dzieła, zamiast schlebiać zmysłowi wzroku, wyrażał pewien cel, choćby cel ten był tylko urojony. Idea bowiem, cel, spiritualizm ma nad wszystkiém panować.



Zgodnie z tą zasadą, architekt otacza i okazuje oku organa architektoniczne najbardziéj celowe. Łuki więc odporne, które w romańskiéj architekturze pod dachem nawy bocznéj były ukryte i spełniały tylko cel utylitarny, odkrywa oku. Łuki te, jako przeciwdziałające parciu sklepienia nawy głównéj, są żywém uosobieniem

skrystalizowaniem niewidzialnéj, wewnątrz brył kamiennych działającéj siły.

Tu wypada zaznaczyć mi, że jeżeli w innych miejscach Zola w swym utworze słabo szkicuje tło obszaru, tu zupełnie po dyletancku przedmiot swój traktuje, wyrażając się: „*les arcs-boutants jetés comme des ponts dans le vide*“ (str. 85).

Wszystkie części architektoniczne: filary, łuki sklepień itp., wyrażają na zewnątrz w nich działające siły mechaniczne, o ile tylko materya abstrakcyą może ujawnić. Organa te stają się coraz subtelniejsze, niklejsze, bardziéj filigramowe.

Dzięki takiemu systematowi konstrukcyi ściany stają się zbytecznemi dla równowagi budowli, znikają téż z jéj powierzchni zupełnie, pozostawiając miejsce dla szklanych ścian, na których malarz swe pomysły roztacza, a malarstwo na szkle, sztuka *witrażów*, któréj Felicyan z romansu poświęca się z takiém zamiłowaniem, dochodzi do największego rozwoju.

Na ciemném tle, we mgle pogrążonéj świątyni, występuje na jasnych witrażach cały poczet zesłanników nieba, które rozwarło się na chwilę, aby swym widokiem pokrzepić ludzkość w wierze i natchnąć nadzieją przyszłego lepszego życia męczenników ziemskiéj gehenny.

Znane jest wszyskim czarodziejskie wrażenie, jakiego doznajemy na widok świetlnego obrazu, kiedy sami jesteśmy w ciemnéj przestrzeni.

Do téjże kategoryi wrażeń estetycznych należy widok nieba, czarnemi chmurami zasłanego, gdy je nagle błyskawica rozpruje; o b r a z y n i k n ą c e wśród ciemności okazywane, teatralne przedstawienia na silnie oświetlonéj scenie wobec widzów znajdujących się w zupełnie ciemnéj sali, są to wszystko wrażenia sensacyjne, w których tak był rozmiłowany romantyk na tronie Ludwik II bawarski.

Święci pańscy, męczennicy i męczenniczki na witrażach przedstawieni, wydają się świetlnym, jakby powstałym z pyłków, przez które promień słońca przechodzi, nieważkim mirażem, który swym widokiem nawet zmateryalizowanego filistra naszego wieku wznieść musi do romantycznego zachwytu!

Jeden z najznakomitszych badaczów średniowiecznéj sztuki, Viollet-le-Duc, opowiada wrażenie, jakiego na widok tych cudów w młodocianym doznał wieku.

„Pozostało we mnie wspomnienie, mówi on, bardzo silne i bardzo świeże, jakkolwiek doznane w chwilach życia, które pozostawiają bardzo niewyraźne ślady.

Powierzano mię staremu słudze...

Pewnego dnia zaprowadził mię mój stary przewodnik do kościoła *Notre-Dame*, a ponieważ świątynia była przepełniona uniósł mię na rękach.

Wnętrze katedry zasłane było kirem.

Spojrzenie moje padło na witraż rozety południowéj, przez którą przechodziły promienie słoneczne, jéj szkłami żywo zabarwione.

Nagle zagrzmiały wielkie organy; mnie się zaś zdawało, że to różnobarwna rozeta śpiewała. Napróżno stary mój przewodnik starał się mię wyprowadzić z błędu. Ciągle zdawało mi się, że jeden witraż wydaje dźwięki poważne, inny znów ostre, co mnie tak wielką zdjęło trwogą, że musiano mię wyprowadzić ze świątyni".

Podobnym wrażeniom i wizyom uledz musiała delikatna natura Anielki. Do niéj również przemawiali święci i święte, męczennicy i męczenniczki, na witrażach przedstawieni, jakby żywe i żywém słowem władające istoty.

Kamienna więc średniowieczna legenda wyraża z jednéj strony abstrakcye religijne, z drugiéj zaś abstrakcye mechaniczne.

Kolumny, żebra sklepień, łuki odporne, po których, jakby po drutach telegraficznych elektryczność, przebiega siła mechaniczna działająca wewnątrz budowli.

Wszystkie te czynniki w stosunku do całości budowli jak filigran delikatne, niepochwytne jak pajęcza tkanina.

Katedra u podstawy szeroka, zwężając się ku górze, zakończona dwiema zaostrzonemi wieżami piramidalnemi, zdaje się gubić w sferach nadziemskich.

Rzeźba jest nietylko dalszym ale nawet na wyższą nutę nastrojonym, finalnym akordem w kamiennéj średniowiecznéj melodyi.

Chrystyanizm zrywa wszystkie nici łączące go z pogańskim klasycyzmem. Ofiarą reformy pojęć i ustroju społecznego pada przedewszystkiém c z ł o w i e k - z w i e r z ę, o doskonałych muskułach, silnym organizmie, który pogodném okiem patrzy na rzeczywistość, nie wiele dbając o jutro. Na jego miejsce występuje z mroku średniowiecznego fantom o zwiędłych muskułach, wadliwych proporcyach ciała, chudy, umartwiony, który na przekór pierwszemu, nie chcąc patrzéć na teraźniejszość, melancholijném okiem w daleką przyszłość spogląda.

Stąd powstały dwa typy rzeźbiarskie: atleta starożytny i asceta średniowieczny, przedstawiciele plastycznego (klasycznego) i ro-

mantycznego stylu, w głębszém i najobszerniejszém tego pojęcia znaczeniu.

Rzeźbiarze średniowieczni nie dbają już, jak ich heleńscy poprzednicy, wyłącznie o cudowną formę. Postaci pod ich dłutem powstałe, z pogardą patrząc na teraźniejszość, przyszłość melancholijnym chcą zgłębić wzrokiem. Pełne dramatycznéj ekspresyi fizyonomie wyrażają skryte wzruszenia, gwałtowne uderzenia serca, pokutę, ból i rozkosze, słodycze dobroczynności, nareszcie mistyczne porywy a za niemi wślad idące męczeństwo...

To cała gama uczuć, przez piekło których i niebo przechodzi za życia—dusza Anielki!

Ten jednak cykl idei nie zadawalnia bujnéj wyobraźni średniowiecznego rzeźbiarza.

Ponieważ postać ludzka nie wystarcza mu na wyrażenie abstrakcyjnych pojęć, ucieka się on więc do caléj fauny i flory, i tym sposobem wytwarza z katedry średniowiecznéj ilustracyą nietylko Pisma, ale caléj encyklopedyi wiedzy, nie wyłączając nawet meta fizyki.

Wszystkie niemal pojęcia mają tu swych kamiennych przedstawicieli, począwszy od Trójcy świętéj i wizyi ś-go Jana, miłości, inteligencyi, wiary, odwagi, podłości i cnót dwunastu (np. w *Notre-Dame* w Paryżu), skończywszy na uosobieniu Starego Testamentu w postaci żyda (np. w katedrze w Bambergu).

Obok ludzkich postaci piętrzą się jedne nad drugiemi istoty nie istniejące w rzeczywistym świecie fauny i flory. Wszystko to pomieszane, bestye apokaliptyczne, gryfy, wołki zbożowe, bazyliszki, feniksy, smoki i salamandry, poprzeplatane liśćmi i kwiatami wijącéj się roślinności.

Rzeźba średniowieczna nie stanowi naturalnego wypełnienia architektonicznéj ramy, gra ona samodzielną rolę, przez co postaci w niéj przedstawione zdają się wkraczać w świat rzeczywisty. Nie ma ona bowiem na celu jedynie zadawalniania zmysłowego poczucia piękna, ale przemawianie do uczucia.

Postaci kobiet z niebiańskim uśmiechem, ale płaską piersią, zdają się pogardzać ziemskiemi rozkoszami...

Z tych jednak właściwości rzeźby wypływa jeszcze przyciągająca siła, któréj czarom nie mogła oprzéć się Anielka.

Zarówno średniowieczny jak i heleński rzeźbiarz idealizują swe postaci, ale w odmiennym kierunku. Pierwszy wytwarza nie istniejące w naturze typy, drugi idealizuje postaci z życia wzięte.

Tak np. postaci Chrystusa, Najświętszéj Panny i Świętych Pańskich, w rzeźbie przedstawione, przypominają mocno typy żyjące do dziś dnia w Szampanii.

Flora ornamentacyjna, jakby z ojczystych pól i sadów zebrana i czarodziejskim zaklęciem skrystalizowana. Fantazyjne bestye, uosabiające wady ludzkie, lub szkaradę grzechu, przypominają swym antropomorficznym charakterem takie typy fizyonomii człowieka, które instynktowo uważamy za wcielenie złych skłonności.

Tak więc, ideałem i streszczeniem średniowiecznéj sztuki jest dążność do spirytualizmu, do n i e w i d z i a l n e g o.

* * *

Architekt usiłuje w organach budowli wyrazić abstrakcyjne pojęcie siły.

Malarz roztacza przed okiem widza obrazy jakby czarnoksięską siłą wywołane.

Nareszcie, rzeźbiarz dba więcéj o dramatyczną ekspresyą, niż o piękno cielesne. Postaci przezeń stworzone, zdają się jakby z krainy śmierci wskrzeszone, do świata żyjących przywołane.

W takiéj to nawpół grobowéj, nawpół niebiańskiéj, ale w każdym razie nie ziemskiéj atmosferze wyhodowana roślina, staje się czułokrzewem, który zmienia swą postać, stosownie do otoczenia.

Teraz łatwo wytłómaczyć zdanie autora: *ces vieilles pierres aimaient et pensaient comme elle...*

Anielka ukształtowana na wzór średniowiecznego posągu z niebiańskim uśmiechem, ale płaską piersią, u wrót staréj katedry znaleziona i w jéj średniowiecznéj atmosferze wychowana, z chwilą, gdy ma opuścić ten świat romantyzmu, by przekroczyć progi rzeczywistego życia, znika jak senne marzenie. „*La vision venue de l'invisible, retourne à l'invisible....*“

Kazimierz Kleczkowski.



POEZYE KRZYCKIEGO.

Andreae Cricii carmina edidit Casimirus Morawski. Cracoviae 1888. (Corpus Antiquissimorum poetarum Poloniae latinorum. Vol. III).

W tomie trzecim zbioru poetów łacińsko-polskich, wydawanego przez Akademią w Krakowie, prof. K. Morawski ogłosił poezye Andrzeja Krzyckiego (1482—1537) arcybiskupa gnieźnieńskiego. Dotąd utwory Krzyckiego były nieprzystępne nie tylko dla ogółu lecz i dla specyalnych badaczy. Większość ich nigdy nie była drukowana i dochowała się w kodeksach rękopiśmiennych, a tylko część nie wielka była drukowana za życia autora. Wydania te jednak tak są rzadkie, że łatwiéj jest odnaleść nieraz rękopis, niż stary druk. Publiczność zaś polska zna poetę tylko z nielicznych przekładów Syrokomli. Z tych więc powodów należy powitać z uznaniem myśl wydania zbioru poezyi Krzyckiego, wydawnictwo téż doznało bardzo przychylnego przyjęcia nie tylko u krytyki, lecz i w szerszych kołach. Podnosząc nasz głos, nieco może spóźniony, przychylamy się do zdania ogólnego i poważamy się zrobić kilka uwag jedynie ze względu, że z osób omawiających nowe wydanie, nam tylko udało się poznać i zbadać większą ilość kodeksów od téj, jaka była znaną szanownemu wydawcy.

* * *

Dzieła Krzyckiego dochowały się do naszych czasów w starych wydaniach i we współczesnych kodeksach rękopiśmiennych. Krzycki ogłosił drukiem 20 utworów treści politycznéj i religijnéj. Spora część ulotnych wierszyków nie widziała, prawdopodobnie, światła dziennego za życia autora. Zbiorem dzieł Krzyckiego zajął

się St. Górski (1). W Tomicianach przechowal pod odpowiedniemi datami wszystkie poezye Krzyckiego o treści państwowéj, politycznéj i społecznéj. Wszystkie zaś dzieła jego zebrał w osobnym tomie. Prof. Morawski zna 3 kodeksy poezyi Krzyckiego z w. XVI, które pochodzą niewątpliwie z pracowni Górskiego. Najciekawsze jednak kodeksy posiada Biblioteka publiczna petersburska. W Bibliotece téj ze zbiorów Górskiego są: Dziewiętnastotomowy zbiór Tomicianów (brak tomu IV), znany pod nazwą kodeksu Akademickiego (2), w staréj oprawie w deski ze stemplem roku 1542; dzieła Kallimacha w takiéjże oprawie i przepisane tą ręką, co tom XIV Tomicianów; dzieła Krzyckiego, w oprawie w. XVIII, na tymże papierze i tąż ręką pisane, co dzieła Kallimacha i t. XIV Tomicianów, ze śladami, że oprawny dawny kodeks był własnością Paprockiego; Tomiciana kodeksu Karnkowskiego, tomy 1, 6, 8, 9, 11, 12, 15, 16, 24, 25 (3); zbiór poezyi Krzyckiego w oprawie z wyciskiem herbu Łodzia i literami A. O, tj. Andrzej Opaliński. Zbiory te mają wartość pierwszorzędną i dla wydawcy poezyi Krzyckiego, dla tego zastanowimy się najprzód nad tymi kodeksami Krzyckiego.

1. Kodeks Paprockiego. Oprawę ma wznowioną, można jednak znaleść pewne wskazówki, że był oprawiony pierwéj. Papier i pismo te same, co w dziełach Kallimacha, oprawnych w deski i z wyciśniętym rokiem 1542 (4). Ta sama ręka przepisywała t. XIV Tomicianów kodeksu Akademickiego. Niezawodnie, że kodeks ten pochodzi z jednego okresu z kodeksem dzieł Kallimacha i kodeksem Akademickim Tomicianów.

K. 1. Ma tytuł cynobrem wypisany: *Rdi Patris Andreae Episcopi Poloni. De sacrificio Missae. De afflictione ecclesiae. Concertationes contra Luteranismum. Epistolae Aliquot. Dialogi. Poemata.* Na téjże karcie inną ręką: *Thomae Paprocki Camerarii Terrestris Premisliensis.* Na odwr. karty pierwszéj nowszą ręką krótki życiorys Krzyckiego. Do k. 172 dzieła prozą. Jest tu także dokument z r. 1553: *Actus Rdi patris Stanislai Hosii episcopi Varminiensis cum civibus Elbingensibus habitus.*

---

(1) St. Górski (1489—1572) kanonik płocki i krakowski, notaryusz podkanclerzego p. Tomickiego, znany ze zbioru aktów podkanclerskich z czasów Zygmunta I, zwanych *Acta Tomiciana.*

(2) Kętrzyński, O Stanisławie Górskim. Roczniki Tow. Prz. N. Poznańskiego. VI, str. 116.

(3) Tom 25 kodeksu Karnkowskiego zawiera: *Epistolae Romam de negotiis ecclesiastis scriptae*, a nie dzieło Krzyckiego, jak przypuszcza prof. M. (str. VII). Kodeks ten nie posiada dzieł Krzyckiego.

(4) Zbiór Kallimacha Górski ofiarował Zygmuntowi Augusto

K. 176. *Poemata Andreae Cricii—laudatoria*, *aulica*, *arguta*, *faceta*, *iocosa*, *ludicra*, *mordacia*, *amatoria*, *lasciva*, *connubialia*, *sepulchralia*, *castrensia*, *senatoria*, *ceclesiastica*, *pia*, *religiosa*, *publicae rei utilia Per* me *Stanislaum Gorski cracoviensem et plocensem canonicum ex varia dispersione conquisita et in hunc ordinem digesta. Quibus intermixta sunt aliena quaedam Cricianis convenientia.*

Rękopis dochował się znakomicie, pisany b. ładnym charakterem, tytuły utworów wyróżnione cynobrem, na marginesach noty ręką Górskiego. Poezye Krzyckiego rozłożone według wskazanych grup w tytule i porządek prawie wszędzie wytrzymany. Możnaby wskazać bardzo niewiele wierszy, które umieszczono nie w należytym dziale. Przy utworach nie-Krzyckiego wszędzie podane są noty odpowiednie. Można przypuszczać, że zbiór ten jednocześnie z dziełami Kallimacha Górski ofiarował Zygmuntowi Augustowi.

2. Kodeks Opalińskiego. Oprawa w czarną skórę i tekturę. U góry wyciśnięto: *Qui saeve sapit,* potém herb Łodzia, na którym litery A. O. (Andrzej Opaliński) i niżéj *Frustra sapit.* Na odwr. oprawy: *Exped. d.* 8 *Febr.* 1685. *Cricii codices eximii habentur hic Varsaviae apud. RP. Missionarios et Nieswiż in Bibliotheca Radiviliana.* — K. 1. *Poemata Andreae Cricii Episcopi.* Różne nadpisy treści obojętnéj z czasów nowszych a także ręką w. XVII: *Na wrade Eho Korolewskoe Miłosti.* Na odwr. wiadomość o Górskim nową ręką. Str. 1 liczb. *In vitam Andreae Cricii Archiepiscopi Gnesnensis.* Życiorys Krzyckiego przez Górskiego. Poezye Krzyckiego następują w takim porządku: 9. *Heroica ac Regalia*, 91. *De stemmatibus insignium hominum in Polonia*, 109. *Venerea et Amatoria*, 143. *Mordacia*, 178. *Enigmata*; 193. *Seria*; *Trenodia Valachiae*; 207, *Asiana diaeta*; 223. *Dialogi in Rempublicam*; 231. *Pia*, *religiosa*, *divina*; 248. *Sepulcralia*; 253. *Epitaphia*; 329, *Inscriptiones Romae et in Italia collectae*; 382. Listy, 406 koniec.

Cały rękopis pisany jest jedną ręką, pochodzi z kancelaryi Górskiego i należy do grupy jednéj z kodeksem Tomicianów Opalińskiego (1). Kodeks Paprockiego kompletniejszy i okazalszy.

Oprócz tych kodeksów Biblioteka petersburska posiada dwa odpisy z w. XVIII, jeden kompletny, drugi bez początku i końca. Na jednym jest nota Załuskiego: Tak*isz* Ms. jest u naszych XX. Missionarzy. Tak*isz* u X-a Sangu. Marszałka Litt. Ten Ms. zamienić na takisz X-a Sanguszka.

W ten więc sposób mamy obecnie aż 5 kodeksów z w. XVI, z których większość niezawodnie była przejrzaną przez Górskiego.

---

(1) Kętrzyński, *l. c.* 109.

Że było więcéj rękopisów dowodzi nota kodeksu Opalińskiego przy satyrze na Tarłę: *Reliqua cum essent studiosè depravata nec possent intelligi, hic praetermissa sunt.* Ze wszystkich manuskryptów najlepszym jest kodeks Paprockiego. Taki stan rękopisów nadzwyczaj ułatwił pracę redaktorską wydawcy. Wszystkie utwory Krzyckiego uporządkował i podzielił na grupy Górski, tekst ich ustalił, przy utworach nie-Krzyckiego porobił odpowiednie uwagi, w miejscach, potrzebujących komentarza, dał swe noty. Wydawca miał więc gotowy materyał i aparat krytyczny. Prof. Morawski wszędzie zużytkował noty Górskiego, że zaś nie znał kodeksu Paprockiego, pozostawił niektóre ustępy bez objaśnienia. Tak naprzykład pieśń 14, ks. II, w. 30 *improba vicinia*, ma wyjaśnienie—*Germania*, a w Tomicianach (Kod. Ak. II, 134) *s. Caesar Maximilianus*; w. 81 *Insignis Janussius—Swirczewski;* 214, *Alberto concitante— Sampoliński;* 216, *Hortatu Pilcensii*—Tomiciana *Joannis Pileczki*, *Capit. Lubl.* Pieśń 23, 192, *Praesule navigero* prof. Morawski objaśnia — Lubrański; a Górski—Tomicki; prędzéj Krzycki miał tu na myśli Tomickiego herbu Łodzia, niż Lubrańskiego herbu Godziemba. Kilka innych pieśni ma także ciekawe komentarze, które z korzyścią możnaby zużytkować

Mając w ten sposób przygotowany i uporządkowany materyał, prof. Morawski nie skorzystał z podziałów Górskiego, lecz zachowując jego ugrupowanie, podzielił pieśni Krzyckiego na mniejszą ilość części i rozłożył je w 7-miu księgach. Zmniejszenie kategoryi, znaczną robi ulgę w oryentowaniu się i nie rozluźnia zbyt treści. Nie możemy się jednak pisać zupełnie na podział wydawcy. Księga III zawiéra utwory, tyczące się spraw publicznych i religijnych, nie pojmujemy więc, dla czego dyalogi *de Asiano Diaeta* nie znalazły tu miejsca, a sformułowały ósmą księgę, czyby ze względu na formę prozaiczną? W księdze VII-éj wydawca zebrał to, co się nie udało pomieścić w innych działach—więc to są *miscelanea.* Nam się widzi, że część tych wierszy można pomieścić w innych księgach. Naprzykład wiersze o dworze i życiu dworskiém (19—24) mogą stanąć śmiało pomiędzy satyrami, obok przypuśćmy Nr. 37—*Respublica ad poetas suos.* Inne znów rzeczy żartobliwe możnaby dołączyć do księgi VI i zamiast *carmina amatoria* dać jéj tytuł — *c. faceta et iocosa.* Zresztą tytuł niezupełnie odpowiada treści, nie są to *amatoria*, lecz *lasciva et obscoena.* Nie w miejscu także, naszém zdaniem, umieścił wydawca wiersze przeciwko Lutrowi, pomiędzy politycznemi i kościelnemi, im należało znaleźć miejsce pomiędzy satyrami. Przechodzimy do sprawozdania z poszczególnych działów.

Księga pierwsza — Pieśni nabożne. Są tu hymny i wiersze na chwałę Chrystusa Pana, Ducha św., Bogarodzicy i św. Pańskich. Prof. Morawski zostawił w wydaniu swém układ wierszy, jaki znalazł w kodeksach. Kodeks Paprockiego nie ma w tym dziale Nr. 24—nadpis „na ciborium Tomickiego“ i umieszcza pomiędzy innemi nadpisami (II, 31, 32...). Nie nadaje się do działu *Sacra* wiersz 26 *Ad sacerdotes*, chociaż kodeksy mają go w tym dziale, lecz dodają *sacra et pia*. Kodeks Opalińskiego, kwestyonuje autorstwo Krzyckiego co do hymnu do Ducha św. Nr. 14 i przypisuje go Erazmowi Roterdamskiemu, którego i inne wiersze nabożne przytacza. Wiersz 7, do Przenajświętszéj Panny, kodeks Paprockiego przypisuje Złotkowskiemu, zgodnie z przypuszczeniem wydawcy (p. XVII).

Regalia. Są to wiersze okolicznościowe na cześć Zygmunta pierwszego i obydwóch królowych. Wydawca starał się uporządkować je chronologicznie. Należałoby jednak ściśléj zachować ten systemat. Akta Tomiciana kodeksu Akad. i kodeks Paprockiego pozwalają porobić niektóre zmiany w uporządkowaniu oddzielnych wierszy. Naprzód wiersze, odnoszące się do ślubu króla z Barbarą i do koronacyi Barbary. W Tomicianach po *Epitalamion* (II, 2), następuje *Hymaeneus* (II, 24), który wydawca położył pomiędzy wierszami na cześć Bony. Wszystkie kodeksy i Paprockiego, odnoszą go do Bony, że zaś w 3-cim tomie Tomicianów pod r. 1518 umieszczono również ten wiersz; możemy przypuścić, że Krzycki ofiarował jeden wiersz obydwom królowym. Co zaś do *Carmen Sapphicum*, to nasze obadwa kodeksy dają mu tytuł *Cantilena in coronatione R. Barbarae*, a *Cantilena in coronatione* w Tomicianach oznaczono *post coronationem*, co i z tekstu wypada.

Po téj kantylenie w Tomicianach: *Descriptio Victoriae de Tartaris ao dni* 1512 *die Sancti Vitalis* (28 kwietnia), chronologicznie więc wiersz ten powinien mieć rzeczywiście tu miejsce (koronacya odbyła się 8 lutego).

Pod rokiem 1514 w Tomicianach mamy *Ad diuum Sigismundum Poloniae Regem*, wiersz umieszczony u pr. Morawskiego pod Nr. 6, a potém dalsze wiersze po odniesionem zwycięstwie r. 1514, Nr. 12, 13, 14. Tu téż umieszczają Tomiciana wiersz na grób św. Kazimierza (Nr. 15). Profesor Morawski przypuszcza, że Krzycki był z królem w Wilnie w r. 1513, przed wojną. Z tychże Tomicianów dowiadujemy się, że król 22 lipca 1514 wyjechał z Wilna do Mińska na wojnę, a 3 grudnia kniaź Konstanty Ostrogski *vexilla ac signa Moscorum in proelio capta Vilnam secum attulit.* Do tego roku, zgodnie z kodeksami Krzyckiego, wypadnie odnieść Nr. 17

i 18, chociaż Tomiciana mają je pod rokiem 1512, treść nie pozwala uważać ich za opiewanie zwycięstwa nad Tatarami. Następnie pod rokiem 1514 mają Tomiciana prośbę Krzyckiego do królowéj (N. 10). Prof. Morawski nie zna faktu, do którego się ta prośba odnosi, kładzie go pomiędzy wierszami z r. 1512, gdyż przypuszcza, że Krz. bez wątpienia zaraz w roku 1512 otrzymał nominacyą na kanclerza królowéj. Nominacya nastąpiła rzeczywiście 27 lutego 1512 r. (Tomic. Ms. I, 599), lecz zatém nie idzie, żeby Krzycki wraz obarczał swą prośbą.

Piérwsza grupa wierszy królewskich zamyka się wierszami na śmierć królowéj Barbary († 2 paźdz. 1515), tj. Nr. 19, 20, 21. Wiersz do Katarzyny Meklemburskiéj, niedoszłéj żony Zygmunta I, nie ma w kodeksach określonego miejsca, a że musi pochodzić z przed roku 1512, może wejść do téj gruppy. Należałoby uporządkować te wiersze w sposób następujący: Nr. 1—5, 11, 6, 12—14, 17, 18, 15, 16, 10, 19—21 (8—9).

Druga część wierszy tego oddziału poświęcona jest przeważnie Bonie. Numer 24—*Hymaeneus*, w Tomicianach (Kod. Ak.) w tomie 1-ym dedykowany Barbarze, a 3-cim umieszczony pod rokiem 1518 zaraz po Nr. 23. Mógł Krzycki ofiarować go obydwom królowym. Wiersz 29 ma w kodeksie Paprockiego dopisek: *in eius nuptiis*, a 27—*in eius coronatione*. Do tego rozdziału wcielił wydawca wszystkie wiersze, odnoszące się nietylko do Bony, ale i do króla pochodzące z epoki Bony. Kodeksy mają tu szyk rozmaity, w kodeksie Paprockiego umieszczone są one znacznie niżéj. Na taki układ można się zupełnie pisać, gdyż tu treść nie wielką ma wartość historyczną.

W trzeciéj księdze zgromadził wydawca 18 utworów, tyczących spraw publicznych — rzeczypospolitéj, krzyżaków, Lutra, kwestyi gdańskiéj i sprawy wołoskiéj. W uszykowaniu poszczególnych utworów, wydawca nie kierował się porządkiem następstwa chronologicznego, chociaż i w tym wypadku lepiejby zastosować się do niego. Najprzód umieszcza prof. M. *Religionis et reipublicae quaerimonia*, wiersz z r. 1522, jak to stanowczo wydawca dowiódł na podstawie odnalezionego przez siebie druku z r. 1522. Zresztą kwestya ta rozstrzygała się i przez to, że w Tomicianach utwór ten umieścił Górski przed r. 1523 (Kod. Akademicki, T. V, 61 — 68). Wiersze przeciw Lutrowi z r. 1524, stanowczo należało umieścić po wierszach na porażkę wojska niemieckiego z r. 1520, lub całkiem usunąć z tego działu. Tomiciana Kodeksu Ak. pod r. 1520 i kodeks Paprockiego, oprócz tych wierszy, mają jeszcze drugi utwór Krzy-

ckiego, nieznany wydawcy, z powodu tegoż zwycięstwa pod tytułem: *In exercitum Germanicum Polonos fugientem*. (*Quod Deus esse solet coeptis adversus iniquis*). *Threnodia Valachiae* z r. 1531 zamyka ten rozdział i umieszczona należycie.

Wiersze satyryczne, księgi czwartéj, niepodobieństwem było uszykować w jakimkolwiek bądź przypuszczalnym porządku chronologicznym i wydawca zgrupował je około osób, których się tyczą. Nasze kodeksy mają kilka bliższych wyjaśnień co do poszczególnych utworów, że jednak wydawca dał je z innych źródeł, nie mają one wielkiéj wagi. Powiemy tu tylko o kilku satyrach. Nr. 36 zawiéra ostre uwagi w prozie na odę Tarły i kończy się słowami: *sed iam lege et guttur comprime ne mox vomas. Sic incipit carmen Tarlonis.* Poczém prof. M. drukuje 12 strof według kodeksu Ossolińskich Nr. 158 z w. XVII, gdyż w innych kodeksach znalazł tylko 2 strofy (6 wierszy). Kodeks Opalińskiego niezawodnie z w. XVI ma te same 12 strof (36 wierszy) i notę: *Reliqua cum essent studiose depravata nec possent intelligi hic praetermissa sunt.* Kodeks Paprockiego ma jeszcze daléj do 180 strof, brakuje mu początkowych 6-ciu, tytułu i wstępu prozą, przytém ma dobrą lekcyą *Brunsbergum* zam. Brimsbergum innych kodeksów. Kodeks Paprockiego musiał być w ręku zwolennika Tarły, który wydarł kartę z początkiem satyry Nr. 36, z końcem satyry 41 od w. 29 i z początkiem dyalogu 42.

Wiersz 49 ma nadpis *Ad Christum* i pierwszy wiersz błędny, w innych kodeksach czyta się: *Ante quidem fueras ter deno venditus asse.*. Wiersz 48 następuje po 49 i w nim drugi wiersz ma lekcyą: *Christe capit die rogo Domine cui carior es.* Obadwa te wiersze, wnosząc z układu, mają na myśli Krz. Szydłowieckiego. Wiersz 58, zgodnie z notą wydawcy, i w naszych kodeksach przypisany jest Anianowi Gallowi, słudze Łaskiego. Nr. 59 ma inną wersyą i chociaż nie ma noty o autorstwie Galla, z powodu jednak, że jest pomiędzy innemi tegoż autora i ze względu na treść, można przypuszczać, że jest jego pióra.

Księga piąta zawiéra *Epitaphia*. Kodeksy Paprockiego i Opalińskiego przechowały kilka wierszy tego rodzaju z imieniem Krzyckiego, których nie ma prof. Morawski, a mianowicie:

In Pharmacopolium (*Morborum hic habitant hostes, mors atra caveto...*); *Ep. Boleslai regis Poloniae occisoris S. Stanislai* (*Quis iacet hoc tumulo Villaci si quaeris hospes?*); *Ep. Zophiae Reginae Poloniae, coniugis Jagellonis Regis Poloniae* (*Sanguine clara ducum Russiae clarissima quondam*). Ostatni wiersz Wiszniewski uznaje za utwór Grzegorza z Sanoka (Hist. Lit. III), należałoby kwestyę tę rozpoznać bliżéj. Następie mamy jeszcze: *Ep. Valeriani Drevicii (Valeriano*

sub hoc requiescunt ossa sepulcro...). Ep. Doctoris Erciessow (*Cui domus Erciessow nomen dedit Jacobus*...), *Ep. Doctoris Wratislavitae* (*Splendida quem tulerat Wratislavia parvum*...), *Ep. Petri Kmithae de Vysnycze* (*Hic ego Kmita tegor Petrus, cognosce viator...), In imagines Kmitarum* (*Hospes siste pedem, virtutis praemia nosce*).

Wobec tak poważnego świadectwa, wypada zbadać, czy można przyznać te utwory za wiersze Krzyckiego, czy stanowczo je odrzucić, jak to zrobił wydawca Krzyckiego.

Prof. Morawski sam nie jest pewien, co do autorstwa Krzyckiego trzech epitafii. Przy N. 15 znalazł notę w kodeksie Jagielońskim (w. XVII), która przypisuje ją Złotkowskiemu. Wobec świadectwa innych kodeksów XVI w., uwaga ta nie może zasługiwać na wiarę. NN. 30 i 31 uznane przez kodeksy Krasińskich i Jagielończski za nie-Krzyckiego, w naszych kodeksach są pomiędzy utworami Krzyckiego.

Natomiast N. 36 i 37 (*Epit.* Konarskiego) w kodeksie Paprockiego mają notę: *Stanislaus Hosius fecit.* Więc to stanowczo mają być utwory Hoziusza.

W k s i ę d z e s z ó s t é j znajdujemy *Carmina amatoria*; co do ilości utworów, jest to najobszerniejszy dział w poezyach Krzyckiego. Wiersze te dochowały się w rękopisach i prawdopodobnie za życia autora nie były drukowane. Kodeksa petersburskie ważnych dodatków i zmian nie zawierają.

W k s i ę d z e s i ó d m é j wydawca umieścił wiersze treści najrozmaitszéj, których nie udało się mu odnieść do żadnéj z sześciu poprzednich kategoryi. Prof. Morawski broni tu autorstwa Krzyckiego N. 31—Pochwała wina. Wiersz ten przypisywany Dantyszkowi we wszystkich kodeksach, a także i w kodeksach Paprockiego i Opalińskiego. Notę kodeksu kórnickiego *Cricius lusit* należałoby odnieść do wiersza następnego — *In laudem cerevisiae, quam vino opponit,* zgodnie ze świadectwem kodeksu Paprockiego.

K s i ę g a ó s m a zawiera *Dialogi de Asiana Diaeta* z przedmową wydawcy i uwagami współczesnemi, prawdopodobnie Górskiego. Tomiciana kod. Akad. (XIV, 158) i kodeks Paprockiego mają dalszy ciąg uwag, w których opowiedziane są intrygi Bony przeciwko kandydaturze Chojeńskiego na urząd podkanclerzego.

Tekst poezyi Krzyckiego prof. M. opatrzył obszernym wstępem, notami objaśniającemi i indeksem. We wstępie wydawca podaje wiadomość o wydaniach i rękopiśmiennych kodeksach, ocenia dotychczasowe prace nad Krzyckim, daje zwięzły jego życiorys, przedrukowuje biografią napisaną przez Górskiego i robi szczegółową analizę rodzaju, stylu i charakteru wiersza w poezyach Krzyckiego. Prof. M. dał tu więcéj nawet niż moglibyśmy wymagać od

wydawcy, i wstęp jego pozostanie cennym przyczynkiem do studyów nad Krzyckim. Noty dodane do tekstu albo ustalają tę lub ową lekcyą, albo objaśniają odnośne wypadki historyczne. W tym względzie wydawca miał wielką pomoc w kodeksach. Tekst został ustalony i objaśniony historycznemi notami przez Górskiego, pozostawało tylko skorzystać z gotowego materyału. O ileśmy porównywali tekst z oryginalnemi kodeksami, możemy poświadczyć, że jest wydany wzorowo i drobne usterki tak są łatwe do usunięcia i nic prawie nieznaczące, że szkoda czasu zwracać na nie uwagę. Przy wydaniu tekstu prof. M. trzymał się pisowni, przyjętej przy wydaniach pisarzy łacińskich, a nie naśladował niewolniczo pisowni kodeksów, przez co uniknął wielu błędów pisarskich, na jakie się narażają wszyscy wydawcy autorów polskich, którzy chcą zachować w przedruku pisownię pierwowzoru (1).

W indeksie wydawca dał spis imion własnych i rzeczy, chociaż tych ostatnich bardzo mało tu mamy. Wielka niedogodność daje się czuć z powodu braku spisu poszczególnych wierszy Krzyckiego, tj. tego co przyjęto nazywać rejestrem. Kto chce zdać sobie sprawę z kilkuset drobnych nieraz wierszy, musi sam układać taki spis, a moglibyśmy się spodziewać, że w takiem wydaniu braku tego nie uczujemy. Wypada życzyć, aby przy dalszych wydawnictwach poetów łacińskich, komitet wydawniczy Akademii postarał się usunąć tę wielką dla czytelnika niedogodność.

Kiedy doczekaliśmy się kompletnego wydania poezyi Krzyckiego, powinniśmy się spodziewać, że nasi utalentowani poeci pójdą w ślady Brodzińskiego i Syrokomli i dadzą nam w polskim przekładzie wybór celniejszych utworów Krzyckiego, tego poprzednika Krasickiego.

---

(1) Wydając Wizerunk Reja z zachowaniem pisowni, myśmy sami nie dojrzeliśmy wielu błędów ważniejszych, pilnując kresek nad *á* lub kropek nad *cż*. A że niepodobieństwem jest, przy warunkach dopilnowania pisowni, ustrzedz się większych błędów, za dowód mogą służyć świeże wydawnictwa uczonych profesorów pp. Malinowskiego i Kaliny. Pierwszy, jak doniósł „Kraj“ petersburski (rok 1889 N. 1), w nowém wydaniu „Modlitw Wacława“ zachował ściśle *z* bez kropki, a nie dojrzał ważniejszych błędów: zamiast hardość podał h*u*dość, zam. łodzie złamanie cirpiałem—codzien łamanie cirpiałem, zam. tego *dla* błogosławioną rzeką, podał tego *Na*błogosławioną rzeką. Prof. Kalina w wydaniu komedyi o Mięsopuście (Prace Filologiczne, II, 2) zachował ściśle pisownię, za to zamiast—*je* zowią wydrukował—*w*zowią, zam. Vszak—V szale, zam. Rabieiowie—Rabiecowie, zamiast lotra podał Joha, jak to sami przekonaliśmy się po sprawdzeniu z oryginałem. Wobec takich faktów stanowczo możemy twierdzić, że zachowanie pisowni w przedrukach nie prowadzi do żadnego celu, choćby i dlatego, że nie ma podobieństwa ustrzedz się od błędów nawet drukarskich.

St. Ptaszycki.



Z OBCEGO ZAGONA.

Die menschliche Familie nach ihrer Enstehung und natürlichen Entwickelung von Friedrich Hellwald. Lipsk. 1889. str. 597 in 8-o.

Prawie do dnia wczorajszego uważano rodzinę w téj formie jaką dzisiaj w narodach cywilizowanych spotykamy, za pierwotną i dotychczas niezmienioną komórkę, że tak nazwę, życia społecznego. Etyka, prawo i polityka były pod tym względem z sobą w zgodzie. Dopiéro antropologowie i etnografowie przed laty mniéj więcéj 25-ciu, przyjrzawszy się zbliska istniejącym jeszcze resztkom zwyczajów, szczególniéj zaś pokrewieństwu u tak zwanych dzikich; wniknąwszy lepiéj w niezrozumiałe wyrazy i wyrażenia autorów starożytnych; poznawszy organizacyą rodzinną Indusów i innych ludów azyatyckich: przekonali się, iż teraźniejsza rodzina, zwłaszcza ludów chrześciańskich, oparta na własności indywidualnéj i monogamii, jest rezultatem wiekowych przemian, odbywających się równolegle z przemianami własności. Na polu badań etnograficznych, biorących sobie za cel poznanie rozwoju rodziny, odznaczyli się pionierowie tacy, jak: Bachofen, Riehl, Morgan, Lubbock i inni mniejszéj zasługi. Literatura, tego przedmiotu dotycząca, urosła już w szeregi dzieł; potrzeba było kogoś, coby zebrany i krytycznie rozrobiony materyał uporządkował i do ogólnych wniosków sprowadził. Jakoż, pracy téj podjął się Hellwald, autor dobrze znany i zasłużony w zakresie etnografii: podany wyżéj tytuł jego dzieła wskazuje, że właśnie w tym duchu, co wspomniani pisarze, roboty dokonał.

Przyjrzyjmy się najprzód treści jego pracy, o ile ją same nagłówki rozdziałów podają. Mamy tedy wraz z krótkim wstępem rozdziałów 30, w których autor rozważa następujące przedmioty: rodzaje, czyli płcie i popęd płciowy, zalecanki i umizgi w świecie

zwierzęcym, życie rodzinne pośród zwierząt, człowiek pierwotny w stanie natury, poczucie wstydliwości i jego objawy, pocałunek i miłość, stosunki płciowe w czasach pierwotnych, spółka rodowa i grupa matczyna, egzogamia i powstanie klanów, rozwój i istota matryarchatu, urządzenia i obyczaje pod matryarchatem, formy związków w matryarchacie, polyandrya, lewirat, porywanie kobiét i jego skutki, fazy udanego porywania, kupno niewiast, cywilizacyjne następstwa kupna niewiast, rozwój patryarchatu, patryarchalne wielożeństwo, rodzina w islamizmie, harem, czasowe i dzikie małżeństwa, rozwój patryarchatu w Indyach, klanowa i wioskowa organizacya, związki rodów, rodzina starożytna, rozwój nowożytnego małżeństwa i rodziny.

Zgodnie z teoryą rozwoju, autor zaczyna dzieje rodziny od tych objawów, które i w świecie zwierzęcym są znakami jednego z najpotężniejszych popędów między różnemi płciami, tj. od popędu rozrodczego. Objawy tego popędu w świecie ludzkim doprowadzą stopniowo do rodziny ludzkiéj takiéj, na jaką patrzymy; ale nim to mogło nastąpić, tysiące lat musiały upłynąć. W ciągu długiego czasu, nędzne i nagie hordy ludzkie żyją obyczajem zwierząt, *more ferarum*; o rodzinie w téj odległéj epoce nie mogło być mowy; panuje mieszanina, *promiscuitas*, związki czasowe, chwilowe, często nawet, jak dziś nazywają, kazirodcze. W takim stanie rzeczy jeżeli ojciec rzadko jest pewny, matka dziecka najpewniejsza, bo krwią i materyalnym węzłem z niém połączona—*mater semper certa*. Ale okoliczność ta daje też jéj przewagę w powstawaniu rodziny; za matką idą dzieci, jéj nazwisko noszą, po niéj dziedziczą, bracia matki są dziecku bliżsi od ojca rodzonego i jego braci; ztąd powstaje inny system pokrewieństwa, inne zwyczaje i obyczaje, niż w epoce późniejszéj, gdy matka zeszła na plan drugi, a na czoło wystąpił ojciec. Dla tego też w rozwoju rodziny odróżniamy te dwie wyraźne fazy: matryarchat i patryarchat, nie mówiąc już nic o tych bardzo luźnych związkach, panujących w stanie dzikości człowieka.

Czynnikiem, decydującym o przejściu z jednéj, niższéj formy rodziny do wyższéj, była własność, z początku ruchoma, wspólna, bez różnicy, potém rodowa, bracka, a nareszcie i indywidualna. Matka pilnuje namiotu, dzieci i nielicznych sprzętów ruchomego domu. Ale dopiéro utrwalenie się własności ziemskiéj pociągnęło za sobą utrwalenie się rodziny w formie matryarchalnéj, albowiem i wówczas jeszcze mężczyzna był po większéj części za gniazdem, polował albo próżnował, a kobiéta, matka, musiała około ziemi pracować, ażeby z niéj wydobyć skąpe wyżywienie dla rodziny.

Tym sposobem rozumiemy, dla czego matka w prastaréj rodzinie zajmowała takie stanowisko, jakie późniéj zajął mężczyzna—ojciec.

Jak długo trwało to prawo macierzyńskie, albo kiedy nastało prawo ojcowskie, któż-to może oznaczyć? Ludy téj epoki nie mają swojéj historyi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, przewaga ojca w rodzinie wzięła początek wśród koczowników azyatyckich i dla tego Azyą można uważać za właściwą ojczyznę patryarchii i tych urządzeń społecznych, które z niéj powstały. Etnografowie przypuszczają, że to zwycięstwo ojca w rodzinie ani odrazu, ani pokojowo zostało otrzymane: że wojna między mężczyzną a kobiétą ciągnęła się długo, i że strona zwyciężona, tj. matka i córka, niechętnie poddały się przemocy.

Nastały zatém rządy mężczyzny, ojca, czyli patryarchia a z nią inna organizacya rodziny. Rodzina patryarchalna nie jest to jeszcze dzisiejsza, odrębna rodzina lecz raczéj grupa rodzin, podlegających ojcowskiéj władzy. Władza znów patryarchy gruntuje się na p o s i a d a n i u ludzi, czego nie widzimy w poprzednim peryodzie za rządów macierzyńskich. Z tego to właśnie mętnego źródła, z tego prawa do posiadania ludzi, wynikły inne zjawiska. Bo oto najprzód, każda kobiéta, wchodząc jako żona do rodziny patryarchalnéj, stawała się już tém samém własnością patryarchy, naczelnika zbiorowéj rodziny; a gdy ten został naczelkiem pokolenia, zyskiwał prawo do wszystkich niewiast tegoż pokolenia. Takie urządzenia istnieją dotychczas w pokoleniu Niam-niam, w środkowéj Afryce, gdzie naczelnik ma prawo do wszystkich kobiet pokolenia, a nawet własne córki uważa za swoje żony. Król Dahomeyu sam tylko rozporządza córkami swoich poddanych, a gdy je w małżeństwo oddaje, pobiéra za nie opłatę, która wpływa do jego skarbu. Kto więc chce się żenić, kupuje sobie żonę od króla, który jako patryarcha patryarchów, sam jedynie ma prawo decydować o życiu i mieniu swoich poddanych. W tych urządzeniach, czyli raczéj zwyczajach, leży także początek prawa, albo po dzisiejszemu bezprawia, zwanego *jus prime noctis*, nieobcego dawniéj nawet chrześcijańskiéj Europie.

Na gruncie patryarchii wyrosły prócz tego: s z l a c h t a i n i e w o l n i c t w o. Patryarcha, jako pan samowładny wielożennéj rodziny, powoli zamienia się w naczelnika pokolenia i doznaje od wszystkich, zarówno od pospólstwa jak i od mniejszych patryarchów, najwyższego poważania; jeszcze krok jeden a zostanie królem. Mniejsi patryarchowie zejdą na starszyznę, staną się naczelnikami rodów (w staroniemieckim Adal=*Geschlecht*=ród; ztąd niezawodnie poszedł nasz wyraz s z l a c h t a). Patryarcha jest tedy

właścicielem całego pokolenia, a témbardziéj swoich żon i dzieci, które stają się jego niewolnikami; liczbę ich powiększą ludzie, schwytani na wojnie, która wśród hord pierwotnych stanowi niemal stan normalny. Za matryarchii szlachta i niewolnictwo jeszcze były niemożebne; matryarchat z natury swojéj prowadził, mówiąc teraźniejszym językiem, do demokracyi; patryarchat do monarchii absolutnéj. Przejście wszakże od patryarchii do monarchii nie odbyło się od razu i nagle, lecz poprzedziła go, jako ogniwo pośrednie, organizacya klanowa, obejmująca pewną liczbę rodów (po niemiecku *Sippenverband*). Rody te uważały się jako potomkowie wspólnego przodka, praojca; członkowie ich mieli się za b r a c i; występowali do wojny pod wspólną chorągwią, mieli wspólne zawołanie (*proclma*) i czuli się niejako jedną rodziną, w któréj bracia za braci do odwetu są obowiązani (1).

Mówiąc o organizacyi klanowéj, Hellwald poświęca kilkanaście stronic swojéj książki podobnéj organizacyi u Słowian południowych. Resztki jéj przetrwały do naszych czasów. Autor wprawdzie sam na miejscu nie badał tych urządzeń, ale opiéra się na dobrych źródłach, mianowicie na pracach Baltazara Bogišića (*Pravni običaji u Slovena*), Fr. Kraussa (*Sitte und Brauch der Südslaven*) i Gešowa. Pozwolimy sobie zatém dłużéj nieco zabawić przy tym ustępie dzieła Hellwalda, gdyż sądzimy, że organizacya społeczna tych plemion słowiańskich sięga prawdopodobnie czasów naszego Mieszka I i mogłaby poniekąd służyć do wyrozumienia naszych stosunków społecznych i prawnych wieku X i XI. Nie przypuszczamy, żeby dla wdrożonych slawistów, poniższe wiadomości przynosiły coś nieznanego; ale zwyczajny czytelnik znajdzie niejeden szczegół zajmujący.

Według pomienionych autorów, u wszystkich ludów słowiańskich spotykamy na początku ich dziejów, „zadrugę", s p ó ł k ę d o m o w ą (*Hausgenossenschaft*); ślady jéj widoczne są nawet u tych Słowian, gdzie już dawno istnieć przestała; wszędzie zaś i zawsze podstawę jéj stanowił z w i ą z e k k r w i, a celem były interesa ekonomiczne. Do dziśdnia śród plemion czarnogórskich jak niemniéj w Hercegowinie i Cattaro panuje przekonanie o wspólném pochodzeniu od jakiegoś praojca. Zawsze takie pokrewne spółki tworzą z sobą polityczny i religijny związek na podstawie wspólnéj

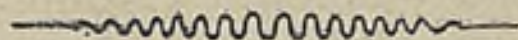
(1) Z takiego punktu widzenia, mianowicie, że p o k r e w i e ń s t w o było podstawą bractw rodowych, pogląd Piekosińskiego na powstanie szlachty u nas, miałby dużo prawdopodobieństwa za sobą. (O dynastyczném szlachty polskiéj pochodzeniu. Kraków. 1888).

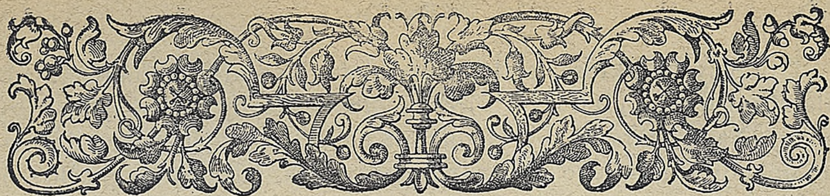
własności ziemskiéj. Związek ten nazywa się b r a c t w e m, tak tak jak u Greków *fratria*. Z wielu bractw, wywodzących swój początek od wspólnego praojca, tworzy się p l e m i ę, albo jak w Czarnogórze i Hercogowinie, *nahija* (rzymska *tribus*, grecka *fylé*). Każde plemię w czasie osiedlania się otrzymało kawał ziemi odgraniczony od innych plemion a nazywający się ż u p ą. Wybieralny naczelnik żupy nazywał się ż u p a n; na czele plemienia stoi teraz w o j e w o d a, która-to godność przysługuje tylko pewnym plemionom. Spółplemieńcy, o ile nie należą do tego samego bractwa, mogą zawierać z sobą małżeństwo. Obecnie plemiona takie istnieją tylko w Czarnogórze i w małéj części Hercogowiny. Wogóle, plemię ma się do bractwa, jak to ostatnie do spółki domowéj. Bractwo powstaje wówczas, gdy pokrewni bracia opuszczają spółkę domową i zakładają osobne gospodarstwa. Wszyscy członkowie bractwa zwani *bratstveniki* uważają się za pokrewnych i dla tego dawniéj nikt w swojém bractwie nie pojmował żony. W bractwie występują wszyscy za jednego, a jeden za wszystkich, osobliwie, gdy chodzi o zemstę. Bractwo stosownie do liczby głów, zamieszkuje jednę lub więcéj wiosek. Czasami bractwo bywa tak małe, że tylko kilka domów w téj saméj wsi do niego należy. Zawsze jednak członkowie bractwa wiedzą do którego z nich należą, jeżeli kilka bractw jednę wieś zamieszkuje. Naczelnik bractwa reprezentuje je pod względem politycznym, jest wybiérany przez męzkich członków tegoż i nazywa się jak n. w Czarnogórze *knez*. Na zgromadzeniach mają głos i miejsce tylko naczelnicy domów. Bractwa tylko w niektórych okolicach istnieją, ale nawet i tam gdzie znikły, pozostała świadomość pokrewieństwa, wyrażająca się w uroczystość wspólnego patrona (*Krsno Ime*) za pomocą wspólnego święta. Bogišić uważa to święto za reminiscencyą przedchrześciańskiéj uroczystości *penatów*. Zdaniem tegoż autora, do podobnéj organizacyi społecznéj nie możnaby jeszcze stosować nazwy patryarchii, albowiem władza naczelnika w pokoleniu, lub bractwie, wcale nie jest tak absolutna, jak patryarchy, a ztąd wniosek, że bliższa jest raczéj matryarchii, a więc dawniejsza; chociaż bowiem kobiéta już została zepchnięta na plan dalszy, jednakże *domačica* używa w zadrudze pewnéj powagi, jéj to bowiem, nie zaś *domačinowi* podlegają wszystkie niewiasty takiéj spółkowéj rodziny (*joint-family*). Jako inny dowód starożytności organizacyi społecznéj u Słowian południowych możnaby przytoczyć, że p o b r a t y m c y uważają się za bliższych krewnych rodziców i rodzeństwa takiego pobratymca, aniżeli swoich rodzonych braci. Świadkowie przy chrzcie lub małżeństwie, *kum* i *kumče* także są jakby krewnemi, nie mogą z sobą za-

wiérać małżeństwa, podobnie jak i rodzeństwo mléczne (*po mlicku*), tj. dzieci choćby obcéj rodziny, ale jedną piersią karmione.

Nie przeciągamy daléj obrazu urządzeń starosłowiańskich, nie chcąc wchodzić w drogę naszym historykom i wracamy do głównego przedmiotu. I matryarchia i patryarchia, przeżyły się i znikły, lubo nie na całéj kuli ziemskiéj; w historyi niemasz nic wiecznego, nic tu nie kamienieje na wieki, wszystko płynie i nowe przybiéra formy. Rodzina także, z patryarchalnéj zamieniła się na dzisiejszą, indywidualną, podobnie jak i własność ze zbiorowéj, przeszła w indywidualną. Stało się to już pod wpływem chrześciaństwa, które i na miłość i na małżeństwo nowe przyniosło poglądy; w miejsce poligamii, nastała monogamia, przynajmniéj formalna. Zawsze jeszcze prawo ojcowskie pozostało w swojéj mocy, wprawdzie modyfikowane zasadami prawa kanonicznego, ale jeszcze dość silne. Dopiéro pod koniec zeszłego wieku we Francyi doznało ono pewnego zachwiania i odtąd datuje się zwrot do rozluźnienia ciasnych więzów rodzinnych. Emancypacyjny ruch ku wyzwoleniu kobiéty i dzieci, w stosunku do męża i ojca, doprowadził gdzieniegdzie do tego, że jak np. w Stanach Zjednoczonych Ameryki, rodzina ulega w naszych czasach rozproszkowaniu; świat dąży widocznie do jakiéjś nowéj formy: indywiduum zostało wyzwolone.

Sygma.





WRÓBEL.

(STUDYUM Z NATURY.)

„Wróbel, wróbel!“ wykrzykiwał tłum pierwszoklaśników, za inicyatywą drugorocznych.

Stąpając powolnie, chociaż i zamaszyście, zbliżał się ku nam krępy i barczysty, co najmniéj 20-letni gimnazista o ciemnéj, opryszczonéj twarzy i ostrych rysach. Nie dowierzając pozornéj jego obojętności, gromadka krzykaczy schowała się do klasy, ażeby znów hurmem wysypać się na olbrzymi korytarz, gdy prześladowany minął drzwi. Wybiegłem, krzycząc wraz z innymi. Nagle wszczął się nie opisany popłoch: „wróbel“ zwrócił się i poskoczył ku nam. Jeden z malców został złapany. „Wróbel schwycił go za ucho, ale wnet, jak gdyby przestraszony przeraźliwym krzykiem i płaczem—puścił go i poszedł daléj spokojnie, ścigany takim samym krzykiem innych klas niższych. Starałem się dowiedzieć, kto to taki i za co go tak przezywają? Odpowiedzieli mi z powagą drugoroczni, że jest-to szóstoklaśnik Grodowski, bardzo silny, najsilniejszy z całéj szkoły, że, gdy mu się raz zdarzyło naprawdę rozgniewać, wybił całą swą napadającą nań klasę, i że koledzy tak samo mu dokuczają.

— Pewno on donosi i przeskarża?—pytałem.

— Nie.

— To zapewne krzywdzi słabszych?

— Nie, on jest dobry,—odpowiedziano mi znowu.

— Miła dobroć! A jak wrzeszczał ten biedak!—Nie oderwał ci ucha wróbel? zwróciłem się do podrzednio złapanego kolegi.

— Ledwo ścisnął palcami, jeszcze mi sam głowę przytrzymywał, żebym sobie go nie naciągnął.

— I za cóż go prześladują?—pytałem znowu.

— Tak sobie, on taki śmieszny.

Stancya, na któréj stałem, należała do mniéj renomowanych; dla uczni wraz z „starszym“ był tu przeznaczony jeden tylko duży pokój. Nasz „starszy“ był jednym z najsroższych, to téż szał radości opanował nas, jego opiece powierzonych, gdyśmy się po Bożém Narodzeniu dowiedzieli, że dano mu inną stancyą do doglądania, a naszą powierzono... Grodowskiemu.

— Mam nadzieję, panowie, że będziemy zgodnie żyli,—powiedział on nam na wstępie z uśmiechem szerokim, dobrodusznym i głupowatym, który mimowolny śmiéch budził w innych, ale jak gdyby śmiéch z niego.

Zagospodarował się on zaraz w swym kąciku, poukładał starannie na wiszącéj nad łóżkiem półce książki, które, choćby najstarsze, wyglądały jak nowe, ustawił kuferek; my zaś, mali, obstąpiwszy go, śledziliśmy cały czas jego nagłe ruchy i wszystko w nim, nawet zamiłowanie do porządku, wywoływało naszę wesołość. Po tygodniu był on naszym męczennikiem. Posiadając nieograniczoną władzę nad nami, przy rzadkiéj zresztą sile fizycznéj, nie tylko nie umiał utrzymać porządku na stancyi, ale nie był nawet wstanie obronić własnéj osoby od małych napastników, którzy coraz więcéj się ośmielali, jak żaby w bajce względem swego pierwszego króla. Dokuczaliśmy mu okropnie, chociaż żaden z nas nie czuł ku niemu nienawiści ni urazy,—to téż jednocześnie staczaliśmy o niego bójki w gimnazyum z kolegami, którzy nie zaprzestali witać go i przeprowadzać po dawnemu. Zdaje mi się, żeśmy go nawet lubili; pamiętam, jakeśmy nad nim ubolewali, iż za 10 złotych miesięcznie musiał chodzić co wieczora na lekcyą na drugi koniec miasteczka do żyda Jojny, często w najgorszą pogodę i błoto, w którém konie tonęły. Uczył on tam jakiegoś żydka okrutnie tępego, który wcale nie znał języka wykładowego. Miał zwyczaj zwierzania się ze wszystkich swych zamiarów i projektów nam malcom, pomiędzy którymi najstarszy liczył 13 lat; nie mogliśmy téż zrozumiéć, dlaczego, pomimo jednogłośnéj naszéj dezaprobacyi, on, jedynak u bogatego kupca z sąsiedniego miasteczka, przyjął tak nędzną kondycyą, z któréj my zresztą mieliśmy wielką uciechę, gdyż wysłuchiwaliśmy co wieczora najdetaliczniejszéj z mimiką i imitacyą żargonu żydowskiego relacyi, z owéj lekcyi, do któréj mieszał się, gdy był obecny, sam Jojna, stosując swe uwagi czasem do ucznia, a czasem i do nauczyciela: wszyscy mieli za nic biédnego Grodowskiego.

Jedném z najpożądańszych dla nas haseł było: „Grodowski przy studni!“ Na to hasło w jednéj chwili, cisnąc się i potrącając, zbiegaliśmy się do jedynego okna, z którego można było widziéć ową studnię. „Starszy“ nasz wypatrzył, że któraś z dziewcząt przyszła

po wodę, i niby niechcący zbliżył się też i uśmiechając się najsłodziéj i najgłupiéj, bawił konwersacyą swą damę z wiadrami. Końca każdéj takiéj konwersacyi byliśmy z góry pewni: po chwili nieśmiały bohater powracał wyśmiany, wzburzony i drżący, — ale z uśmiechem.

Nie bywał on w żadnym domu familijnym i jeśli zdarzało mu się wracać trochę późniéj wieczorem—wiedzieliśmy, że się u kolegów zasiedział, za opóźnienia się zaś te ponosił straszliwą karę. O godzinie dziesiątéj nie ma Grodowskiego: cała stancya składa walną naradę i tworzy „projekt“ udręczenia go. Każdy proponuje inną niespodziankę, i kiedy już wszystko urządzone, kładziemy się do łóżek i oczekujemy. Po chwili słyszymy w podwórzu wesołe gwizdanie ofiary; słyszymy, jak mija ona sień, szuka klamki i w najlepszéj wierze otwiera drzwi: w tym właśnie momencie kilka stołków ustawionych jeden na drugim i do drzwi przypartych—pada na wchodzącego ze straszliwym łoskotem. My udajemy śpiących martwym snem. Grodowski klnie, grozi,—my ani słówka. Poustawiawszy stołki i zapaliwszy światło zabiera się do spoczynku, ale łóżko, z którego deski wyjęto, z nowym rumorem zapada się pod nim. Klątwy i groźby idą *crescendo*,—my jak gdybyśmy wymarli. Nakoniec znów wszystko w porządku, światło zgaszone, ale zaledwo męczennik zaczyna drzémać, stołek, na którym tak starannie poskładał swe ubranie, porusza się. Grodowski zrywa się, siada na łóżku i z przerażeniem wpatruje się weń, nie widząc sznurka, który jest przyczyną niezrozumiałego dlań fenomenu. Nagle wśród martwéj ciszy zaczarowany stołek robi z wielkim hałasem skok w stronę pieca, gdzie niema nawet żadnego łóżka: Grodowski zaczyna się żegnać, powtarzając cały drżący półgłosem: „Boże! zmiłuj się!“ Tu już nie mogę się wstrzymać i wybucham spazmatycznym śmiechem. Cały przestrach Grodowskiego przechodzi we wściekłość:

— A, to ty takie awantury wyprawiasz? Chowam głowę pod kołdrę i krzyczę z całéj mocy, podczas kiedy Grodowski stara się dostać do moich uszu. Wtedy inni spiskowcy zaczynają też krzyczéć: „Ach ty wróblu przeklęty! chcesz go zadziobać? I nie wstyd ci się pastwić nad takiém maleństwem? Chyba nie wiész, że na takich wróbli są klatki z żelaznemi kratkami?“ Chęć skarcenia którego z głośniejszych krzykaczy zmusza biédaka do zapomnienia o mnie, a wtedy znów reszta i ja w téj liczbie zaczynamy téż samę litanią z waryacyami. Nacieranie nam uszu po kolei kończy pojawienie się gospodyni, która wpada przerażona niesłychanym hałasem. My wszyscy na wyprzódki skarżymy się jéj na Grodowskiego, który „przyszedł, kiedyśmy już spali i pobudził nas przewracaniem stoł-

ków; gdyśmy go zaś poprosili, żeby się sprawował trochę ciszéj,—zaczął nas bić pokolei“. Gospodyni pali mu, nie słuchając tłómaczeń, paternoster i grozi, że powie dyrektorowi, jeśli podobna scena jeszcze się kiedy powtórzy. Na drugi dzień nasz „starszy“ budził się ze zwykłym swym uśmiechem i bez najmniejszéj urazy do nas; wieczorem zaś wysłuchiwaliśmy sprawozdania z lekcyi u Jojny.

Zdarzyło się raz Grodowskiemu użyć swéj władzy, ale z jak nędznym dla siebie rezultatem! Wpisał on jakiś mój wybryk do księgi stancyjnéj, co pociągało za sobą niechybnie areszt i złą notę z prowadzenia się. Widziałem siebie już w karcerze, słyszałem w wyobraźni mymówki wuja i gdéranie ciotki, i nos coraz bardziéj spuszczał mi się na kwintę. Spojrzałem z podełba na Grodowskiego, który siedział przy stole wpółzwrócony ku mnie, zasępiony. Jednakże wesołe spojrzenia nasze skrzyżowały się.

Po chwili zerwał się on raptownie jak zawsze, dostał z półki księgę, odszukał w niéj fatalne miejsce i milcząc zaczął najprzód gumą, następnie scyzorykiem niszczyć groźne dla mnie litery, a to tak sumiennie, że ukazała się w tém miejscu dziura.

— Co to?—zapytał tego samego wieczora z niezadowolną miną inspektor.

— To... to...—jąkał się Grodowski—tu był rozlany atrament.

— A któż go rozlał?

— Ja... niechcący.

— Wierzę o tyle w pański rozum, żeby nie przypuszczać, iż pan umyślnie poléwasz księgę atramentem, ale mógłbyś pan być ostrożniejszym. A może tu był kto wpisany?—dorzucił nagle, patrząc badawczo na mnie: słynąłem z psot. Wszystka krew spłynęła mi do serca.

— O nie,—pośpieszył z odpowiedzią Grodowski:—rozlałem w tém miejscu niech... atrament.

Inspektor pogroził mi palcem w milczeniu.

Mieliśmy swego „starszego“ za wielkiego poczciwca, dokuczanie jednak szło daléj swoim trybem, pewna wszakże okoliczność wzbudziła w nas taką litość ku niemu, żeśmy zaprzestali znęcać się nad nim, przynajmniéj zbiorowo i systematycznie.

Pewnego razu syn gospodyni wpadł, wołając:

— Panie Grodowski, proszę iść, rodzice pańscy są u mamy.

W jednéj chwili biédak niby zmalał. Niebawem powrócił z ojcem i matką. Oglądaliśmy ich ciekawie. Ojciec był małego wzrostu, suchy i krępy mężczyzna lat 45, z obrzydliwą rudą brodą, a matka była to tłusta baba w stroju mieszczańskim. Oboje chmurni, ledwie nie monosylabami rozmawiali z synem i to wciąż zadając mu

pytania. Matka zabrała się do rewidowania kuferka syna, który był tak zmieszany i wystraszony, jak nigdy. Rewizya długo odbywała się w milczeniu.

— A gdzie się podziała jedna koszula?—zapytała nagle matka.

— Kochana mamo! ona już miała pięć lat.

— Nie pytam cię o jéj metrykę, lecz chcę wiedziéć gdzie ona?

— Ona już była do niczego.

— Bardzo dobrze, ale gdzie ona?

— Ja... ja ją darowałem—wykrztusił nieszczęśliwy.

— Darowałeś? Jakto darowałeś?—kupcowa powolnie wstała.

— Oddałem ubogiemu.

— Widzisz ojcze, jaki to się bogacz znalazł: bieliznę ubogim rozdaje.

— Ależ ta koszula była stara i porwana.

— Milczéć, łajdaku! — krzyknął ojciec;—to ty rozdajesz moję krwawicę i śmiész się jeszcze odgryzać? to tak się odpowiada rodzicom?

Oboje z groźną miną i groźnemi gestami następowali na syna, który z wyrazem przerażenia na twarzy cofał się.

Ale wkrótce został przyparty do ściany, i głowa jego znalazła się jak raz naprzeciw oszklonego obrazka, przedstawiającego polowanie. Zwiesił ją biedak na piersi i stanął jak skazany.

— Taką masz dla nas wdzięczność i szacunek,—syczał rodzic dając mu głośny policzek.

— Czemu w oczy nie patrzysz, psie?—mówiła jędza, i macierzyńską ręką tak mocno uderzyła go w podbródek, że głowa jego rozbiła szkło obrazka, który tak już pozostał niby na pamiątkę.

Oburzenie nasze nie miało granic, długo o niczém nie mówiliśmy, jak tylko o niesprawiedliwém i srogiém postępowaniu życiodawców naszego „starszego“.

— Gdyby nawet ta koszula była nowa,—debatowaliśmy: i gdyby on ją zmarnował, to czyż można byłoby bić za to dorosłego człowieka przy jego uczniach. Biédak radził się nas nawet, czy można już oddać tę koszulę: były to same strzępki. A jaki on dobry syn! Przecież mógłby w palcach zdusić tego rudobrodego kata i tę tłustą krowę, a jednak ani się nawet umknął, ani słówka nie pisnął. Pewnie on od ciągłego bicia taki głupowaty. Panowie! przestańmy mu dokuczać, koniec „projektom“.

Od tego czasu obchodziliśmy się z nim jak z chorym, chociaż na drugi dzień po wyjeździe rodziców uśmiech znów powrócił mu na usta. Po dwuletnim pobycie w 6-éj dostał on promocyą do 7 klasy. Po wakacyach umieszczono mię już na innéj większéj stancyi, ale

i tu jednym z dwóch „starszych“ był znowu Grodowski: zamieszkałem nawet z nim razem w jednym niewielkim pokoiku. Był on wciąż wesół i zadowolony. Wszystko mu się uśmiéchało: miał możność wypłacić się z długu u żyda za placuszki i obwarzaneczki (nigdy mu nie wystarczało dawane na stancyi jedzenie), bo mu ojciec darował wspaniałomyślnie aż 3 ruble na jego własny użytek; posiadał nowy mundur i, oprócz tego wszystkiego, w miejscu dawnéj lekcyi u Jojny, dostał inną 5-cio rublówą, nie mówiąc już o tém, że gdy na dawnéj kwaterze dawano mu za „starszeństwo“ zaledwie 50% rabatu na nadzwyczaj lichém utrzymaniu,—tu jego rodzice nic dopłacać nie potrzebowali, co stanowiło zapewne dla naszego biédaka wielkie zmniejszenie dozy odbieranych policzków. Wszystko mu szło bezporównania lepiéj. „Projektów“ nikt nie śmiał tworzyć, chociażby już dla tego, że jego współtowarzysz, sprawny i energiczny, w znakomitym rygorze trzymał wszystkich, i tylko chyba mój jakiś wybryk minął płazem, bo mię Grodowski zawsze osłonił.

Żyliśmy z nim w najlepszéj komitywie, chociaż traktowałem go trochę protekcyonalnie, nie mogąc w żaden sposób uznać jego wyższości umysłowéj, co go zresztą mało obchodziło. Czasami w dzień on mi pomagał w trudnéj dla mnie łacinie, a wieczorem, gdyśmy się już do łóżek pokładli, ja mu prawiłem jakąś bajkę z cudami, lub świeżo przeczytane fantastyczne opowiadanie, wysilając się ciągle na strachy i dyabły, bo mię nieskończenie bawił przestrach Grodowskiego, który kilka razy w toku zjawiania się tych okropności powtarzał:

— Czyś zwaryował, żeby takie rzeczy na noc opowiadać? a czasami żegnał się.

Ta błoga egzystencya zakończyła się nadzwyczaj tragicznie. Tego dnia, który mi nigdy nie wyjdzie z pamięci, było jakieś święto, z perspektywą niedzieli nazajutrz. Grodowski wczoraj otrzymał swą gażę miesięczną, 5 rs. i z tego powodu zdawało się urósł, jak gdyby mu powagi przybyło: chyba pierwszy raz w życiu posiadał taką sumę na swą wyłączną własność:

— Słuchaj, Janku!—powiedział mi zrana:—jak myślisz? Kruczyński, Łąkiewicz i Landhof ugaszczali mię nieraz; czyż teraz, kiedy moje interesa stoją nieźle, nie należałoby mi odpłacić się im?

— I co tam pan masz? pięć rubli? Toż one panu pękną w jeden wieczór.

— Broń Boże! Myślisz, że ja jakiś nadzwyczajny bal chcę wydać? Ot bierz ołówek i licz, co to nas będzie kosztowało. Jesteś gotów? Zaczynam: butelka wódki, bo to rozumiesz, przed zakąską koniecznie potrzeba przełknąć kieliszek, inaczéj niema przyjęcia.

— No, dobrze!—cóż ta wódka będzie kosztowała?

— Butelka znośnéj wódki—40 kopiejek.

— Jest.

— Daléj funt „sosisek“.

— Cały funt sosisek? Boże zlituj się! Czy to pan wilki spraszasz?

— At pleciesz! Będzie nas przecież czterech, a ty piąty, a zresztą wiesz, że ja sam mam niezły apetyt.

— A zatém 20 kopiejek—jest!

— Daléj funt szynki.

— Co pan wyrabia, ależ to...

— Po wódce, Jasieńku, pójdzie to jak po maśle. Pisz 20 kop.

— Jest—odpowiedziałem, wzruszając ramionami.

— Potém trzeba będzie kupić dobrego kawona.

— Dobry kawon w tym czasie będzie kosztował co najmniéj 20 kopiejek.

— Zapisz zatém 40 kop., bo myślę, że jednego będzie mało.

— Ależ, panowie popękacie!

— Bóg wié co opowiadasz! Szepnę ci pod sekretem, że o dobry zakład, zmiótłbym sam wszystkie te zapasy. Daléj trzeba będzie wziąć z osiem butelek dobrego piwa.

— Osiem butelek na cztéry osoby? Niech pan prócz tego nie zapomina, że butelka dobrego piwa kosztuje 15 kopiejek.

— Cóż robić! przecież to może raz w rok robi się taki wydatek, a zawsze będę się czuł u nich trochę swobodniéj. Pisz pół tuzina piwa.

— Jest.

— Teraz podsumuj! Ale nie, zapisz jeszcze pół funta tych małych kwaskowatych... tych, wiész, różnokolorowych cukierków, które my z tobą tak lubimy.

— Monpansier?

— Tak, tak.

— I na cóż to, niech mi pan wytłómaczy? Cóż to, pan wesele sprawia, cukrowa kolacya będzie?

— Widzisz, to na zakąskę, a zresztą ty do wędlin nie jesteś wielkim amatorem, piwa i wódki nie pijesz, to będziesz jadł cukierki.

Chciało mi się rzucić na szyję poczciwemu wróblowi, ale utrzymałem jednak powagę, wyrzekłszy:

— Wymyśla pan, aby tylko pieniądze tracić.

Wydatek jednak zapisałem.

— A zatém wszystko stanowi 2 rs. i 30 kop,

— Nie może być? Aż tak dużo. Ha, cóż robić (położył na stół przepatrzony rachunek). Ale słuchaj, kochany Jasiu, ty mi to wszystko musisz kupić, tylko nie mów nikomu, że to dla mnie, bo by mnie za wódkę i piwo, do karceresu wsadzili. Powiész, że to dla jakiegoś twego brata, kuzyna, lub stryja.

— Ale za kogo mnie pan ma? Czyżem ja już taki głupi?

Wieczorem zeszli się sproszeni goście, tylko z dodatkiem dwóch niewymienionych wyżéj, i uczta się rozpoczęła, przy zamkniętych drzwiach od innych uczniowskich pokoi. Z małych, ja jeden tylko byłem obecny uczcie, bo chociaż były w towarzystwie głosy za wydaleniem mnie, gospodarz obstał za mną.

Wódkę pito, zakąsywano, popijano piwem i herbatą, któréj gospodyni podjęła się wspaniałomyślnie dostarczyć na ten fest,— papiérosy palono, że aż ciemno się robiło w małym pokoiku (okna bano się otworzyć).

Około godziny 10-éj, wpół pijany od dymu tytoniowego, zaczynałem już drzémać, gdy nagle, podniesiony a piskliwy głos Landhofa, przebudził mnie.

— Panowie! wartoby urządzić maleńką gierkę!

Był to gracz zawołany ten Landhof, a w modzie była wtenczas w szkole gra furmanów—w „orlankę“.

— Ja nie gram — odezwał się Grodowski.

— Nie ty jeden tu jesteś — odpowiedział Landhof.

— Ja zaryzykuję, na te ciężkie czasy, jakiego rubelka — odezwał się Kruczyński—ale uprzedzam cię, Landhof, że nie mam najmniejszego zamiaru zgrać się, jak to miało miejsce ostatni raz.

Po chwili zostałem zupełnie rozbudzony brzękaniem monet, regularnemi wykrzykiwaniami na różne tony: „orzeł“! „rzeszotka“! ubolewaniami, klątwami, nieznacznemi sprzeczkami. W pół godziny potém, całe towarzystwo należało już do gry, z wyjątkiem Grodowskiego. Spojrzałem na niego: twarz mu pałała, oczy się świéciły, widać było, że go zły duch coraz usilniéj do gry podmawia. Zauważyłem nawet, że parę razy zrobił gest ręką, jak gdyby dla dostania pieniędzy, parę razy usta otworzył, jak gdyby chcąc objawić, że się téż do gry przyłącza, raz nawet powiedział z mocném postanowieniem. „No panowie“... ale nikt go nie usłyszał, nikt nie zwrócił uwagi na jego wykrzyknik i Grodowski jeszcze na jakie 5 minut, pozostał bezczynny.

Landhof miał rzucić monetę.

— Stawię rubla na orła — krzyknął nagle Grodowski, z całéj prawie siły.

— Czyś oszalał, mój kochany? Czy chcesz koniecznie, żeby aż u inspektora było słychać, jak ty grasz? Czy nie mógłbyś trochę ciszéj mówić?—posypało się nań ze wszech stron.

— Ale ty wiész, Grodowski — odezwał się Landhof—że my tu gramy na gotówkę.

— I cóż z tego — odpowiedział z dumą zaczepiony, wyjmując z jednéj kieszeni 2 rs. z pozostałemi drobnemi, a z drugiéj 12½ rs Mrowie mię przeszło na widok tych 12½ rs.: były to pieniądze przysłane Grodowskiemu na opłacenie wpisowego gimnazyum, na co ostatni termin był w poniedziałek.

Landhof znowu przygotował się do rzucenia monety.

Zsunąłem się szybko z łóżka i podbiegłem do Grodowskiego, ale musiałem go kilka razy za rękaw pociągnąć, pierwéj nim się doczekałem niecierpliwego pytania:

— Czego chcesz?

— Panie Grodowski—szepnąłem mu do ucha — niech pan nie gra na pieniądze wpisowe.

— Odczép się — odpowiedział mi opryskliwie, cały wpatrzony w spadającą w téj chwili monetę.

Odszedłem urażony, chociaż jakaś nieokreślona trwoga wnet zwalczyła urazę. Powróciłem na dawne miejsce, śledząc wciąż za grą.

— Przegrałeś, Grodowski — usłyszałem nieznośny, piskliwy głos Landhofa.

— Rubel siedemdziesiąt kopiejek na orła — wołał znów Grodowski.

Zerwałem się i znów stanąłem przy stole, przegrał! Gra szła dawnym trybem, a Grodowski siedział kilka minut nieruchomo. Widać było na jego niewyrazistéj twarzy walkę, która toczyła się w duszy: grać daléj, czy nie grać? Chciało mi się znowu szepnąć mu, ale bojaźń mnie wstrzymała, wydawało mi się, że on mnie koniecznie odepchnie z wielką siłą, że upadnę i rozbiję sobie głowę. Stałem, patrząc na niego. Nagle zebrał on przeznaczone na opłatę wpisu pieniądze, schował je do kieszeni (z serca mego spadł kamień) i zaczął chodzić od stolika do pieca i nazad, niby tygrys po klatce, podczas, gdy gra szła daléj jak w najlepsze.

Ułożyłem się znowu na łóżku, zamknąłem oczy, zacząłem nawet zasypiać, gdy nagle zmusił mnie zerwać się na równe nogi głos Grodowskiego: „Orzeł—3 ruble“!

Mimowolnie krzyknąłem:—Panie Grodowski!—ale głosu mego nikt nawet nie usłyszał.

Moneta brzęcząc upadła na stół. Grodowski schylony, z roz-

dętemi nozdrzami, śledził jéj kręcenie się; nakoniec ułożyła się spokojnie: rzeszotka!

Nieszczęśliwy gracz zbladł jeszcze więcéj.

— Orzeł! 6 rubli!

— Posłuchaj przecież ci nie idzie, pocóż takie duże stawki?— mitygował go ktoś.

— Sześć rubli na orła — uparcie powtórzył Grodowski.

Znowu przegrał.

Drżącą ręką wydobył z kieszeni resztę swoich pieniędzy i położył je na stole.

— Ile tu? — zapytał Landhof.

— Tu — powtórzył niby we śnie Grodowski.

Ktoś przeliczył: 3½ rs.

— A tak, 3½ rubli na orła!

Czułem w téj chwili jakąś dziwną nienawiść do tego spokojnego Landhofa, a patrząc na wyraz rozpaczliwego oczekiwania na twarzy Grodowskiego, trudno mi się było od łez wstrzymać.

Wyjąłem prędko z kuferka rubla, cały swój kapitał, który wtedy wydawał mi się olbrzymim; w chwili, kiedy powracał do stołu, moneta upadła i ostatnie pieniądze Grodowskiego przeszły do Landhofa.

— Panie Grodowski — powiedziałem — u mnie został jeszcze pański rubel.

Wziął z mojéj ręki pieniądze, nie dziękując nawet, a za chwilę i moje 5 błyszczących srebrniaków przeszły do Landhofa.

Gra szła daléj, gracze, za wyjątkiem Landhofa, zrzadka popatrywali na gospodarza, który siedział blady, z oczyma zapadłemi; nawet rysy jego, zdawało się, zaostrzyły się. Siedział nieruchomie, patrząc na grę i zapewne nie widząc jéj.

Około 3-éj po północy, gracze rozeszli się, patrząc badawczo przy pożegnaniu w twarz gospodarza, i zostaliśmy sami.

Grodowski w milczeniu się rozebrał, rzucił na łóżko, odwrócił twarzą do ściany i nawet nie słyszał, kiedym mu dobranoc oddawał.

Przebudziwszy się z rana, obaczyłem, że łóżko Grodowskiego było próżne i jak zwykle, przez niego samego starannie zasłane: wyszedł na miasto zaraz po herbacie, któréj ja już nie dostałem, za karę długiego snu.

Jakem się dowiedział późniéj, udał się on do kupca, żyda, którego syna uczył, z prośbą o danie mu tytułem zaliczki na pensyę 12½ rs., święcie przyrzekając odpracować je, proponując nawet uważać te pieniądze za pięciomiesięczną gażę. Ale wszyscy Grodowskiego mieli za nic: dostał odmowę.

Ztamtąd zaszedł do swego dalekiego kuzyna, który był pomocnikiem prowizora w miejscowéj aptece. Tam siedział długo, był wesół, ożywiony, śmiał się, opowiadał anegdotki, wydał się nawet wszystkim trochę rozumniejszym niż zwykle.

Na obiad zjawił się, ale chociaż jadł, jak zwykle za dwóch, nie przemówił do nikogo ani słówka. Po obiedzie znów znikł, na herbacie wieczornéj nie było go i powrócił już około jedénastéj, zaledwom się właśnie ułożył.

— Gdzie pan cały dzień przepadał?—zapytałem go poufale.

— Gdzie byłem, tam mnie już nie ma— odpowiedział mi, siląc się na wesołość, nie przerywając przechadzki po pokoju. — Takto gdzie byłem, tam mnie nie ma — powtórzył, zacierając ręce, niby z mrozu przyszedł i jak to lubił nadzwyczaj robić w zimie, poszedł do pieca i obróciwszy się plecami, przyłożył doń ręce, chociaż było to lato i w piecu, ma się rozumiéć, wcale się nie paliło.

Innym razem parsknąłbym śmiéchem, na widok takiego roztargnienia, ale tego wieczora nie byłem usposobiony do wesołości.

Spostrzegłszy swą omyłkę, Grodowski kontynował przechadzkę, wciąż popatrując na mnie, podczas, kiedy ja wzajemnie śledziłem wszystkie jego ruchy.

— Czemu nie śpisz? — zapytał mnie nagle, dotykając bocznéj kieszeni ruchem człowieka, chcącego się przekonać, czy pieniądze na miejscu: ruch ten powtarzał już on tego wieczora kilka razy.

— Czemu nie śpię? — powtórzyłem sam sobie pytanie. — Tak sobie, nie mogę zasnąć — odpowiedziałem. Przechadzka trwała jeszcze z kwadrans, nakoniec widząc, że sen mnie coś nie morzy, zagadał do mnie.

— Wiész Jasiu, że strasznie jestem zmartwiony tém, że przegrałem pieniądze wpisowe. Czuję, że nie mógłbym zasnąć, myśląc o tém, coby mi powiedział na to ojciec, to téż dostałem sobie parę proszków na sen: może mi on ulgę przyniesie. Trzeba będzie je zażyć.

Mówiąc to, wydobył z kieszeni, do któréj przed chwilą dotykał się, dwa proszki i kilka opłatków i zaczął przyrządzać gałki do połykania. Ręce mu drżały, opłatki się rwały, ale nakoniec jedną ukończył. Wziął ją ostrożnie w dwa palce, ale szybko wyjął już z ust nazad i znowu położył na stole. Po chwili dumania wziął się do robienia drugiéj gałki i kiedy obie były gotowe, spokojnie przełknął je jedną po drugiéj, zapijając wodą. Potém położył się do łóżka, jak gdyby w nadziei błogiego snu.

Oparty na łokciu, jeszcze wciąż nie spuszczałem z niego oczu.

— A teraz spać, Janku! Dobranoc ci!—powiedział, zauważywszy to widocznie.

— Dobranoc panu! A wczoraj pan mi nie chciał oddać dobranoc.

— Nie chciałem? Musiałem zapomnieć i nie słyszeć, jakeś do mnie mówił, za to dziś powiem ci i za wczoraj: dobranoc, dobranoc! A i ty dziś więcéj niż kiedy powinieś mi życzyć dobrego, spokojnego snu.

— Ja téż tak panu i życzę.

— Dziękuję ci, ale jednakże pora spać. Dość gawędy, bo jutro nie zeche ci się wstawać do szkoły.

Wkrótce usnąłem, ale w nocy, chociaż sen miałem kamienny, obudził mię jakiś hałas. Zerwałem się zauważywszy, że to Grodowski tak strasznie rzuca się na łóżku, głucho i dziwnie jęcząc.

— Panie Grodowski! Panie Grodowski!—wołałem, chcąc go zbudzić, bo sądziłem, że mu się jakiś koszmar przyśnił, ale on jeszcze tylko parę razy poruszył się gwałtownie,—i w pokoju zapanowała cisza.

— Koszmar znikł pewno,—pomyślałem.

Na drugi dzień rano kwatera cała była już na nogach, kiedym się przebudził, zdziwiłem się téż niepomiernie, widząc, że Grodowski jeszcze śpi, on co zwykle wstawał najwcześniéj. Ubrałem się, umyłem się, umyślnie robiąc jak można najwięcéj stukotu,—Grodowski śpi!

Wszyscy wypili herbatę—Grodowski śpi!

Nakoniec ozwał się pierwszy dzwonek zwołujący szkolarzy do gimnazyum,—za półgodziny rozpoczną się lekcye, trzeba obudzić Grodowskiego.

— Panie Grodowski! Panie Grodowski!—wołałem, niech pan wstaje, już dzwonią!—Żadnéj odpowiedzi.

— Panie Grodowski! — krzyknąłem, chwytając go za ramie: Boże! on zawsze był jakoś suchy, kościsty i muskularny, ale teraz ramię to wydaje się niby z kamienia, nawet chłód jakiś nieprzyjemny przenika od niego przez koszulę. Schyliłem się, spojrzałem mu w twarz — i wybiegłem z krzykiem z pokoju: na téj zwykle ciemnéj, a teraz prawie czarnéj twarzy, były jakieś granatowe plamy.

Przybiegł do pokoju drugi starszy, gospodyni, zbiegła się cała kwatera. Rozbiegli się posłańcy po doktora, do zarządu gimnazyalnego. Przybiegł inspektor, przyszedł i doktór i zadecydował, że Grodowski umarł—zapewne od trucizny; a kiedy opowiedziałem

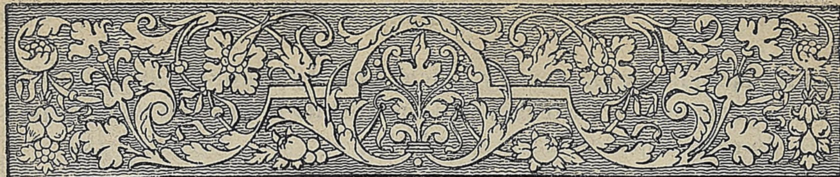
im łkając, jak się on w nocy rzucał i jakiego koloru były proszki, które przyjmował z wieczora, nie pozostało najmniejszego zwątpienia, że samobójca otruł się strychniną.

Posłano w téj że chwili umyślnego do rodziców zmarłego, żałowano go, tworzono rozmaite domysły na konto przyczyn samobójstwa (nie powiedziałem ani słówka o uczcie i grze), starano się dowiedziéć skąd on dostał trucizny, — a wróbel leżał tymczasem spokojnie na swojém twardém łóżku wyciągnięty jak struna.

Biedny wróbel!

Emjot.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Szkic historyczny umysłowego i artystycznego rozwoju ludzkości, od zawiązku pierwszych społeczeństw do początków sztuki chrześciańskiéj. Ozdobiony przeszło 600 ilustracyami. Napisał Antoni Narkiewicz-Jodko. Lwów i Warszawa. 1889. T. I, II, III.

Przychodzi nam zanotować fakt niezwykły w literaturze naszéj; mianowicie, ukazanie się dzieła o szerokim zakresie, którego treścią naukowa uprawa niwy piękna, tak u nas niestety, zaniedbana.

Już z samego tytułu dzieła wnosić można, że autor podjął zadanie niezmiernie trudne, na które dotąd tylko częściowo dali odpowiedź uczeni naszego wieku.

Wykład swój, autor rozpoczyna od klasyfikacyi sztuk pięknych i dzieli je, jak zwykle, na dwie wielkie grupy. Do pierwszéj zalicza poezyą, wymowę i muzykę; do drugiéj zaś — architekturę, rzeźbę i malarstwo. Poezyą i muzykę nazywa autor i d e a l n e m i, przez co niesłusznie sztukom, drugą grupą objętym, odmawia przymiotu, który nie da się oddzielić od zjawiska artyzmu, bez którego zjawisko takie istniéćby nie mogło. Dodajmy do tego, że z estetycznego punktu widzenia poezya i wymowa, jako oddzielne sztuki nie istnieją, albowiem wspólną dla nich formą artystyczną, zapomocą któréj ideę ujawniają, jest zawsze słowo.

Nie można również zgodzić się z autorem, aby rzeźba lub architektura były t r w a l s z e m i sztukami niż poezya i muzyka.

Zarówno trwałém jest wrażenie akustyczne, jak i na siatkówce oka utrwaloném zostaje optyczne; jak pierwsze, tak i drugie trwać wiecznie nie może, jest znikomém, a więc znikomość czy też trwałość wrażeń piękna, których źródłem pieśń i obraz, stosuje się tak do utworu muzyka, poety jak architekta i malarza.

Po wypowiedzeniu ogólnych swych poglądów w zakresie estetyki, autor przystępuje do właściwego wykładu, poprzedzając każdy rozdział nader zajmującym i pouczającym rzutem na historyą

polityczną i barwę etnograficzną rasy, czy też społeczeństwa, którego produkcya artystyczna ma być rozpatrywana.

Dziwne nam się wydaje zdanie w ustach autora, który dał dowód erudycyi, a nawet i nie na jedném miejscu swéj pracy, jasności poglądów na ogólny bieg rozwoju artystycznego, że „myśl ludzka jedna w fantastycznym swym pochodzie, nie zawisła i niczém nie skrępowana". Ta właśnie zawisłość, ta zależność od wpływów zewnętrznych, klimatu, gleby, materyałów, któremi artysta rozporządza, są czynnikami, które, w fantazyi artysty skojarzone, wydają to, co nazywamy indywidualnym stylem narodowym lub też stylem epoki. Niezrównany G. Semper, tłómacząc styl mebli chińskich, mówi: *Die Kunst soll aus der Noth eine Tugend machen!*

Zawisłość właśnie od fizycznego i moralnego środka czyni, że artysta jest wyrazem społeczeństwa. Tysiączne przeszkody, które powstają z natury użytego materyału, wytwarzają odrębny styl, któryby można nazwać kamiennym, żelaznym, drewnianym. Gdyby nareszcie nie walka, którą architekt stacza z siłą ciężkości w jéj najrozmaitszych metamorfozach, i zadośćuczynienie naturalnym potrzebom, jakie ta siła w dziełach budownictwa wytwarza, nie mielibyśmy ani świątyni klasycznéj, ani katedry ostrołukowéj.

Obok warunków w kształtowaniu zjawisk piękna, które nie podlegają zmianom, jak np. zadośćuczynienie sile ciężkości, właściwościom fizycznym materyału i wrodzonemu nam poczuciu pewnych ustalonych kształtów, które są istnemi w dziedzinie sztuk pięknych onomatopejami, istnieją czynniki zmienne w czasie i przestrzeni, które wytwarzają odrębności t. zw. stylu historycznego, na które składają się przedewszystkiém wierzenia, ustrój polityczny, klimat, gleba itd.

Do tego właśnie kierunku studyów, dzieło, o którém mowa, dostarcza nader bogatego materyału. Tak np. z faktów tyczących się charakteru Negra, które autor przytacza, *a priori* wnosić można, a to zgodnie z ogólnemi prawami rządzącemi produkcyą dzieł sztuki, że skłoni się on raczéj ku plastycznéj, na zmysły silniéj działającéj rzeźbie, niż ku malarstwu, działającemu tylko na delikatny ustrój nerwowy.

Na subtelne rozkosze, których źródłem malarstwo krajobrazowe, Negr do tego stopnia nieczuły, że nie umié nawet w malarstwie krajobrazie odróżnić góry od dołu. Wprost przeciwny fakt, a zarazem potwierdzający prawdziwość ogólnych wywodów, tyczących się rodzaju produkcyi artystycznéj, widzimy u autochtonów Kanady i Stanów Zjednoczonych, których idealizm w religii i po-

ezyi, znajduje wierny oddźwięk w sztuce malarskiéj, która względnie do próbek dłuta Indyan, stoi na wysokim stopniu rozwoju.

Pojęcia religijne i rodzaj obrzędów, obok innych moralnych i materyalnych czynników, przedewszystkiém wpływają na ukształtowanie się rzeźby. W rzeźbie meksykańskiéj obok wdzięcznych i sympatycznych postaci rzeźbiarskich napotykamy dzieła wstrętne. Bogini Teoyaoliniqui w postaci kobiety z olbrzymią trupią głową, rękoma ku ofierze wyciągniętemi, barwną ilustracyą kultu, którego jest orędowniczką. „Sztuka świecka, mówi autor, gdzie artysta nie ulega wymaganiom strasznych pojęć religijnych, daje dość wdzięczne postacie“. Do jakiego stopnia potężnym jest wpływ czynników zewnętrznych na rozwój sztuki, i jak to skrępowanie wyciska charakterystyczne piętna stylowe na dzieła sztuki, to dosadnie może być stwierdzoném na dziełach artystów japońskich. Dzieła tychże samych artystów bywają to nieudolne to znów pełne artyzmu. Jedne z nich nie wytrzymują krytyki z naszego estetycznego punktu widzenia, którego alfą i omegą jest sztuka heleńska, inne znów prawdą i artyzmem w podziw wprowadzają europejskich miłośników piękna. Pierwsze powstały pod wpływem religijnym lub téż przepisów administracyjnych, drugie wolne od nich, miały za wzór niewyczerpaną szkołę przyrody.

Do pierwszéj grupy należą przedewszystkiém posągi treści religijnéj i obrazy historyczne, lub téż przedstawiające znakomite osoby.

Twórcami kanonu rzeźbiarskiego w Japonii byli pierwsi krzewiciele buddaizmu, co już wyświetla styl rzeźby, która służąc religii Buddy, musi być wyrazem ascetyzmu, umartwienia uplastycznianego w chorobliwéj postaci ludzkiéj. Z drugiéj znów strony na konwencyonalność malarstwa historycznego i portretowego wpływają przepisy, które zabraniają w Japonii analizowania postaci osób będących na wysokiém stanowisku, dając w zamian gotowy szablon, od którego artyście na włos odstąpić nie wolno.

W dziale malarstwa i rzeźby, nie mających nic wspólnego z religią lub państwem, artysta japoński daje dowody niepospolitego artyzmu. „Nie ma, mówi p. N. J., jakiejkolwiek bądź klasy ludności nieczułéj na piękno natury“.

Tom II-gi dzieła p. N. J. zawiera historyą i etnografią ludów szczepu chamickiego i semickiego, a więc: Egipt, Fenicyą i Kartaginę, Babilon i Assyryę, Azyą-mniejszą, Judeę.

Tu właściwie mogą być dopiero rozpoczęte pozytywne badania historyi sztuki, szczególniéj dzięki pracom uczonych egiptologów i asyryologów francuskich. Pomijając już materyały z pierwszéj

ręki tyczące się historyi sztuki wyżéj wymienionych narodów, w ostatnich czasach historyk francuski Perrot wspólnie z architektem Chipiez'em wydali pomnikowe o wielkich rozmiarach dzieło, które wielce ułatwiło pracę autorowi. Dzięki pracy Perrot'a i Chipiez'a, możemy z największą dokładnością odtworzyć i to z najdrobniejszemi szczegółami, nie tylko obraz rozwoju sztuki egipskiéj, chaldejskiéj itd., ale także i rozwój cywilizacyi u tych narodów.

Szczególniéj w Egipcie i Chaldei dzieła sztuki, osobliwie pomniki budownictwa są wierném żwierciadłem ustroju społecznego, ukształtowanego pod wpływem zjawisk przyrody i rządu, który jest jakby tych zjawisk wynikiem.

Peryodyczny wylew Nilu w bezdeszczowym Egipcie, suchy klimat i choć rzadko, lecz gwałtownie zrywające się burze w Mezopotamii—oto pierwotne przyczyny, do których dadzą się zredukować wszystkie wpływy, które wydały urządzenia państwowe i styl narodowy.

Daléj autor daje nam obraz historyi sztuki i cywilizacyi u Fenicyan i Hebrajczyków, którzy jako plemiona przejęte tranzakcyami kupieckiemi i w nich tylko widząc ideały, samodzielnéj sztuki nie wytworzyli. Dowodem tego sprzęty fenickie, których motywy przedstawiają mieszaninę kształtów egipskich, greckich a nawet rzymskich. Jedyny zaś prawie zabytek budownictwa Hebrajczyków, świątynia Salomona, jest mieszaniną motywów egipskich i asyryjskich. Toż samo stosuje się do rzeźby hebrajskiéj.

Następnie autor rozpatruje sztukę i cywilizacyą Persów, Indów, Arabów nareszcie Etrusków, Helenów i Rzymian.

Zmianę w powszechnie ustalonym porządku, który chce, aby historyą rzymską rozpatrywać przed etruską, autor usprawiedliwia zdaniem, że z Grecyą i Rzymem wchodzimy już w okres klasyczny. Konsekwentnie należałoby więc w historyi sztuki heleńskiéj—pominąć pierwsze jéj objawy np. t. zw. budowy cyklopów, które nie mają większéj racyi jak zabytki sztuki etruskiéj do dzieł klasycyzmu być zaliczone.

Ubóstwo rzeźby etruskiéj przy bogactwie materyału, którego kamieniołomy w Carrarze i Massie dostarczają, tłómaczy autor drewnianém pokryciem świątyń etruskich, nie dość silnych, aby mogły utrzymać w równowadze ciężar kamiennych posągów. Przyczyna ta wydaje się nam drugorzędna; przedewszystkiém, według nas, abstrakcyjne pojęcia religijne nie mogły stać się gruntem dla rozwoju plastyki, któréj właściwością nie dwuznacznie wypowiadanie idej w kształcie skrystalizowanych. Kamieniem probierczym dla téj prawdy jest plastyka heleńska.

Czytelnik, któremu potężny wpływ Hellady na rozwój sztuki i cywilizacyi naszéj nie jest obcy, przebiegając karty dzieła, o którém mowa, dozna zawodu, nie ze względu jednak nieumiejętnego lub fałszywego traktowania przedmiotu, ale, że autor za mało temu przedmiotowi miejsca poświęca. Zarzut ten zdaje się przeczuwać sam autor i usprawiedliwia się tém, że zakres pracy jego byłby za obszerny. Sądzimy, że właściwiéj byłoby poświęcić inne objawy sztuki i cywilizacyi na korzyść bardziéj szczegółowego rozwinięcia sztuki i cywilizacyi heleńskiéj. Kto nie zna sztuki heleńskiéj, ten innych objawów piękna nie będzie zdolny pojąć i zdrowo ocenić.

Zaznaczywszy to, musimy przyznać autorowi, że pomimo szczupłego miejsca jakie poświęca Helladzie, posiłkując się najnowszemi wywodami uczonych francuskich, chociaż szkicowo lecz trafnie i barwnie odtwarza środek, w jakim powstała sztuka narodu plastyków. Oddzielne rozdziały poświęca autor ceramice i malarstwu heleńskiemu, które, jak wiadomo, znane nam jest tylko ze źródeł literackich, malowideł zdobiących naczynia lub ostatecznie z płaskorzeźb, nie zaś z żywych przykładów, o ile do nich nie zaliczymy malowideł pozostałych w pompejańskich *casa*.

W dziele p. N. J. obok jasnych i zgodnych z dzisiejszym stanem nauki poglądów, napotykamy zdania, które częstokroć świadczyły-by o powierzchownéj znajomości rzeczy. Do pierwszych zaliczyć należy zdanie, że organa rzymskiéj architektury stanowią tylko powierzchowną, nieorganicznie z całością połączoną dekoracyą. Nie mniéj trafném, choć znaném, jest bardzo umiejętne i naukowe określenie t. zw. p o r z ą d k u architektonicznego. Nie można jednak zgodzić się z autorem, aby kolumna była surowém naśladowaniem pnia drzewnego, albo, że rozgałęziane konary drzew dały wzór, z którego późniéj powstało sklepienie. Zapewne, utylitaryzm jest matką architektury, bezwątpienia, że pomiędzy najniższemi tworami budownictwa i arcydziełami architekta istnieje nierozerwalna ciągłość, ale tylko w takim stopniu, w jakim ta łączność da się upatrzeć pomiędzy najniższemi tworami organicznemi a najdoskonalszym dziełem przyrody—człowiekiem.

Autor nie zdąża zresztą do szerokich ogólnych poglądów, jak to sam w przedmowie dzieła zaznacza, celem jego dostarczenie rzeczowego materyału, i przyznać należy, że z założenia tego dobrze się wywiązuje.

Forma wykładu, którą się autor posługuje jasna, barwna i treściwa, a obok tego wolna od pustéj frazeologii, która niestety do prac naukowéj treści już zakradać się zaczyna. Na tém jasném tle

formy literackiéj, rażą niektóre zwroty cudzoziemskie, szczególniéj galizmy, tém bardziéj u autora, który dał dowód, że umié biegle władać piórem.

Praca p. A. N. Jodki powinna znaleść największe rozpowszechnienie pomiędzy czytelnikami, spragnionemi poważniejszéj naukowej strawy.

K. Kle.

= Po ukończeniu pracy p. Dygasińskiego „Jak się uczyć i jak uczyć innych“ (str. 239), pp. Gebethner i Wolff przystąpili do wydania zeszytami drugiéj z kolei książki, mającéj wejść w skład „Biblioteki dla samouków“. Autorem jéj jest znany, jako nauczyciel i znawca literatury polskiéj, autor wielu artykułów z dziedziny dziejów piśmiennictwa, oraz dziełka p. n. „Zarys wykładu mowy polskiéj“ p. *Antoni Gustaw Bem*. Nowéj swéj książce dał tytuł: **„Jak mówić po polsku“**; trzeba było dodać: i p i s a ć, gdyż w pięciu zeszytach, wyszłych dotąd, wzgląd ten ortograficzny najwydatniéj występuje. Autor chce popularnie, a jednak gruntownie wyłożyć zasady gramatyki języka polskiego. Rozumié on, że należało mu było skreślić podręcznik swój inaczéj, niż wszystkie dotychczasowe; powiada bowiem, określając cel swéj książki: „Metoda popularnego wykładu nauki języka powinnaby polegać na wszechstronnym rozbiorze ustopniowanych należycie zdań i całkowitych utworów piśmiennictwa. Książka taka byłaby trwałym w literaturze pedagogicznéj pomnikiem; ale n a t e r a z w y r z e c s i ę j é j m u s i m y; bo skąpa miara czasu, przeznaczonego na wykonanie pracy, utartą jedynie pozwala iść drogą“. Jako próbkę projektowanéj przez siebie metody, podaje autor z „dziennika samouka“ przykład zastanawiania się nad różnemi stronami jednego utworu poetycznego i połączonych z tém ćwiczeń gramatycznych i stylistycznych. Przykład ten, w szczegółach bardzo zajmujący i dobrze wykonany, za obszerny jednak obejmuje zakres (gramatykę, stylistykę, poetykę, historyą literatury), ażeby na szczupłéj przestrzeni pięciu stronic mógł być należycie rozwinięty, a w dodatku przekracza granice, zakreślone przez autora własnéj swéj pracy, która ma objąć tylko gramatykę w trzech działach: głosowni, etymologii i składni. W każdym razie ten ustęp uważamy za najbardziéj kształcący w książce dla samouków. W dalszym ciągu znajdują się jeszcze w tym duchu dwa wzory rozbiorów, zresztą idzie już p. Bem „utartą drogą“, rozwijając uwagi o naturze dźwięków i zwracając pilną uwagę na pisownię. Poszedł tu autor przeważnie za własną, dawniéj wydaną książką („Zarys wykładu mowy polskiéj“), posługu-

jąc się temi samemi nieraz przykładami i w tych samych częstokroć wyrazach. Nie można wszakże nie zauważyć, że są tu dodatki znaczne w określeniach, spisach słów, mianowicie w nazwach spółgłosek. Uwagi wszystkie są oparte na dobréj znajomości dzisiejszego stanu nauki; sądziłbym tylko, że w dążeniu do nauczenia ortografii, chwycił się autor trochę niewłaściwego sposobu i uczynił początek swéj książki ciężkim, a nawet odstręczającym. Zamiast podawać całe szeregi wyrazów, w których pisze się *ę*, *ą*, *en*, *im*. *in*, *om*, *on*, *un*, albo téż *é*, *ó*, wypadało w głosowni określić tylko właściwości, a przepisy używania prawidłowych końcówek podać tam, gdzie one i tak znaléść się muszą tj. przy odmianach wyrazów; we właściwéj zaś etymologii (tj. słoworodni), wykazać pierwiastki, z których się całe grupy wyrazów tworzą, zachowując brzmienie zasadnicze; uniknęłoby się tym sposobem nudnego katalogu i postąpiłoby się zrozumialéj dla uczącego się. Druga uwaga, jakąbym zrobił autorowi, jest, iż nie dostatecznie pamiętał, dla kogo pisze swą książkę; czasami bowiem tak przemawia, jakby miał do czynienia ze studentami, znającymi języki klasyczne i wprawnymi w zestawienia językoznawcze, stąd całkiem niepotrzebne powoływanie się na formy greckie (*epesa*=*epe*, *gerontsi*=*gerusi*); niekiedy znów zabiega autor daleko naprzód i podaje objaśnienia, które dopiéro kiedyś, przy nauce odmian będą zrozumiałe, np. wrócę= wrót-ją i t. p. Są to uchybienia metodyczne, którychby na przyszłość unikać wypadało starannie. W czwartym zeszycie rozpoczyna się nauka odmian; autor dzieli rzeczowniki na 4 deklinacye; w podanych wzorach dziwne zapomnienie się autora, gdy każe w takich wyrazach jak: *róg*, *miesiąc*, *strumień* (str. 84) wołaczowi l. pojedyńczéj, być podobnym do mianownika. Kartkę tę należałoby przedrukować; sprostowanie bowiem na okładce zeszytu 5-go, jest niewystarczające, łatwo je można przeoczyć, a po oprawie książki zniknie. Język i styl piękny i korekta stosunkowo bardzo poprawna.

= *Ladislas Mickiewicz.* **Adam Mickiewicz,** *sa vie et son oeuvre, avec un portrait par Théophile Bérengier* (Paris. 1888, str. 382). Książka ta, która w krótkim czasie drugiego doczekała się wydania, napisana została przez syna wielkiego poety i zawiéra dużo wiadomości, drobnych wprawdzie, ale nowych o zewnętrznéj głównie stronie życia wieszcza. Autor korzystał z materyałów dotychczas drukiem nie ogłoszonych, a po części i z własnych wspomnień. Najciekawszemi i najważniejszemi w całém dziele są listy Maryli Wereszczakówny już to do Tomasza Zana, już to do samego Mickiewicza pisane, z których znaliśmy dotąd zaledwie dwa malutkie

urywki. Nabiéra się z nich przekonania, że stosunek dwojga kochanków, jakkolwiek utrzymany w granicach platonizmu, był jednak bliższy i ściślejszy aniżeli wyobrażaliśmy sobie zazwyczaj na podstawie świadectw dotychczasowych. Mianowicie nader ciekawym jest bilecik naznaczający schadzkę (str. 35). Zużytkowanie tych listów przez autora nie zostało dokonane krytycznie; z powodu zaś braku dat na nich. potrzeba było szczególniejszą zachować baczność przy wysnuwaniu wniosków i przy ich szeregowaniu; w niektórych razach pomyłka autora jest widoczna, w innych wykazać się nie da dowodnie, chociaż ma się wątpliwości. Trzeba oczekiwać wydania tych listów według oryginalnego tekstu; jedne bowiem pisane są po francusku, inne po polsku. Z innych nowych materyałów interesującemi byłyby wspomnienia Aleksandra Chodźki, gdyby na wierności jego pamięci całkowicie polegać było można. Niestety, tak nie jest; parę drobnych błędów pamięci dających się udowodnić, czyni nas nieufnymi względem całości, a mianowicie też względem opowiadania Chodźki o podsunięciu Mickiewiczowi przez Marylę pierwszéj myśli zużytkowania w poezyi artystycznéj pomysłów twórczości ludowéj (str. 18 i 19). Większy stopień wiarogodności posiadają notatki samego p. Władysława Mickiewicza, robione bezpośrednio pod wpływem opowiadań ojcowskich, np. o przygodach w czasie wycieczki do Krymu (str. 73—76). Interesujące są wywody autora o stosunku Mickiewicza do Montalemberta i o przyczynie ochłodzenia się stosunków pomiędzy nimi (str. 138—168). Zasługują też na wyszczególnienie wiadomości o pożyciu domowém w Paryżu podczas ostatnich lat życia (str. 241—244). Opis wyjazdu do Konstantynopola i pobytu w Turcyi w r. 1855 jest bardzo obszerny; nigdzie dotychczas nie był tak wyczerpująco przedstawiony (str. 253—342); ale mówi się w nim bardzo wiele o ludziach otaczających Mickiewicza, o wypadkach ubocznych, ale o samym poecie bardzo niewiele. W „dodatku“ mieszczą się bardzo ciekawe wyciągi z raportów policyjnych i innych dokumentów urzędowych, dotyczących Mickiewicza od r. 1840—1855. Układ książki jest wadliwy; autor bardzo nieproporcyonalnie rozdzielił opracowanie różnych epok w życiu poety; nietyle mu chodziło o harmonijne przedstawienie całości tego życia, ile o uwydatnienie nowego materyału, jakim rozporządzał pisząc biografię. Mamy nadzieję, że przy przeróbce polskiéj swego dzieła, autor trochę inaczéj urządzi jego ekonomię i odkładając materyały do „dodatków“ lub osobnych publikacyj, postara się o większą wymierność części do całości i o większą krytykę w ocenie samych tych materyałów.

═ **Z życia zwierząt. Pies.** *Zebrała i ułożyła dla dzieci młodszych Marya Weryho* (Warszawa, 1889, str. 68). Wiadomo, że dzieci lubią zwierzęta i opowiadania o nich; wiadomo również, że życie zwierząt, ich inteligencya, zwyczaje i obyczaje, jako o wiele mniéj złożone i zawiłe od ludzkich, mogą się stać pod względem pedagogicznym bardzo cennym środkiem kształcenia rozumu i uczuć młodziutkiego pokolenia. W książkach téż dla dzieci anegdoty i bajki o zwierzętach niemało zajmowały miejsca; ale p. Weryho pierwsza u nas wyłącznie temu przedmiotowi poświęciła wydane przez siebie dziełko. Staranny wybór opowiadań i opisów, mogących zająć i wzruszyć młodych czytelników, dobrze wykonane obrazki, uzmysławiające to, co przedstawione jest w słowie, przeplatanie prozy łatwemi wierszykami stanowią zaletę książeczki, świeżo ogłoszonéj p. n. „Pies“. Na początku podaje autorka „Kilka słów o psie“, charakteryzując ogólne właściściwości tego zwierzęcia, różne jego gatunki i różne posługi, jakiemi ludziom się zaleca; następnie zaś opowiada szereg anegdot, dowodzących zmyślności, sprytu, przywiązania do człowieka, wierności psa. Większość tych anegdot ma trochę sentymentalny charakter, niektóre w stylu zamało odznaczają się prostotą; za najlepsze poczytujemy „Sprytny jamnik“, „Figiel za figiel“. Autorka dąży widocznie do tego, ażeby przemawiać do dzieci zrozumiałym dla nich językiem, ale nie osiągnęła jeszcze w tym kierunku należytéj biegłości; nasuwają się jéj pod pióro wyrazy i wyrażenia abstrakcyjne, niewłaściwe, lub też takie, które dzieciom zgoła niezrozumiałe (m u n i c y p a l n o ś ć str. 59, nowy u c z e s t n i k niedoli str. 21, pies czując g r o ź b ę niebezpieczeństwa str. 29). Zaznaczyć téż wypada małe zaniedbanie, gdy Maffin nazwany został na str. 24 buldogiem a na 25 pudlem, lub gdy wiersz Krasickiego przez zmianę *skradł* na *okradł* zrobiono 14 zgłoskowym (str. 43), lub gdy miękki wydrukowano przez jedno *k* (str. 64). Usterki jednak tu wskazane nie mogą obniżać wartości dziełka, wydanego wogóle starannie i nawet ozdobnie.

═ **Encyklopedyi rolniczéj**, wydawanéj staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, wyszły już zeszyty III i IV (od str. 161 do 320), illustrowane licznemi drzeworytami w tekście. Mamy tu między innemi dokończenie obszernego artykułu o anatomii zwierząt ssących domowych, skreślonego piórem magistra *S. Królikowskiego*. Dr. *A. Sochacki*, podał pożyteczną informacyę co do urządzenia i składu apteczki domowéj, wraz ze „skorowidzem wypadków chorobowych i środków, przy których wskazane są rady“. Znaczenie, charakter, różne rodzaje arteli rosyjskich i ich doniosłość praktyczna, znalazły wyjaśnienie w artykule p.

St. R. Tegoż autora jest zwięzły opis Australii pod względem gospodarczym, oraz obszerniejsza znacznie rzecz o Austro-Węgrzech i in. Na dłuższy artykuł o Azocie złożyły się dwa pióra: p. *Br. Znatowicz* przedstawił własności jego chemiczne i fizyczne, zaś dr. *Stefan Jentys* jego znaczenie fizyologiczne. Kwestyą osuszania bagien opracował ze stanowiska prawnego p. *Antoni Okolski.* O bakteryach mamy tu małą niemal monografią, zajmującą przeszło 8 kart druku, skreśloną przez dr. *Fr. Kijewskiego.* O bankach pisze p. *Tadeusz Zaleski.* Wiadomości dotyczące rzemiosła bednarskiego przedstawił obszernie p. *Stef. Kozłowski.* Z krótszych artykułów wymienimy tu: Antracyt, Augit, Azoiczne formacye, Bazalt przez dr. *K. Jurkiewicza*, Anyż i Arbuz przez p. *Józefa Kaczyńskiego*, Arszenik przez *Br. Znatowicza*, Atmosfera przez *Jerzego Boguskiego*, Bażant przez *A. Ślósarskiego*, Berberys przez *Jerzego Aleksandrowicza.*

— *Józef Rychter.* **Ciernie i wawrzyny.** Zbiór powiastek historycznych. Kraków 1889. Str. 106. Po raz pierwszy na niwie beletrystycznéj występujący autor, na progu swéj działalności usiłuje kroczyć niby nowemi, nie utartemi dotąd szlakami. We wstępie do swych obrazków, wyjaśnia p. Rychter, że zadaniem jego jest przedstawić w lekkiéj formie na tle historycznem działanie osób, stworzyć charaktery, któreby wyrażały psychologiczną prawdę lub téż wywołać za pomocą fantazyi artystyczne piękno. Zamieszczone w zbiorku utwory gruntu historycznego, w właściwém słowa znaczeniu, dotykają tylko z lekka. Pomysły do nich czerpie autor wprawdzie w zamierzchłéj przeszłości, sprawiają one jednak wrażenie raczéj fantazyi, snutych na tematach historycznych, niż rzeczywistych obrazków dziejowych. Taką np. fantazyą jest obrazek „Zadatek Sławianina“ wprowadzający nas w epokę krwawych walk plemienia słowiańskiego z germańskiém w początkach zaprowadzenia chrześciaństwa w Polsce; taką szkic „Kolosy“, będący reminiscencyą pamiętnéj chwili odwiedzin Kanuta W. u Bolesława Chrobrego w r. 1016. W obu tych ułomkach góruje nad treścią fantazya artystyczna, która autorowi każe zapuszczać wzrok w zamroczoną wiekami potęgę przeszłości. Odmienną nieco kolorytem i pomysłem jest legenda o krzyżackim zamku „Kiszporg“, osnuta na podaniu o pokutujących w nim duszach krzyżaków, poległych pod Grunwaldem. Forma i charakter legendy uprawniały autora w tém opowiadaniu najzupełniéj do puszczenia wodzów fantazyi, z czego umiał skorzystać, lubo pomysł sam oryginalnością bynajmniéj się nie zaleca. Ckliwą i sentymentalną w najwyższym stopniu jest „Idylla Królewska“, nowelka osnuta na do znudzenia już wyczerpanym temacie zaślubin Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwił-

łówną. Zarówno sytuacye, jak i charakterystyka figur, nie zawiérają nic nowego, a prawdziwy niesmak budzą uwagi Dowojny, nie mogącego pojąć ideału w postaci kobiéty, noszącéj na sobie piętno wdowieństwa. Liczne apostrofy do słowików i księżyca, nie przyczyniają się bynajmniéj do wywołania „artystycznego piękna“. Dwie powiastki „Piękna kasztelanowa“ i „Wesele tatarskie“, pierwsza, zatrącająca cokolwiek walterskotyzmem, druga odtwarzająca romantyczny epizod rozdzielenia kochanków, zabranych w jassyr tatarski, przypominają formą i stylem marzycielsko łagodne, ale zdawien dawna dobrze znane i przestarzałe szkice Kraszewskiego i K. Wł. Wójcickiego. *P.*

= *Józef Orłowski.* **Rodzime dźwięki.** Nowy zbiór poezyi. Lwów. 1889. Str. 112. Niezrażony chłodném przyjęciem przez krytykę poprzednich swych poetycznych utworów, obdarza p. Orłowski piśmiennictwo nowym dorobkiem swéj płodnéj muzy. W skład niniejszego zbiorku wchodzą zarówno wiersze liryczne, jak satyryczne, rzeczy erotyczne i elegijne sonety, cykl historycznych sonetów lwowskich, wreszcie obrazek z czasów ostatnich p. t. „Opowieść“. Brzmi w utworach tych wiecznie ta sama nuta tęsknego jakiegoś gonienia za ideałem, ciepłem serca, uczuciem, dążenia do urzeczywistnienia nieokreślonych jakichś rojeń, które lubo poszczególnie wyrazić się dadzą, w całości jednak nie pozwalają czytelnikowi wyrobić sobie zdania o wyobrażeniach i programie autora. W tym pościgu autora za wyszukiwaniem coraz to nowych dróg dla czynu, widocznem jest, że autor sam dokładnie sprawy sobie z nich zdać nie umié. Z wyjątkiem kilku utworów satyrycznych z trudnością tylko doszukać się można treści w całéj liryce p. Orłowskiego, która ma nadto tę charakterystyczną cechę, że łączy w sobie sporą dozę dydaktyzmu. Drobniejsze utwory sprawiają niejednokrotnie wrażenie zabawek rymotwórczych, w których nie można się dopatrzéć jakichkolwiek ściśléj określonych myśli. Wyjątek pod tym względem stanowią wiersze: „Inne czasy“ i „Przyjaciołom“, w których forma zręczna zespala się z wyraźniéj nieco zaznaczoną myślą. Utwory, zawarte w niniejszym zbiorku, stanowią pewien postęp w poetyckiéj twórczości autora. Radzimy mu tylko więcéj naginać myśl do rzeczywistości i wiążących się z nią zagadnień, a pozbyć raz zapóźnionego i ckliwego idealizmu. Poezyi dzisiejszéj nie wystarcza już pusty dźwięk zręcznie dobranych rymów, lecz winna ona brać za przedmiot zagadnienia poważniejsze, ze sfery życia społecznego. Z pomiędzy utworów zamieszczonych w tém wydaniu „Sonety lwowskie“ i „Opowieść“, powtórzone są ze zbioru ogłoszonego w r. 1884.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Zmiany na drodze żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj.—Sąd opinii i prasy o tych zmianach.—Pobyt Szacha Perskiego w Warszawie.—Wystawa pracy kobiet.—Fryna na wystawie sztuk pięknych.—Wieści o traktowaniu cudzoziemców na wystawie paryskiéj.

Kolej Warszawsko-Wiedeńska ma pierwszorzędne dla życia ekonomicznego naszego kraju znaczenie. Najdawniejsza z dróg, łączących kraj z zagranicą, ma ona również znaczenie lokalne przeważne w dowozie głównego materyału opałowego tj. węgla, a wogóle w ruchu towarowym i osobowym zajmuje stanowisko wybitne.

Sprawa administracyi takiéj kolei jest oczywiście interesującą i poważną. W administracyi téj musimy żądać przedewszystkiém ogólnych warunków dobrego zarządu tj. bezpieczeństwa drogi, możliwie dogodnych dla obsługiwanéj publiczności warunków i solidności prowadzenia przedsiębiorstwa, tak aby mu bankructwo, ani nawet przesilenia ekonomiczne nie groziły. Na drugim planie stoi oszczędność prowadzenia przedsiębiorstwa, bo oszczędność ta, mająca na celu zyski akcyonaryuszów, jest sprawą prywatną, która publicznéj pierwszeństwa ustępować powinna. Z tego téż względu w prowadzącéj się w chwili obecnéj na kolei wiedeńskiéj walce między grupą akcyonaryuszów zagranicznych, stanowiących większość, a grupą krajową, będącą w mniejszości, sympatye są po stronie téj mniejszości, która nie żąda nadmiernego wyśrubowywania dywidendy ze szkodą bezpieczeństwa kolei i dogodności ogółu, z drogi Wiedeńskiéj korzystającego. Życzymy téż całém sercem, żeby obrona interesu publicznego przez p. Blocha, w jego przemowie zapowiedziana, okazała się skuteczną.

Jeżeli wypowiadamy się z sympatyą po stronie mniejszości akcyonaryuszów drogi Wiedeńskiéj, czynimy to dla tego, że się nam

słuszność po stronie téj mniejszości wydaje, ale chcielibyśmy być wolni od podejrzenia szowinizmu, który wszystko obce potępia, krajowe zaś apoteozuje. Kraj nasz nieraz na udziale kapitałów zagranicznych i na usługach osobistych cudzoziemców dobrze wychodził. Takich Girard'ów, takich Fidlerów, Ewansów, Dietrichów, takich Scheiblerów i wielu jeszcze innych—radzi widzielibyśmy i więcéj. Czyż wprowadzenie i rozwinięcie nowych gałęzi przemysłu: tkactwa lnianego i bawełnianego, garbarstwa, przemysłu żelaznego itd. nie stanowi widocznéj dla kraju korzyści? A tę korzyść przynieśli nam cudzoziemcy, z których zresztą wielu nietylko przestało już być dla kraju naszego cudzoziemcami, ale nawet podług przypowieści ewangelicznéj, że „ostatni będą pierwszymi", wyprzedzając dawniéj na ziemi naszéj osiadłych obywateli kraju w rozumnéj i ofiarnéj pracy dla dobra publicznego.

Wypowiadać przeto niechęci do akcyonaryuszów cudzoziemców drogi Wiedeńskiéj dla tego tylko, że to cudzoziemcy, nie mamy powodu. Z drugiéj strony, szczególnéj ofiarności dla naszych interesów ze strony tych cudzoziemców wymagać nie mamy prawa. Jeżeli krajowcy dla obrony interesów krajowych nie zdobyli się na tyle ofiarności, żeby nabyć dostateczną ilość, niedość wysoko na nasze warunki ekonomiczne procentujących, w każdym razie jednak pewnych i wartościowych, akcyi drogi Wiedeńskiéj, to skądże tytuł żądania od francuzów, niemców lub belgijczyków, żeby oni dla obcego im kraju ofiary jakieś ponosić chcieli. Zresztą ofiarność wogóle leży już po za granicami obowiązku,—obowiązek zaś stanowią tylko zwykłe zasady uczciwości. Za ofiarność można podziwiać i czuć wdzięczność, ale wymagać mamy prawo tylko uczciwości.

Tymczasem w prasie naszéj spotykamy cały szereg gorzkich wymówek do zagranicznych akcyonaryuszy drogi Wiedeńskiéj skierowanych za to, że ci nie dla nas, ale dla siebie samych chcą pieczone kasztany z ognia wygrzebywać. A już najgorzéj dostaje się nowoobranym członkom rady. Tych już wprost łży się osobiście, przypisując im nieomal że zbrodnicze zamiary, i za te przypuszczalne zamiary, wywnioskowane z artykułu pisemka zagranicznego, agitacyę przedwyborczą i podniesienie kursu akcyi mającego na celu, wydaje się z góry wyrok potępienia na to wszystko, co odtąd stać się ma na drodze Wiedeńskiéj. Przypomina mi to jeden ze szkiców świeżo zmarłego satyryka ruskiego Szczedryna. W szkicu owym niewykłych zdolności obserwacyjnych i olbrzymiego talentu autor opowiada o denuncyacyach, jakie się sypały na pewnego spokojnego obywatela za to, że z sąsiadami wódki nie pił, w karty nie grał, towarzystwa hałaśliwego nie lubił i o niektórych kwestyach pozwa-

lał sobie być odrębnego, niż otoczenie, zdania. Otóż na mocy tych poszlak sąsiedzi przyszli do przekonania, że obywatelów zbrodnicze żywi względem społeczeństwa zamiary i wskutek tego wysłali do odpowiednich władz denuncyacyą, domagając się kary za „szkodliwe myśli“ wyodrębniającego się obywatela. Od władz jednak nadeszła rezolucya: „Poczekać na postępki“. Otóż pytam: czyby nie było właściwém, żeby i nasza opinia nie śpieszyła zbytecznie z sądem o osobistościach, wchodzących obecnie do rady drogi Wiedeńskiéj i chciała „poczekać na postępki“ tych panów.

* * *

Pobyt Szacha Nasr-Eddina w Warszawie przedłuża się nad program pierwotny.

Wożono Szacha już do Łazienek, do Ogrodu Saskiego, do Wilanowa, pokazano mu teatry, oprowadzano po wystawie wyrobów kobiecych, produkowano różne inne ciekawe widowiska, ale gdy dostojny gość jeszcze dni kilka ma zabawić, rozpoczyna się pewna trudność w wyszukiwaniu nowych osobliwości.....

Gdym rozmyślając nad tém, szedł ulicą, naprzemian zasypywany piaskiem przez wiatr unoszonym, lub odświeżany orzeźwiającą rosą z konewek przez gorliwych stróżów, wyrywa mnie z zadumy słodki głosik znajomej warszawianki.

— Dzień dobry! Powiédz mi pan, czy to odpowiednia będzie suknia na wyścigi: przód biały atłasowy, z perskim haftem, tren zaś z zielonego adamaszku?... No i kapelusz oczywiście przybrany zielenią...

— A cóż pani tak dziś zielono usposobiona?...

— No przecież Szach będzie na wyścigach... A wiadomo, jak on zna się na tualetach. Słyszał pan co powiedział o tualecie pani N? (uśmiech ironii, a zarazem błogości na twarzy méj interlokulorki). „*Femme magnifique*, *toilette laide*“.

— O pani prawdopodobnie Szach wyrazi się wprost przeciwnie... (interlokulorka nie słyszy moich słów i mówi daléj).

— Ale żeby pan widział jego brylanty! To coś nadzwyczajnego! Mój Boże, żebym ja mogła mieć tylko te sześć brylantów, które widziałam w jego epoletach...

— Niemożliwego nie ma nic... Słyszała pani, co powiedział Szach pani M? (Ja sam nic nie słyszałem, ale od czegóż inwencya i chęć powiedzenia czegoś... przyjemnego)... Że oddałby wszystkie kosztowności, jakie ma na sobie, aby posiadać tę parę czarnych brylantów, które w téj chwili tak uroczo przed nim błyszczą... (twarzyczka warszawianki się zasępia i przybiera wyraz pogardliwy).

— Ta pani M. to musi się wszędzie wcisnąć. (W tém miejscu prawa ręka damy zacisnęła się kurczowo. Ja zaś usunąłem się nieco na bok, pomny, że warszawianki umieją być czasem wojownicze gdy chodzi o... Szacha). I co on znalazł nadzwyczajnego w jéj oczach. Tysiące jest piękniejszych... Wié pan—nie wiem, czy to warto jechać na wyścigi po to tylko, żeby widzieć tych persów... Nic znowu tak szczególnego..... Więc dobra będzie suknia zielona?

— Koniecznie ma być zielona?

— No przecież Szach, jako władca Erinu...

— Chciała pani powiedzieć Iranu...

— Mój panie! Chociaż pan sam jesteś niby jakimś dziennikarzem, ale i ja przecież czytuje gazety... I choć mam oczy nie takie drogocenne jak pani M., ale widzę dobrze... No i pamiętam także doskonale... Proszę więc sobie ze mnie nie drwić i w błąd umyślnie nie wprowadzać. Przecież tyle razy widziałam drukowane: *Erinu*,—*zielonego Erinu*. I właśnie dla tego ulubionym Szacha kolorem jest—kolor zielony....

...Skonfundowany tą niewieścią logicznością dowodzenia, milczę... Dama się namyśla, nie wiele zważając odtąd na moję obecność.

— Pójdę do magazynu „*au Printemps*“... taki wiosenny kolor zielony będzie najładniejszy... Żegnam pana.

Niedbałe, a pełne godności skinięcie główką i warszawianka się oddala. Ja zaś pogrążam się w rozmyślania na temat, że podróże monarchów wschodu po Europie, nietylko im samym korzyść przynoszą, ale i dla mieszkańców krajów, przez które dostojni podróżnicy przejeżdżają, wielce są pouczające.....

* * *

Wystawa pracy kobiét otwarta. Bardzo ładna wystawa, tylko się niewłaściwie nazywa. Podług mnie powinna się zwać wystawą z a b a w y kobiét, tak w niéj mało przedmiotów prawdziwego użytku, a tak wiele bawidełek o charakterze dyletanckim. Malowidła na porcelanie, na ekranach, na wachlarzach, wyszywania, hafty i koronki, oto co rzuca się przeważnie w oczy. I tak mało w tém wszystkiem nowego. Spotykaliśmy już to wszystko na wystawie szkiców, na wystawie tkackiéj itd. Nawet najciekawszy dział przemysłu włościańskiego, jest prawie identycznem powtórzeniem tego, cośmy widzieli w tym samym dziale na jednéj z wystaw poprzednich. Możnaby powiedzieć z Rabbim Jehudą: „to wszystko już było“.

* * *

Za to na wystawie sztuk pięknych mamy nowość, do któréj podobne wprawdzie były, ale takiéj jeszcze nie było. Mistrz w przedstawianiu świata klasycznego, Siemiradzki, w swojéj „Fryne w Eleusis", zda się przeszedł sam siebie. Cóż to za cudowny, łudzący prawdą krajobraz morski, stanowiący tło lewéj części obrazu. A te powietrze przejrzyste, a ta masa światła, słońca! Nie potrzeba widzieć krążących nad wodą mew, żeby czuć upalne gorąco przed burzą. Grę światła słonecznego, przedzierającego się między liśćmi drzew, lśniące białością marmury, typy i ubiory starożytnéj Hellady, widzieliśmy już u Siemiradzkiego w wielu jego obrazach. Świetne ugrupowanie tłumów widzieliśmy w „Świecznikach", znakomite nagości kobiece w „Tańcu wśród mieczów" i „Wazonie lub kobiecie". Ale tu spotykamy wszystkie zalety pędzla naszego artysty-poganina razem zebrane i spotęgowane. Czytałem i słyszałem głosy krytyczne, zarzucające obrazowi dekoracyjność w krajobrazie, nowoczesność postaci Fryny i brak wypukłości jéj ciała, w skutek zbytniego oświetlenia. Ja tam mojemi oczyma profana tych wad dostrzedz nie umiałem. Widziałem przed sobą jakby morze rzeczywiste, jakby tłum prawdziwy i jakby żywą kobietę—uosobienie piękności cielesnéj — gotową wyjść z ram. I czułem się przeniesiony w inne czasy, na inny stopień i rodzaj kultury, pod inne niebo, wśród innych ludzi. W naszym wieku newrozy i wyrafinowanéj rozpusty, tak bezwstydnie—spokojnie w swéj piękności kształtów stanąć by nie umiała kobieta przed widzami. I piękność téj Fryny wydaje mi się czysto pogańska, nie nowoczesna, dorodnych kształtów, piękną jest ona ciałem i nic nie mówiąca wyrazem ducha. Znać tylko po niéj, że wié o swéj piękności i pozwala się podziwiać. A łudzi prawdą tak że zda się czuć tętna jéj krwi, w miarę przyśpieszone, a równo i silnie bijące. Patrząc na ten obraz, nie umiałem go krytykować i ulegałem zupełemu złudzeniu rzeczywistości.

* * *

Z wystawy paryskiéj dochodzą wieści drogą opowiadań prywatnych i korespondencyi w prasie (patrz kor. Kuryera Codz. w N. 148), że francuska publiczność i gazety francuskie tak się zachowują względem cudzoziemców przyjeżdżających na wystawę, jak nie przymierzając nasza prasa względem cudzoziemców—akcyonaryuszy drogi wiedeńskiéj. Prasa i publiczność francuska wymyśla cudzoziemcom i dziwi się im, gdy nie chcą składać wszystkich pieniędzy, jakie posiadają, francuzom: właścicielom hoteli, restauracyi, widowisk itd. itd., i gdy śmią żądać dla ciebie możliwie wartościowego ekwiwalentu wydanego grosza. Jedném słowem „*la grrande*

nation" uważa, że wszyscy cudzoziemcy powinni ponosić ofiary dla niéj, ona zaś dla nikogo. Trochę jak u nas. Tylko że francuzi, jako praktyczniejsi od nas, nie poprzestają na platoniczném życzeniu ani nawet gburowatém słowie (dawna elegancya słów nie modna dziś we Francyi od czasu panowania naturalizmu), ale biorą się energicznie do czynu. I tak np. wejście na wystawę kosztuje tylko 1 franka. Ale potém dopłaty w poszczególnych działach wynoszą franków 30. Czy system ten nie przypomina wędrownych właścicieli panoram i figur woskowych z oddziałami nieprzyzwoitéj treści. Tylko że w Paryżu takie półapki urządzają władze państwowe lub miejskie. Ceny mieszkań obecnie w Paryżu podniesione w czwórnasób; dorożkarze nie trzymają się żadnéj taksy i zdzierają ile chcą; w restauracyach zaś na wystawie ceny są takie: porcya szparagów 30 franków, kawałek bułki z kawiorem 5 franków itp.

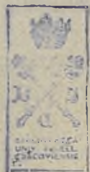
Wogóle praktykuje się podczas wystawy w Paryżu system, że francuz z prowincyi płaci drożéj niż paryżanin, cudzoziemiec zaś drożéj niż francuz. W dodatku pisma codzienne i humorystyczne, kroniki, karykatury, „*nouvelles à la main*" i „*mots de fin*" traktują wszystkich cudzoziemców (podług słów korespondenta Kuryera Codziennego) jak Hunnów, lub Eskimosów.

Prawda że to zachęcające do wybrania się na wystawę paryską?!

(— X —)



Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w Kwartale I i II-gim 1889 r.

1. *Dr. Herman Hager.* **Wykład chemii farmaceutycznej** w 126 lekcyjach (231 drzeworytów w tekście). Z upoważnienia autora przełożył z czwartego wydania oryginału i opracował *Maksymilian Flaum*, kandydat chemii. Staraniem i nakładem *Wincentego Karpińskiego* magistra farmacyi na pamiątkę 100-ej rocznicy założenia jego apteki. Warszawa. skład gł. u wydawcy (Elektoralna № 39), 1889, 8-o, str. XII i 806.
2. *Karol Dickens.* **Dawid Copperfield**, powieść. Przełożyła i życiorysem autora poprzedziła *Willa Zyndram Kościałkowska* (Biblioteka najcelniejszych utworów). Warsz. nakł. S. Lewentala, 1889, 8-o, str. 744.
3. **Dzieła Herberta Spencera**. Systemat filozofii syntetycznej. Zasady Socyologii. Tom I. Z trzeciego wydania oryginału przełożył *J. K. Potocki* (Wydawnictwo „Głosu“). Warsz. 1889, 4-o, str. 398 i LXXVII.
4. **Poučeni** o padělanych rukopisich Královédvorském a Zelenohorském Pro širši kruhy intelligence české napsal *J. Gebauer*. V Praze, 1888, 8-o, str. 80.
5. **Henryk Ibsen** sylwetka literacka przez *Szymona Wollernera.* Lwów nakład czasopisma „Ruch“ 1888, małe 8-o, str. 56.
6. **Stacya oceny nasion** przy Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. Sprawozdanie z czynności od dnia 1 Lipca r. 1887 do dnia 1-go Lipca r. 1888. Napisał *Dr. A. Sempołowski* kierownik stacyi. Warsz. 1888, 8-o, str. 27.
7. *Emil de Laveleye.* **Własność pierwotna.** Tłomaczenie z 4-go wydania francuskiego. Wydawnictwo imienia Prof. D-ra J. Baranowskiego. Warsz. skład gł. w księgarni T. Paprockiego i S-ki, 1889, 8-o, str. 309 i II (cena rs. 1 kop. 50).
8. **Zasady elektrotechniki** opracował *Henryk Merczyng* Kand. N. Fiz-Mat., Inżyn. Kom. (164 rysunków w tekście i mapa litograf.). Warsz. skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa, 1889, 8-o, str. IX i 254.
9. **Vývoj** vědy národohospodářské. Od *L. V. Chodského.* V Praze, 1888, 8-o, str. VII i 85.
10. **Libri formularum** saeculi XV-mi edidit *Boleslaus Ulanowski.* Kraków, 1888, 4-o, str. XVI i 127.
11. **Encyklopedya rolnicza**, wydawana staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. Zeszyt III: Anatomia—Bagna. Warszawa. 1889, wielkie 8-o, str. 161—240.
12. **Historya literatury polskiej** na tle dziejów narodu skreślona. Przez *Maryana Dubieckiego* Zeszyt XII. Warsz. nakład Maur. Orgelbranda, 1888, 8-o, (str. 417—474 i XXI).
13. **Stara baśń**. Opowiadanie z dawnych czasów. Z powieści J. I. Kraszewskiego przerobiła *F. M.* Warsz. 1889, 8-o, str. 62 (z rycinami).
14. **Grześ niepiśmienny.** Powiastka przez *Michała Bałuckiego.* Z illustracyami Fr. Kostrzewskiego. Warsz. 1889, 8-o, str. 48.
15. **Opowiadanie o urwisie Dyrdusiu** przez *Janka z Bielca* (J. K. Gregorowicza). Z rysunkami Fr. Kostrzewskiego. Warsz. 1889, 8-o, str. 38.
16. **Jak mówić po polsku** czyli gramatyka polska w zarysie popularnym *Antoniego Gustawa Bema* (Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa, II). Warsz, 1889, 8-o, pięć zeszyt. (str. XI i 108); cena za zeszyt kop. 10.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1889, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава. 22 Апрѣля 1889. г.